Czytelniku! chcieli łaskawie
pamiętać, że książki Czytelni
bezpłatnej są własnością ogółu!

CZYTELNIA
bezpłatna
DLA MIESZKAŃCÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

W KRAJU ARPADA.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

Z 91
15

W KRAJU ARPADA.

Wedle własnych wspomnień

NAKREŚLIŁ

#2029

Wład. Kor. Zieliński.

3579
1068.

WARSZAWA.
Nakład Filipa Sulimierskiego. Ś.-Krzyska Nr. 17.

1882.

10929
MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu
3967

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ,
Дня 19 *Іюня* 1882 года

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
FILIA
Nr 17
w Radomiu
914.39
2049

Drukiem „Wieku.“
Nowy Świat Nr. 59.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia

Alojzemu Piotrowi Hrabiemu

ZORZI.

Sekretarzowi miejskiego Muzeum „Correr“ w Wenecyi, Członkowi korespondentowi Panteonu i Członkowi honorowemu Akademii św. Łukasza w Rzymie, Towarzystwa opieki nad pomnikami starożytnemi w Londynie, Komitetu opieki nad Bazyliką św. Marka, Towarzystwa archeologicznego francuskiego w Paryżu,

i t. d., i t. d.

Życzliwemu przyjacielowi

poświęca

Autor.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia

WSTĘP.

Już od lat wielu nosiłem się z myślą przyswojenia literaturze naszéj dziejów Węgier, tak znakomicie i wyczerpująco napisanych przez Horvata, lecz różne i nieprzewidziane przeszkody stawały temu na zawadzie, i dziś, pozostawiając wykonanie powziętego zamiaru na czas późniejszy, przystąpiłem do opisania téj części kraju synów Arpada, w któréj czas dłuższy przebywając bliżéj się z nią poznałem.

Tak dzieje same jakotéż i kraj cały na zwiedzającym, niezmierne budzą zajęcie, które tém większe się staje, gdy przypomnimy sobie, że od zarania dziejów naszych, dzieje Węgier są z niemi niejako połączone a w wielu razach wzajemnie się uzupełniają.

Węgry właściwe z banacko-serbskim okręgiem wojskowym liczące dziś 4094, $_{254}$ mil kw. były rzymianom znane pod nazwą: Panonia i za Augusta stawszy się rzymską prowincyą, od III wieku były krajem, w którym germańskie, słowiańskie i tatarskie migra-

cyjne plemiona w pochodach swoich zatrzymywały się odpoczywając tu chwilowo. Część znaczna tych narodów osiadła tu stale.

Dzieje właściwe Węgier rozpoczynają się z chwilą przybycia i osiedlenia się Magyarów, co w połowie IX stulecia nastąpiło. Dzieje te są nadzwyczaj barwne, mnogą ilością wypadków mających doniosłe znaczenie przepełnione i łączące się ściśle z dziejami innych państw Europy środkowéj. Rozwój dziejów węgierskich przedstawia się jak wstęga barw tęczowych. Rozwój tych dziejów uczy zarazem, jak kraj podległy straszliwym wstrząśnieniom, przy niespożytéj sile i energii ducha, z upadku i rozstroju podnieść się i zakwitnąć może, nie tylko pod względem ekonomicznym lecz i politycznym.

Z rozwojem polityczno-ekonomicznym, Węgry, zawsze bogate ze względu na swe położenie klimatyczne, w drugiéj połowie bieżącego wieku szczególnie szczęśliwie pod każdym względem rozwijać się poczęły i daléj na téj drodze rozwoju postępują.

R. 1871 wedle sprawozdań ministeryalnych na 2,206,187 dzieci obowiązanych do uczęszczania do szkół, uczęszczało 1,258,500, i w roku tym było 14550 szkół ludowych z 19,297 nauczycielami. Nadto tegoż roku w Węgrzech było 60 seminaryów dla nauczycieli, 99 wyższych a 47 niższych gimnazyów, 11 wyższych a 17 niższych szkół realnych, 1 akademia handlowa, 1 politechnika, 1 uniwersytet i akademia umiejętności w Peszcie.

We trzy lata późniéj szkół ludowych było już

15,384, Do roku 1875 liczba dzieci uczęszczających do szkół podniosła się na 70%, i przeciętnie jedna szkoła przypadała na 874 mieszkańców.

Z rozwojem oświaty rozwija się bardzo naturalnie i dobrobyt krajowy, tak pod względem rolniczym, przemysłowym, jakotéż i handlowym. Produkcya pokrywa wszelkie krajowe potrzeby. Uprawiają téż tutaj w ogromnych ilościach kukurydzę, pszenicę, (najpiękniejszą i najbardziéj poszukiwaną w Banacie), jęczmień, żyto, owies i proso, oprócz tego uprawiane są: rzepak, rośliny farbierskie, strączkowe, cébulowate, melony, dynie, ogórki, rzodkiew, sałata, pieprz turecki, len i t. d. W rolnictwie najpiérwsze miejsce zajmuje uprawa tytuniu, którego rok rocznie ½ miliona cetnarów w przecięciu Węgry produkują. Następnie największym bogactwem Węgier są winnice, zajmujące 70 mil kw. i dostarczające przeciętnie 7 milionów wiader wina. Owoce najwyborniejsze jak słynne śliwy węgierskie, daléj brzoskwinie, morele, włoskie orzechy i t. d., stanowią także niemałą gałęź produkcyjną.

Ogromne łąki i pastwiska, obejmujące 1090 mil kw. kraju, przyczyniają się, że Węgry posiadają nadzwyczaj bogaty stan inwentarza rogatego i nierogatego: bo blisko 4,000,000 wołów i krów, 2,000,000 koni i przeszło 12,000,000 owiec. Drobiu idącego na handel eksportowy Węgry z nad dolnéj Cisy produkują rocznie przeszło 3,000 cetnarów. Toż samo dzieje się i ze zwierzyną, a mianowicie dzikiém ptastwem i z rybami.

Do tych bogactw fauny węgierskiéj przyłącza się jeszcze i bogactwo produktów kopalnianych; samego złota kopalnie węgierskie dostarczyły r. 1872 przeszło za 2,000,000 guldenów, srébra za 1,500,000 guld., miedzi 21,000 cetnarów, żelaza 2,500,000 cetnarów, a soli kamiennéj pięć razy tyle ile Węgry spotrzebować mogą. Węgla kamiennego przeszło 28,000,000 cetnarów. Nie mówię już tu o innych produktach kopalnych jak: antymonie, ołowiu, cynku, o sodzie, ałunie, glinie garncarskiéj i porcelanie, marmurze, alabastrze, szlachetnym opalu, oleju skalnym, graficie i torfie, które to produkta, aczkolwiek w mniejszych ilościach wydobywane, znaczne jednak przynoszą korzyści.

Przemysł nie jest jeszcze bardzo rozwinięty w Węgrzech, istnieje tu bowiem tylko 2706 fabryk, poruszanych siłą pary, dla tego téż zbywająca ilość produktów krajowych wywołała żywy ruch handlowy, który od r. 1851 znacznie się podniósł. W r. 1871 wartość towarów przywozowych wynosiła 472.$_3$ mil. guld. a wywozowych 357.$_6$ mil. guld., gdy w roku 1868 przywozu było za 319.$_7$ mil. guld., a wywozu za 329.$_9$. Komunikacyą krajową stanowią koleje żelazne i rzek spławne jak Dunaj i Cisa.

Pod względem intellektualnym od czasu pierwszych zawiązków literatury magyarskiéj, Węgrzy ogromny postęp uczynili. W XVI wieku widzimy zaczątki literatury węgierskiéj w pracach Balassa, który po węgiersku pisać począł, gdyż dotąd pisano

tylko po łacinie. Dawniejsze zabytki literatury węgierskiéj, pochodzące z XII do XVI w., ograniczają się na nielicznych fragmentach piśmiennictwa węgierskiego. Wiek XVII wydał kilku poetów jak Tinödi, Szegedi, Erdösi, Zriny, Liszti, Kóharu, Beniczky i Gyöngyösi. Wiek XVIII szczycić się zaczął wielką liczbą uczonych ludzi, i z ich téż grona, szczególnie Faludi, Virag, Endrödi i Kazinczy, odznaczyli się pieśniami ludowemi, które do dziś jeszcze w uściech narodu żyją; między tymi poetami odznacza się szczególnie jeden, znany także jako znakomity historyk, Józef Katona. Na samym zaś zaczątku świetnéj epoki literatury węgierskiéj XIX w., zabłysły imiona dwóch braci Aleksandra i Karola Kisfaludych; po nich to Węgry szczycić się zaczęły takiemi poetami jak Czuczor, Czokonai, Borzsenyi, Kölcsey, i twórcą samoistnéj węgierskiéj literatury „Michałem Vörösmarty“ (1800—1855). Po nim szeregi poetów, powieściopisarzy i historyków z dniem każdym powiększać się zaczęły i coraz bardziéj powiększają a w szeregach tych widzimy Aleksandra Petöfy, Jana Arany, N. Josika, Etvösa, M. Jokai'a, Jesaiasa Budai, Benedykta Virag, Horvath'a, Szalay'ego, Heltaia, Szalardiego, Kertbeny'ego, Vambery'ego i t. d.

Po ostatecznem uregulowaniu spraw politycznych z Węgrami, r. 1867, reskryptem Franciszka Józefa I nadaną została Węgrom oddzielna administracya krajowa. Wedle prawa węgierskiego, sprawy państwa winien załatwiać palatyn jako namiestnik królewski, lecz urząd ten dotąd nie jest obsa-

dzony, gdyż zakres działania polatyna nie został jeszcze unormowany. Obecnie więc krajem administrują ministerya: spraw wewnętrznych, wyznań i oświecania, rolnictwa, handlu i przemysłu, robót publicznych i komunikacyi, obrony krajowéj, sprawiedliwości, finansów, ministerstwo kroacko-sławońskie i dworu królewskiego. Ostatnie ministerstwo jest niejako pośredniczącém między osobą króla i rządem austryjackim z jednéj strony, a ministerstwami węgierskiemi z drugiéj strony; podobneż zadanie ma i ministerstwo kroacko-sławońskie pośrednicząc między królem i ministerstwami węgierskiemi z jednéj strony, a kroacko-sławońskiemi krajami z drugiéj strony. Ministrowie są odpowiedzialni przed węgierską radą państwa; prawo oskarżenia ma izba reprezentantów, sprawy zaś rozstrzyga sąd wybrany z łona izby magnatów.

Pod względem administracyi politycznéj kraj dzieli się na komitaty, dystrykty i wolne miasta. Węgry właściwe liczą 49 komitatów czyli hrabstw, 5 wolnych dystryktów i 48 królewskich miast. Każda wymieniona miejscowość tworzy odrębną municypalność, którą zawiaduje wydział municypalny. Na czele komitatów stoją nadżupani („Föispán“), na czele powiatów szeklerskich: wyższy sędzia królewski („Királyi föbiró“), na czele dystryktów: nadkapitan („Fökapitány). Tym władzom poddani są sędziowie powiatowi (Kerület biró), którzy zajmują się sprawami powiatów. Dla wymiaru sprawiedliwości istnieją liczne sądy. Najwyższą instancyą w Węgrzech jest „Curia

regis“ albo „Tabula septemviralis“, rezydująca w Peszcie. Obrona kraju powierzona jest wojsku krajowemu zwanemu „Honved“ i pospolitemu ruszeniu. Honwedzi dzielą się na pułki piesze, konnicę i artyleryą, na czele téj armii, liczącéj 113,000 ludzi, stoi naczelny komendant, będący zarazem i ministrem obrony krajowéj. Węgierska rada państwa składa się z izby deputowanych czyli reprezentantów (435) i z izby magnatów, wskład któréj wchodzą wyższe duchowieństwo i wysoka szlachta. Rezydencya króla i władz centralnych jest w Buda-Peszcie.

Wedle Hunfalvy'ego Węgrzy są blisko spokrewniani z ugierskim szczepem Wogulów, Ostjaków i Mordwinów, zamieszkujących u Altaju i Uralu. Pierwotnie zamieszkiwali przodkowie ich w Mongolii południowéj i zwali się Ujgurami, Ugrami, skąd przenieśli się na północ, poczem zjawili się w Baszkiryi, w sąsiedztwie Pieczyngów, około Uralu górnego, a ostatecznie, unikając ich ucisków, przedsiębrali wyprawy na południe, i z końcem IX wieku owładnęli kraje położone nad Cisą i Dunajem, nazywając się już Magyarami („Magyar“) a kraj swój „Magyar-Orszag.“

Język węgierski jest zupełnie odrębny od wszystkich języków europejskich jako wielce spokrewniony z fino-mongolskiemi, i pomimo że naród ten tyle wieków już w środku Europy przebywa, w języku węgierskim, który nadzwyczaj jest bogaty, bardzo a bardzo mało napotykamy obcych naleciałości, a jeżeli które są, to przeważnie pochodzą z języków słowiańskich

lub też z tureckiego. Językiem urzędowym, kościelnym, a nawet że tak powiem ogólno konwersacyjnym do ostatnich czasów, prawie w całych Węgrzech, był język łaciński, którym każdy węgier umiejący czytać i pisać tak jak rodowitym językiem władał. W ostatnich dopiéro czasach po r. 1848 zaczęto umiejętność języka łacińskiego zaniedbywać i dziś posiadają go tylko ludzie poświęcający się naukom i życiu politycznemu.

Ponieważ niejednokrotnie przyjdzie mi w ciągu téj pracy, przytoczyć bądź pojedyńcze wyrazy, nazwy lub też i zdania węgierskie, wypada mi przeto coś powiedzieć o pisowni i wymowie magyarskiéj.

Alfabet węgierski składa się z 41 liter, i dzielą się one na samogłoski (maganzok lub też önhangzók) i spółgłoski (mássalhangzók lub też: tarshanguak).

a, á, b, cs, cz, d, e, é, ë, f, g, gy, h, i, í, j, k, l, ly, m, n, ny, o, ó, ö, p, r, s, sz, t, (ts, tz) ty, n, ú, ü, z, za*).

Głoski te są ze względu na sposób wymawiania gardłowe, wargowe, zębowe, i językowe.

Wskutek tego dzielą się na:

1. zamknięte czyli tępe: o, u, ö, ü, ó, ú.
2. otwarte czyli jasne: e, á, é.
3. pół zamknięte: a.
4. pół otwarte: i, í.

Pod względem zaś głębokości (concavitas) wewnętrznéj jamy ustnéj (gardzieli) samogłoski są następne.

*) Ze względu na brak odpowiednich czcionek zmuszeni jesteśmy poprzestać tylko na wymienieniu powyższych głosek.

1. głęboko brzmiące czyli twarde (melyak) u, o, a, ú, ó, á.

2. średnio brzmiące czyli miękkie (magasak) ü, ö, e.

3. wysoko brzmiące czyli ostre (legfensöbb) é, i, í.

Pojedyńcze głoski i spółgłoski wymawiają się:

1. **cs** jak cz, np. *csók* całus, wymawia się **czok**; *gancs* nagana, wymawia się: **gancz**.

2. **cz** jak **c** naprzykład: *czukor*-cukor (cukier) *czérna*-cerna (nitka).

3. **gy** jak miękkie **dj** a mianowicie jak d w francuskim *dieu* (Bóg), np. **Vagyok** *Vadiok* (jestem); **gyermek** diermek (dziecko).

4. **ly** jak **lj** w francuskim *bouteille* lub w włoskim: *gli*, figli (synowie) np. **Lyuk** Ljuk (dziura), **Király** Kiralj (król).

5. **s** jak **sz** np. **só** szo (sól), **ser** szer (piwo).

6. **sz** jak **ss** np. **szeg** *sseg* (gwóźdź), **szent** *ssent* (święty).

7. **ty** jak w francuskim *t*, *metier* (rzemiosło) np. **tyuk** tiuk (kura), **kutya** kutia (pies).

8. **Z** jak polskie *z*.

8 **Zs** jak francuskie j, *jour* (dzień) lub polskie **ż**, np. **zsido**-żido (żyd), **zseb**-żeb (kieszeń).

Oto przykład:

Egy szó mint száz, czyta się: *Edi so mint ssaz* (słowo się rzekło).

Kitetszik a vasszeg a zsákból czyta się: *Kitetssik a vaszsseg a żakbol* (I z pod lwiéj skóry wyłażą ośle uszy).

Na tém krótkim rzucie oka na dzieje, oświatę, handlel, przemysł i administracyą Węgier poprzestaję.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

3570

I.

Opuściwszy Wiedeń statkiem parowym dążącym do Galaczu, po parogodzinnéj podróży śród malowniczéj okolicy, znaleźliśmy się nareszcie w przesmyku tak zwanym „Porta Hungarnica“, utworzony pomiędzy łańcuchem gór Litawy, kończącym się pod Hainburgiem a małemi Karpatami, rozpoczynającemi się od skał tuż nad ujściem Morawy, na szczycie których rozsiadły się malownicze ruiny zamku Dewin (Theben).

W miejscu tém przekraczamy granicę cesarstwa austryackiego i wkraczamy do Węgier, uroczéj ziemi synów Arpada.

Minąwszy zaledwo przesmyk wyżéj wzmiankowany, spostrzegamy już zdala zamek i most łyżwowy w Presburgu; miasta samego jeszcze nie widzimy lecz szereg pięknych domów wznoszących się po nad wybrzeżem pozwala nam wnosić, że i miasto samo nie zawiedzie nas w oczekiwaniu.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
FILIA
Nr 17
w Radomiu

Parowiec pędzący z szybkością strzały zbliżył się do mostu, który tymczasem został otwarty, a przemknąwszy pomiędzy jego przęsłami, zakręcił ku wybrzeżu, na którym się zebrały tłumy ciekawych spacerowiczów.

W towarzystwie dwu młodych węgrów dążących do Pesztu, panów Kovacsa i Mighazi, opuściłem statek, który za pół godziny daléj miał popłynąć, i pośpieszyłem do miasta gdzie do dnia następnego zabawić zamierzyliśmy, celem dokładnego poznania Presburga, niegdyś miasta koronacyjnego królów węgierskich.

Ulokowawszy się w hotelu „pod królem węgierskim“, tuż naprzeciw przystani, ruszyliśmy najpierw do katedry wzniesionéj 1090 r. przez św. Władysława, pod wezwaniem św. Marcina.

Piękna to świątynia w stylu gotyckim, zdobna wspaniałą wieżą o złocistéj kopule. Zewnętrznie wielce oszpecona licznemi przybudowaniami wzniesionemi wczasach późniejszych, zato wnętrze ma wspaniałe i godne miejsca koronacyi królów, którzy stąd wyjeżdżali na tak zwany pagórek koronacyjny, wznoszący się tuż nad brzegiem Dunaju, gdzie na znak gotowości do obrony kraju na cztéry strony świata mieczem św. Szczepana w powietrzu nakréślali znak krzyża świętego. W świątyni téj najgodniejszą uwagi jest ołowiana grupa Dannera, przedstawiająca św. Marcina na wspinającym się koniu, w chwili w któréj płaszcz swój rozcina na dwie połowy, by okryć u nóg klęczącego ubogiego. Św. Marcin był Węgrem,

przeto i artysta rzeźbiarz ubrał go w kostium narodowy, co dosyć pocieszne wygląda. Oprócz téj rzeźby zwraca także na siebie uwagę chrzcielnica metalowa, pochodząca z r. 1400, piękne wrota kościelne w kaplicy św. Anny wzniesionéj w XV stuleciu i prześliczna monstrancya, zabytek z r. 1517, ważąca 13 funtów, cała ze srebra i 3½ stóp wysoka. W kaplicy św. Jana podczas koronacyi królów przez ciąg dni trzech złożone były insygnia koronacyjne, i na tę też okoliczność usłużny cicerone kościelny zwraca szczególną uwagę zwiédzających.

Oprócz katedry zwiédzaliśmy jeszcze parę innych kościołów, między temi kościół franciszkanów z piękną kaplicą św. Jana.

Zwiédziwszy starożytny ratusz zewnętrznie zdobny malowidłami al fresco, podążyliśmy wąskiemi i nieschludnemi uliczkami, zamieszkałemi przez ludność bardzo nisko upadłą pod względem moralności, na górę zamkową, która panuje nad całém miastem.

W zamku roztacza się rozległy widok, sięgający aż wiedeńskiego Kahlenbergu; sam zamek nie budzi żadnego zajęcia, gdyż o ile to być mogło mury jego zużytkowano na pomieszczenie koszar wojskowych, magazynów i mieszkań dla oficerów.

Preszburg będąc stolicą komitatu tegoż nazwiska jest zarazem wolném miastem królewskiém, liczy do 50,000 mieszkańców, i jest siedzibą arcybiskupa mającego tu piękny pałac; jest też akademia prawnicza, gimnazyum, wyższa szkoła realna, protestancka i

katolicka szkoła teologiczna. Niegdyś gdy w Presburgu odbywały się sejmy i koronacye, wtedy miasto to było wielce ożywione i ruchliwe; dziś spokojne i dla tegotéż zamieszkują je liczni cywilni i wojskowi emeryci; w każdym razie nie w tak znacznéj ilości jak w Hradcu, skutkiem czego to ostatnie miasto otrzymało nazwę *Pensionopolis*.

Z góry zamkowéj udaliśmy się do ogrodu miejskiego, tuż obok teatru, gdzie „le beau monde“ na przechadzkę się zgromadza. Nim jeszcze słońce na horyzoncie zapadło podążyliśmy na lewy brzeg Dunaju do tak zwanéj „Brückenau“, pięknego ogrodu, pośród którego znajduje się teatr letni zwany Areną. W ogrodzie tym, minąwszy obie pływalnie, zasiedliśmy pod werendą kawiarni zwanéj „Im Habern“ a słynnéj tém, że tu gromadzą się na białą kawę damy z towarzystwa miejskiego. Pomimo jednak rozgłośnéj sławy jakoby Preszburdżanki były zachwycająco piękne, muszę temu stanowczo zaprzeczyć, albowiem te które tak w tém miejscu jako też w ciągu dnia widziałem w mieście, na sławę piękności bynajmniéj nie zasługiwały; przeciwnie nawet prędzéj do niepięknych policzone być mogły.

Presburg (Posony, Pożoń) po zdobyciu Budy przez Turków, od r. 1541 do r. 1794 był stolicą Węgier. Tu także po bitwie pod Austerlitz r. 1805 dnia 26 grudnia zawarty został słynny w dziejach pokój Presburski.

Tak handel jako i przemysł względnie jest tu dosyć ożywiony, a przemysł tutejszy odznacza się słynnemi w całéj Austryi i Węgrzech: „presburskiemi sucharami“. Wyrób to cukierniczy z mąki kukurudzianéj, rozchodzi się podobno w niezmiernie wielkiéj ilości.

Uprzejmy gospodarz hotelu pod królem węgierskim zachęcał nas bardzo, ażebyśmy nazajutrz zwiédzili jeszcze wioskę Oberufer nad brzegiem Dunaju pod górę wody, zasługującą na uwagę z tego, że tu dotąd jeszcze tak jak w Oberammergau, jak w Tyrolu lub Körmöcbanya (Kremnitz), rok rocznie przedstawiane bywają przez włościan miejscowych misterye religijne, sięgające połowy XVI wieku. Misterye pomienione „Narodzenie Chrystusa“, „Raj“, „Męka Pańska“ poprzedzane są prologami spiéwanemi przez przewodniczącego chórami. Bomimo jednak wielkiéj wymowy pana gospodarza, następnego dnia statkiem, który przybył z Wiednia, puściliśmy się w dalszą podróż.

Na statku było dosyć gwarno i ludno; jechało bowiem do Pesztu liczne niemieckie towarzystwo. składające się z kilku opasłych bawarczyków i ich szanownych połowic. Niemcy, wyjechawszy z Wiednia po dobrém widać śniadaniu, w różowych byli humorach, a że dzień poczynał być skwarnym, więc téż chłodzili się bezustannie szwechackim nektarem, którego w bufecie parowca sporą znaleźli ilość, zagryzając presburskiemi preclami i suchemi rogalikami z makiem. Cały statek szwargotem i wykrzykami zachwytu napełniali.

Tuż za Preszburgiem na lewo rozdziela się Dunaj na dwa ramiona, tworząc wielką wyspę „Czalloköz“. Ramię lewe, okrążające tę wyspę, w dalszym przebiegu łączy się z Waagiem i pod Komornem wpada do Dunaju. Główne koryto Dunaju w miejscu tém zwane jest „Ersek-Ujvár-Duna“, a to z powodu iż nad tuż brzegiem rozsiadło się miasteczko Ersék-Ujvar (Neuhäusel) po za którym znowu od Dunaju oddziela się na prawo drugie ramię zwane „Wieselburskie“, które tworząc wyspę „Mały Schütt“, prod Vének napowtót z głównym kanałem się łączy. Cała ta przeszło dziewięciomilowa przestrzeń chwilami każe nam zapominać że znajdujemy się w samym środku Europy. Niezliczona ilość ław piaszczystych i żwirkowych, wysepek porośniętych i nagich, zapełnia tę przestrzeń i zmusza szybujący statek do ciągłego zmieniania kierunku i nadzwyczaj przezornéj żeglugi. Towarzystwo komunikacyjne żeglugi na Dunaju, z uwagi że stan wody w tém miejscu jest bardzo rozmaity, a mianowicie śród lata, utrzymuje statki płytko idące które w danym razie są spożytkowywane.

Dunaj w tém miejscu jeszcze dla jednéj przyczyny ma wielkie podobieństwo z amerykańską rzeką Mississipi, a to że najeżony jest mnogą ilością pniaków i całych pni osadzonych w mulastém łożysku rzeki

Wprawdzie ponad brzegami Dunaju nie widać już lasów dziewiczych, ale gdy na wiosnę Morawa jaką starą wierzbę wyrwawszy z nad brzegu, uniesie i pod Presburgiem w korycie Dunaju złoży, to jak na Missisipi na pniach drzewa bawełnianego, tak tu ku

wièrzbie przepływający statek rozpruć się może. Przeszkody te w ostatnich czasach, mianowicie przed r. 1856, znacznie pousuwano pomimo tego jeszcze wiele pracy potrzeba nim koryto rzéki z nich zupełnie oczyszczone zostanie, i dlatego tak sternicy jako i kapitanowie na statkach tędy kursujących muszą być dobrze z korytem i prądami rzéki obznajmieni.

Kapitan naszego statku należał właśnie do liczby starych wilków morskich, a że rozochoceni Niemcy parę razy w kierowaniu statkiem sternikowi przeszkadzali i przez to omal że statek nie wpadł na pień podwodny, przeto rozbrykanych pasażerów zapędził do kajuty, zagroziwszy, że jezeli spokojniéj się nie zachowają, każe ich na ląd wysadzić. Odtąd Niemcy spokornieli znacznie i siedząc w kajucie czas skracali sobie śpiéwami chóralnemi.

Na całéj téj przestrzeni z powodu niestałości brzegów przed wielu laty zaczęto koryto rzéki regulować; olbrzymią tę pracę rozpoczęto jeszcze r. 1853, i utworzono sztuczny lewy brzeg z kamienia układanego na mech. Roku 1859 regulacya prawego brzegu jeszcze nie była skończoną.

Okolica, którą tu przebywają statki mało budzi zajęcia, zdala gdzie niegdzie widać śród ogrodów jakąś wioskę, wieżę kościelną; lub gmach większych rozmiarów. Nad brzegami śród sitowia, gnieżdżą się w wielkiéj ilości dzikie kaczki, kurki i inne ptastwo wodne, które przepływające statki parowe wita krzykiem ogłuszającym.

Wielka wyspa: Czalloköz, obok której przepływamy, ciągnie się przeszło 11 mil i liczy 2 do 4 mil szérokości na niéj rozsiadło się wiele miasteczek wsi i osad. Wyspę pomienioną przeważnie zamieszkuje udność czysto madjarskiego pochodzenia, a to z téj przyczyny, że Węgrzy, przybywszy w te strony, najsamprzód tu osiedli.

Tuż nad lewym brzegiem widnieje miasteczko Vajka, zamieszkałe przez samą szlachtę. Mieszkańcy téj miejscowości przed wieki byli wasalami arcybiskupów Granu, i zwali się: praedialistami, mając obowiązek służyć w czasie wojen w banderyach arcybiskupich, za co zostali uszlachceni. Wedle podania w Vajka przemieszkiwał św. Stefan, wtedy gdy na cześć 12 apostołów, dwanaście kościołów budował; samo zaś miasteczko nosi jego imie, którego będąc jeszcze poganinem używał. W każdym razie zadziwiającą jest rzeczą, że w przeważnéj liczbie kościoły wzniesione na wyspie Csallokoz są do siebie tak podobne jakby je jeden i ten sam wznosił budowniczy. Struktura tych kościołów starogotycka. Najprawdopodobniéj budowle te powstały za czasów króla Macieja.

Dotarliśmy do Fehértemplomváros (Weiszkirchen, Medve), gdzie znajduje się przewóz i stacya dla statków zbożowych. Tu wesołe towarzystwo, siedzące dotąd w kajucie, wyległo na pokład i przy dźwiękach cygańskiéj muzyki, która od Vajka z nami jechała, zaczęto tańczyć i skakać; lecz p. kapitan, uważając te wybuchy wesołości za zbyteczne i niepokojące innych pasażerów, zabronił muzyce przygrywania do tańca i

kategorycznie oświadczył synom Tusneldy, aby się uspokoili, gdyż w razie przeciwnym zmusi ich do przyzwoitego zachowania się.

Usłyszawszy to oświadczenie, jeden z wesołych turystów, człowiek wzrostu niskiego, rumiany i okrągły jak pączek w maśle, ze starannie ogoloną twarzą o małych, siwych i ruchliwych oczkach, z wiecznie na ustach igrającym uśmiéchem zadowolenia, zbliżył się do kapitana, a stanąwszy przed nim w pozycyi Napoleona po bitwie pod Austerlitz donośnym zawołał głosem.

— Mój panie! ja i całe nasze towarzystwo, zapłaciliśmy za bilety piérwszéj klasy, mamy więc prawo robić co nam się podoba, a pan, który jesteś na to aby nas szczęśliwie dowieść do oznaczonego miejsca! nie masz prawa zabraniać nam bawienia się!

— *O! Ez igazán pompás!* (1) zawołał kapitan Węgier rodem i jak łatwo pojąć można bardzo źle mówiący po niemiecku. Czy pan nie znasz praw mnie przysługujących, i przepisów jakie podróżnych obowiązują?

— *Ah! Was?* Co? przepisy?! zawołał czupurny Niemiec; nic mnie one nie obchodzą, zapłaciłem i basta! wolno mi robić co mi się podoba! *Himmel-Kreutz Donner-Weter!*

— Nie przeczę, tylko nie na statku, który ja prowadzę, odparł kapitan, i dlatego albo pan i towa-

(1) O! ależ to wyborne!

rzysze jego zastosują się do przepisów i mego rozkazu, lub też natychmiast będę zmuszony panów wysadzić na ląd!

— Spróbuj pan, zakrzyknął Niemiec.

— *Bizonyos!* (2) odparł kapitan a zwracając się ku pokładowi maszynowemu zawołał: „*Stop!*“

W chwil kilka statek w pośrodku rzéki zatrzymał się, łódź do wody spuszczoną została, a kapitan w towarzystwie kontrolera i dwu majtków buńczucznego Niemca wraz z jego towarzystwem wezwał, aby ze względu na nieprzyzwoite zachowanie się statek niezwłocznie opuścili.

Niemiec ów, widząc, że to nie żarty, uderzył w pokorę, i oświadczywszy, że tak on jako téż i jego towarzysze zachowają się nadal spokojnie, zdołał wyprosić się od eksmisyi i mrucząc tylko pod nosem jakieś niezrozumiałe wyrazy, wraz z całém towarzystwem wrócił do kajuty, w któréj niebawem, zapewne z nudów usnął snem sprawiedliwego, kapitan zaś zakląwszy siarczyście i splunąwszy pogardliwe wydał rozkaz, aby statek w dalszą puścił się drogę.

Po tém małém intermezzo zbliżyliśmy się do Oroszvar (rzymskie Castra Gerulata) a minąwszy je w głębi po za małym Szütt ujrzeliśmy Magyar Ovar i Mosony. Pierwsza z tych miejscowości jest stolicą rozległych dóbr arcyksięcia Albrechta, obejmujących 13 mil kwadratowych a z powodu swych agronomicznych zakładów, wysokiéj kultury i wzorowego gospodarstwa, są te dobra, tak jak włości arcyksiążęce w Cieszyńszczyźnie i Żywiecczyźnie, znane w całéj monarchii. W r. 1814 z bezużytecznie leżącego pastwiska, utworzono tu łąkę zwaną „Marienau“, która po dwudziestu latach stopniowego rozszerzania obejmowała już 1200 morgów trzy i cztérokośnego pastwiska. Przez stosowną zaś uprawę, drenowanie i t. d., z bagien Hàusag nad jeziorem Fertö (Neusiedlersee) w ciągu lat 10 uzyskano tyle uprawnéj ziemi, że w r. 1859 było tu przeszło 2000 owiec i 400 wołów na wypasie. W ciągu tego czasu t. j. w ciągu lat 20 do r. 1814 na całéj przestrzeni dóbr Magyar Ovar'skich wykopano 40,187 sążni rowów i na przestrzeni 50 mil w prostéj linii zasadzono w około pól żywopłoty.

Już arcyksiążę Albrecht Sasko Cieszyński założył tu r. 1818 instytut agronomiczny, który przez arcyksięcia Karola, słynnego wodza z pod Aspern, znacznie został rozszérzony; pomieszczono tu bezpłatnie 50 uczniów. Doniosłość tego zakładu, skłoniła rząd, że instytut ten stał się zakładem rządowym i otrzymał tytuł akademii rolniczéj.

Magyar Ovár leży na wyspie utworzonéj przez Lejtę, która tu do Dunaju wpada. Król Ludwik posiadłość pomienioną dał jako podarek ślubny siostrze swéj Annie, idącéj za mąż za arcyksięcia Ferdynanda. Dobra te ciągle jako wiano przechodziły w ręce królowych węgierskich zdomu Habsburgów i nareszcie dostały się siostrze cesarza Franciszka, Maryi Krystynie, która poślubiła księcia Alberta Sasko-Cieszyń-

(2) Niewątpliwie!

skiego, a któréj pomnik rzeźbiony przez Canovę znajduje się w kościele augustyanów w Wiedniu. W byłym zamku książęcym mieści się teraz akademia rolnicza. Magyar Ovàr leży w komitacie mosońskim, tuż nad koleją wiedeńsko-peszteńską i liczy do 3000 mieszkańców; oprócz gmachu akademii rolniczéj na uwagę zasługuje tu także piękny kościół wraz z kolegium pijarów.

Tuż u ujścia Raaby do Dunaju leży miasto Györ (Raab). Jadąc statkiem parowym, głównym kanałem Dunaju, zdaleka tylko widać starożytne to miasto, które za Rzymian niewątpliwie zwało się Arrabona, i w którym r. 1009 król Stefan założył stolicę biskupią. Györ było główną twierdzą przeciw Turkom, którzy zdobyli ją dopiéro r. 1594. Statek dopływa tylko do Gönyö, stacyi głównéj, będącéj zarazem i portem Györskim.

Miejscowość ta leży tuż złączenia się kanału bocznego z głównym kanałem Dunaju do tego punktu zwykle dochodzą wielkie statki płyuące pod wodę. Tu wznoszą się piękny gmach agentury żeglugi parowéj, obszérne magazyny i piękny hotel. Przy niskim stanie wody zawsze w tutejszym porcie stoją na kotwicy remorkery, które nadpływające statki pod wodę ciągną. Tu stają także wielkie amerykańskie statki pasażerskie, które przy wysokim stanie wody aż do Wiednia dochodzą. Trzeba jeszcze dodać, że aż do Gönyö dochodzą także wielkie statki zbożowe, holowane przez 20—40 koni.

Opuściwszy tutejszą przystań, dążymy daléj na południe okolicą bynajmniéj nie budzącą zajęcia, pomimo że od Gönyö aż do Granu tuż ponad prawym brzegiem rzéki ciągnie się szosa dosyć ożywiona. Przy korzystném oświetleniu, z Gönyö widać słynny klasztor benedyktynów Szent Marton (Sacer mons Panoniae) założony przez króla Stefana.

Minąwszy ujście małéj rzéczki Czonczö i wioskę Acs pod murami któréj r. 1849 krwawa stoczoną była bitwa, dopłynęliśmy nakoniec do łyżwowego mostu pod Komornem. Naprawo widnieją stacya kolei żelaznéj Uj-Szöny i w dali cóskolwiek O Szöny.

Twierdza Komorn (Komarom) zbudowaną jest na lewym brzegu Dunaju tuż u ujścia Waag-Duny i na ostatecznym krańcu wyspy Csalloköz. Twierdza ta wzniesioną była 1277 r. W przystani statków parowych pogwarzywszy cóskolwiek z kolegami, którzy przypadkowym sposobem tu się znajdowali, ruszyliśmy daléj przepływając po pod park O-Szöny należący do hr. Zichy. Tu znajduje się wielka liczba rzymskich pomników, i jeżeli miejsce to zwało się niegdyś Bregetium, to tutaj 17 listopada 375 r. p. N. Chr. w czasie audyencyi udzielanéj wysłannikom Quadów, zmarł imperator Walentynian. Od téj miejscowości rozpoczynają się winnice Naszmély, ciągnąc się aż do Granu. W Almas obok którego przepływamy znajdują się termy i kopalnie czerwonego marmuru. W Neszmely r. 1439 zmarł cesarz Albrecht II zjadłszy nie pomierną ilość kawonów, które dotąd słyną tu ze swéj

dobroci. Minąwszy Süttö, Piszke i Tath zbliżyliśmy się nareszcie do Estergom (Gran).

Wspaniały widok roztoczył się przed oczyma naszemi; na wysokiéj górze po nad modrym Dunajem wznosiła się olbrzymia świątynia, a zarazem i rezydencya prymasów węgierskich. Tu też opuściliśmy statek celem zwiédzenia téj miejscowości.

Esztergom położony jest naprzeciw ujścia rzéki Gran wpadającéj do Dunaju po lewéj jego stronie. Nieulega wątpliwości że miejscowość ta znaną już była za Rzymian i że istniała przed przybyciem Magyarów w te miejsca. Obrane za siedzibę Geyzy wsławiło się tém, że r. 994 urodził się tutaj syn jego Stefan piérwszy król i apostoł Węgier, który lud swój nakłonił do przyjęcia chrześcianizmu i ufundowany tu kościół podniósł do godności metropolitalnéj. Otóż ta okoliczność jest powodem, że arcybiskupi Granu zostali prymasami Węgier i że w następstwie tutaj wzniesiono olbrzymię i wspaniałą świątynię. Jak widzimy Estergom ściśle jest związany z piérwotnemi dziejami tego kraju, bo stąd rozlały się piérwsze promienie światła niosącego zbawienie, tu przyszedł na świat wielki mąż, który byt węgierskiéj korony utrwalił, który, urodzony z Adelajdy siostry Mieczysława I zwanéj „białą kniéhinią“ a więc będąc siostrzeńcem Mieczysława I i bratem ciotecznym Bolesława Chrobrego zajaśniał świętobliwością i bogobojnym żywotem swoim zdobył sobie promienną koronę świętych, stając się zarazem patronem téj pięknéj krainy.

Estergom składa się z właściwego wolnego królewskiego miasta, z miasta arcybiskupiego i dwu wcielonych miasteczek St-Georg i Tomashegyvaros, liczy 1500 domów i przeszło 13,000 ludności. Na placu ratuszowym wznosi się figura św. Trójcy na pamiątkę ustania zarazy, i pomnik Maryi Teresy wzniesiony r. 1871 z białego marmuru. Tak królewskie jakotéż i arcybiskupie miasto pięknie jest zabudowane i posiada kilka pięknych pałaców i gmachów publicznych jak np. gmach komitatowy. Oprócz wspaniałéj arcybiskupiéj rezydencyi znajduje się także seminaryum duchowne i kilka klasztorów z pięknemi kościołami. Mieszkańcy tutejsi trudnią się przeważnie handlem win i zboża. Naprzeciw Estergomu leży miasteczko Párkany połączone ze stolicą komitatu mostem na pontonach. Pod tém to miasteczkiem Jan III wracając z pod Wiednia 1683 odniósł świetne zwycięstwo nad Turkami.

Wszystko to jednak mało budzi zajęcia w obec katedry wznoszącéj się na zamkowéj górze. Na górze téj piérwotnie wznosiła się twierdza, którą Bela III rozszérzył i wzmocnił, tak dalece, że r. 1241 Mongołowie napadłszy na Esztergom wprawdzie miasto zdobyli lecz zamku zdobyć nie mogli. Przed nadciągającym Solimanem prymas umknął do Presburga, kapituła zaś do Tyrnawy (Nagy-Szombat) skąd dopiéro r. 1820 do dawnéj swéj siedziby wróciła. Estergom był w posiadaniu Turków w latach 1543 do 1595 i w roku 1605 do 1683. Zamek estergomski za Karola VI zburzono, i dziś pozostały tylko po nim niektóre ślady. Ze wspaniałéj gotyckiéj katedry, sklepienia

której spoczywały na kolumnach z białego marmuru, Turcy pozostawili w całości tylko kaplicę. Kilkakrotnie sporządzano różne plany aby zburzoną świątynię podźwignąć, jednak dopiéro r. 1856 we wrześniu za prymasa Aleksandra Rudnay nowowzniesiona świątynia mogła być poświęconą. Katedra już jest wykończona, brak jednak jeszcze dwu skrzydeł pobocznych. Jedno z nich stanowić ma rezydencyą prymasa drugie zaś króla, i wtedy dopiéro katedra estergomska przedstawi się w całym przepychu.

Na zamkowéj górze którą splantowano, rozciąga się obszérny plac na którym wzniesiono nowe rezydencye dla 24 kanoników; jest ich tylko dwunastu, bo dochody przeznaczone dla reszty obracane są na wykończenie gmachów katedralnych. Tuż obok i naprzeciw kościoła wznoszą się dwa gmachy seminaryjnie. Stąd széroki podjazd prowadzi do katedry, która wznosi się na szczycie góry zamkowéj. Pod tym podjazdem znajduje się tunel długi 60 sążni, z którego wchodzi się do olbrzymich piwnic we wnętrznościach góry. Do wzniesienia kościoła i wszystkich gmachów, naśladując kościół św. Piotra w Rzymie, dał plany architekt Kuhnel. Po nad kościołem wznoszą się dwie dzwonnice mające na dole kaplice i wejścia boczne do świątyni. Brama wchodowa będąca pod portykiem, zdobnym w olbrzymie wschody, jest dziełem peszteńskiego ślusarza Sozer, i każda jéj połowa waży 104 cetnary; pomimo tego jednak obraca się z całą łatwością jak piórko na olbrzymich swoich zawiasach. Wnętrze téj świątyni, swoim ogromem i po-

ważną ornamentacyą sprawiło na mnie niezmierne wrażenie.

Stałem oniemiały u wrót kościelnych, patrząc w niezmiernie rozległą przestrzeń: katedra ma 336 stóp długości, 144 stóp szérokości, a kopuła 250 stóp wysokości. W wielkim ołtarzu znajduje się obraz pędzla Grigolettiego z Wenecyi, mający bez ram 40 stóp wysokości, a 20 stóp szerokości. Obraz ten przedstawia Wniebowzięcie N. Maryi Panny, i pomimo swoich rozmiarów wcale wielkim się nie wydaje. Poprzednio pomieszczony tu był obraz św. Stefana, malowany przez Michała Hesz'a z Egervaros (Erlau, Jager) *).

Ołtarz wielki cały jest z białego marmuru, rzeźbiony przez Bonaniego, ozdobiony prześlicznemi bronzami Danningera z Wiednia. Ołtarz ten kosztował 32,000 guld. a budowa całego kościoła do roku 1859 kosztowała 2.080,000 guld. Prześliczne są tu stalle kanoników, boazerye zdobne w biusta słynnych książąt kościoła, rzeźby Schönthalera i t. d. Cokół wewnątrz kościoła cały jest z czerwonego marmuru ze Süttö, ściany zaś z białego stiuku; takież są i kolumny podtrzymujące kopułę z tłem niebieskiém, zasianém złotemi gwiazdami. Freski pomieszczone na ścianach

*). Obraz ten o wiele jest większy od Bitwy pod Grunwaldem Matejki, która liczy 9 metrów 87 ½ centim. długości a 4 metry 26½ cent. wysokości czyli mniéj więcéj: 30 stóp długości a 13 wysokości.

są pędzla Moralt'a z Monachium. Posadzka marmurowa. Boczne ołtarze rzeźbił Meixner. Przy téj katedrze kaplic bocznych jest tylko dwie, jedna 300 lat licząca kaplica Panny Maryi a druga św. Stefana, zdobne we wspaniałą rzeźbę Ferenczi'ego, przedstawiającą patrona Węgier, i w pomnik marmurowy prymasa arcyksięcia Ambrożego, zmarłego r. 1808. Pomnik ten rzeźbił Pisani. Organy o 64 regestrach budował Moser w Salzburgu.

Po 117 stopniach schodowych dostaliśmy się do sali modelowéj, gdzie są ustawione drewniane modele całego kościoła z otoczeniem i staréj twierdzy, prześlicznie wykonane w rozmiarze pół cala na 1 sążeń. Tu przechowywany jest także pałasz i pancerz ostatniego komendanta twierdzy generała Schuhknechta, zmarłego 1734 roku.

Z sali téj dostaliśmy się na piérwszy taras, na czterech rogach którego ustawione są statuy czterech ewangelistów, po 15 stóp wysokości, nadto od strony rzeki ustawione postacie św. Stefana, Władysława, Piotra, Pawła i 21 stóp wysoka symboliczna postać Religii. Wszystkie te figury rzeźbił Casagrande w Wenecyi.

Kopułę, jak mówiłem, podtrzymują kolumny, po 60 stóp wysokości; żelazne wiązanie kopuły waży 106,735 funtów, a miedziane pokrycie 30623 funtów. Pozłacany krzyż 19 stóp wysoki osadzony jest na kuli mającéj 15 stóp w przecięciu. Wnętrze katedry oświetla 22 olbrzymich okien.

Pod katedrą znajdują się groby, do których po-

przedzeni przez kościelnego, spuściliśmy się. Dwie olbrzymie postacie skrzydlatych aniołów (z piaskowca) stoją u wrót prowadzących do podziemia, podtrzymując wieńce cyzelowane z ołowiu (każdy wieniec waży 84 funtów). W ciemnym przedsionku pomieszczonych jest w murze 239 nisz, w które być mają wsławiane trumny. Sklepienie głównéj halli podtrzymuje 10 słupów z piaskowca, i tu pomieszczono stare kamienie grobowe. Za tą hallą jest rotunda, w któréj sto i ołtarz i są nisze grobowe dla prymasów. Ściany, ołtarz, cztéry kolumny: słowem wszystko tu z marmuru czerwonego, i tu spoczywają ciała arcybiskupów, Ambrożego, Rudnay'a i Kopacsy'ego; w bocznéj halli pomieszczony marmurowy pomnik generała Schuhknechta, wzniesiony r. 1732.

W pobliżu katedry stoi jeszcze parę starych domów, wzniesionych na starych fortecznych murach; naprawo zaś od katedry wznosił się do niedawna jeszcze dom, w którym urodził się św. Stefan. Cały ten dom był niegdyś smętarzyskiem tureckiém. Na północnym stoku góry, 312 stóp ponad powierzchnią rzeki wznosi się rezerwoar wodny, obejmujący 2300 stóp kubicznych wody, pompowanéj maszyną parową, służący do zaopatrywania w wodę całéj rezydencyi arcybiskupiéj.

Obejrzawszy kościół i jego otoczenie zeszliśmy do miasta, gdzie ulokowaliśmy się w hotelu „pod krzyżem" i pozostaliśmy na noc, aby nazajutrz po południu puścić się w dalszą drogę.

Dodać tu winienem, że w Esztergon znajdują się termy i źródła gorzkiéj wody.

Po śniadaniu ruszyliśmy przez most pontonowy do miasteczka Parkany, gdzie do południa zwiedzaliśmy pole bitwy z r. 1683; naturalnie że dziś ani śladu niéma krwawéj walki, jaka się tu odbyła; są tylko gdzie jeszcze niegdzie śród winnic i ogrodów małe pagórki, które kryć mają zwłoki pobitych muzułmanów. Na jednym z nich wznosi się w ziemię zapadły i mchem porośnięty krzyż kamienny. Oprowadzający nas gazda opowiadał, że pod tym krzyżem spoczywać mają rycerze polscy. Na krzyżu są jeszcze ślady jakiegoś napisu, lecz odczytanie jest już nie możebne.

Po południu, gdy statek z Wiednia nadpłynął, puściliśmy się w dalszą drogę.

Kapitan statku zaraz na wstępie, dowiedziawszy się że pragnę dokładnie poznać wybrzeże Dunaju, z całą uprzejmością ofiarował się być moim ciceronem, zasiadłem więc na pokładzie i z góry przypatrzyłem się pięknéj panoramie.

Okolica, którą od Esztergom, przybywaliśmy z każdym krokiem niemal stawała się bardziéj zajmującą. Poniżéj opuszczonego miejsca rzeka przedziera się przez porfirowe góry, które z doliny Granu przedostają się na prawy brzeg Dunaju; wyżyny porośnięte lasami, winnice tuż ponad lewym brzegiem rzeki, z błyskawiczną szybkością przelatujące pociągi kolei żelaznéj: wszystko, urozmaicając tę część drogi, bawiło zarazem oko, znużone monotonnością okolicy między Preszburgiem a Esztergomem.

Naprawo kapitan wskazał mi szczątki malowniczych ruin opactwa Szt-Margit, położonych tuż obok wioski Dömös, poza którą śród zieleni gajów i winnic rozsiadły się folwarki i osady wiejskie.

Minąwszy jeden z większych zakrętów rzeki, nagle ujrzeliśmy przed sobą wspaniałe ruiny Vissehradu, słynne w dziejach Węgier, a nieobce i dziejom naszym, boć przecież Jadwiga, córka Ludwika a wnuczka Kazimierza Wielkiego, stąd udała się w podróż do Polski, aby zasiąść na tronie Piastów. Nieliczna kupka domów nad brzegiem rzeki, to resztki byłego miasteczka, poza którém o 781 stóp nad powierzchnią wody, wznosi się góra zamkowa.

U stóp téj góry stoi jeszcze dobrze zachowana sześć piętr wysoka wieża Salamona i jedna baszta, która z zamkiem połączona była murem mającym 24 stóp wysokosci. Zamek składał się z dwóch części, z górnego i dolnego zamku. Z dolnego zamku, do którego można było się dostać po moście zwodzonym, pozostały jeszcze 15 stóp wysokie mury i duża do połowy już zasypana cysterna. Obok niéj przez małą bramę idzie się do górnego zamku, gdzie są podziemia, w których korona węgierska była przechowywaną. Nad wejściem do tego podziemia pomieszczony jest rok 1493.

Dzieje Vissehradu są nadzwyczaj zajmujące. Chociaż miejsce to nie było rzymskiém, lecz jak to nazwa wskazuje słowiańską siedzibą przed przybyciem Magyarów, to jednak nie ulega wątpliwości, że Andrzéj I r. 1055 wzniósł tu klasztor, i że tu r. 1081, już wowczas w bardzo silnéj twierdzy, Władysław I

więził swego siostrzeńca króla Salomona w wieży która dziś jego imię nosi. W Vissehradzie 45 lat spoczywały także kości św. Stefana i gdy Władysław chciał je przenieść do innego miejsca, nikt nie mógł, jak piszą, poruszyć kamienia zamykającego grób święty. Wtedy pewna zakonnica imieniem Charitas, objawiła, że przeniesienie kości wtedy nastąpi, gdy więziony król uwolniony zostanie, i tak się też stało.

Karol Robert d'Anjou zamek tutejszy obrał za rezydencyą królewską, i r. 1310 przeniół tu koronę św. Stefana, która dotąd była przechowywaną w Székes-Fejérvar (Stuhlweissenburg). On to stał się fundatorem wielkości i wspaniałosci Vissehradu, tu obchodził potrójne swe małżeństwo, tu r. 1335 podejmował królów Jana Czeskiego, Kazimierza W. Polskiego i Szczepana Bośniańskiego a r. 1338 w murach tegoż zamku witał Karol Robert księcia pruskiego. Tu także r. 1330 Felicyan Zach, mszcząc honor swéj córki, napadł na króla i królowę, poczem przez Patorrha zamordowany został; tu nakoniec r. 1342 Karol Robert umarł.

W murach tego zamku Jan Paleolog cesarz bizantyjski wyprosił pomoc Ludwika Wielkiego przeciw Turkom i tu zmarł w niewoli Karol Mały król neapolitanski.

Vissehrad ulubioną był również siedzibą Macieja Korwina, który przez królowę Elżbietę r. 1440 uwiezioną koronę ponownie do zamku sprowadził i zamek tak wspaniale ozdobił, że legat papieski miejsce to nazwał „ziemskim rajem". Rozległy zamek obejmował w murach swoich 350 pokojów. Zamek ten r. 1529 zdobyty przez Turków straszliwemu uległ zniszczeniu. R. 1540 dostał się znowu w ręce Węgrów, którzy r. 1605 oddać go musieli Turkom. Przez lat 56 Vissehrad pozostawał w rękach tureckich a wydarty im przez hrabiego Forgacs'a, po raz trzeci dostał się r. 1683 w posiadanie Turków, od których ostatecznie odebrał go Karol Lotaryński. Za Leopolda I zburzono twierdzę, i dziś pozostała po niéj tylko malownicza ruina, pełna dziejowych wspomnień.

Naprzeciw Vissehradu rozsiadła się piękna wioska Nagy-Maros, przeważnie zamieszkała przez Niemców i zdobna pięknym kościołem gotyckim. Niedaleko stąd widać znowu Migazzivar, zamek z parkiem należące niegdyś do kardynała Migazzi.

Znowu góry nadbrzeżne zamieniają się w pagórki, równina się rozszerza, a Dunaj nagle robi skręt ku południowi. Wzrok sięga coraz daléj i daléj, przeczucie niezmiernéj równiny węgierskiéj zaczyna nas ogarniać! Tu zaczynają się znowu liczne grupy wysepek rozrzuconych po Dunaju. Statek dąży lewym kanałem, który okrążą trzymilową wyspę Szent Endre. Na wyspie téj mieszczą się cztery wioski.

Zdala już na lewym brzegu uśmiécha się do nas miasto Vacz ze swą wspaniałą katedrą bo i tu jest siedziba biskupa, fundowana przez Stefana a może i Geyzę I.

Katedra wzniesiona w stylu włoskim wedle planu Canaval'a. Budowę téj pięknéj świątyni rozpoczął r. 1761 kardynał Eszterhazy, ukończył zaś ją roku

1777 kardynał Migazzi. W wielkim ołtarzu mieści się obraz Schmidta, freski zaś malował Maulpersch. Kościół ten ma 192 stóp długości i 132 stóp szérokości. Wspaniałą rezydencyą biskupią, zwaną zamkiem Migazziego, otacza mur, w którym osadzone są różne rzymskie zabytki, część których przeszła na własność muzeum w Peszcie. Tuż nad brzegiem Dunaju wznosi się nowy gmach więzienny. Historya téj miejscowości jest dosyć zajmującą a najciekawszym ustępem jest ten fakt, że tu zawarty został pokój między królem Ferdynandem a Janem Zapolya r. 1535, i że tu dnia 3 lipca 1684 Karol Lotaryński odniósł świetne zwycięstwo nad Turkami.

Rządy Macieja Korvina i Vácz'owi przysporzyły wiele ozdoby, bo pod panowaniem tego króla biskup Bathory wzniósł katedrę i rezydencyą w stylu włoskim. Obie te budowle Turcy zniszczyli.

Niepodobna przemilczéć o pięknéj legendzie, przywiązanéj do téj miejscowości a dotyczącéj jéj założenia.

Geyza i Władysław przed bitwą pod Mogyorod jechali tędy przez las, gdy nagle Władysławowi ukazał się anioł, lecący z nieba, który złotą koronę, trzymaną w ręce, włożył na głowę Geyzie. Geyza, który widzenia tego nie miał, ślubował, że po bitwie na cześć Bogarodzicy wzniesie kościół. Po bitwie obaj książęta, jako zwycięzcy znowu, przez tenże las powracali, i oto na tém samém miejscu, na którém Władysław miał widzenie, ujrzeli jelenia z płonącemi rogami, który odbiegł kawałek drogi, a zatrzymawszy

się chwilkę, następnie skoczył do Dunaju i znikł. W miejscu tém Geyza założył kościół, ufundował biskupstwo i erygował miasto, które nazwał Vacz wedle imienia jedynego starca, który mieszkał w tych lasach.

Po półgodzinnym przystanku pod Vacz statek ruszył daléj, i niebawem w niebieskawéj oddali, na horyzoncie ukazały się wyżyny Budy i wspaniała panorama stolicy Węgier, oblanéj złotemi promieniami zachodzącego słońca. Z uwagą zwróconą na cel mojéj podróży nie słuchałem objaśnień kapitana, który zachwycał się położeniem wioski św. Andrzeja, letniéj rezydencyi biskupa greckiego i mającéj w obrębie swoim aż siédm greckich cerkwi. Tak zapatrzony w cudowną panoramę nie spostrzegłem kiedy statek nasz w przystani się zatrzymał.

Z towarzyszami podróży mieliśmy się zatrzymać w Peszcie; pożegnaliśmy więc uprzejmego kapitana, który dążył do Galaczu, i wysiadłszy na brzeg, udaliśmy się do hotelu pod „Królową angielską“ (*Angolorszag kiralynö*).

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

II.

Kilkakrotnie będąc już w Peszcie, znałem to miasto powierzchownie; teraz zaś pragnąłem poznać dokładnie. Wrażenie, jakiego się doznaje, przybywając do stolicy Węgier na statku parowym jest zupełnie odmienne od wrażenia gdy przybywamy koleją. Ze statku Peszt przedstawia się nam z imponująco wspaniałą panoramą, jako wielkie handlowe miasto; przybywszy zaś koleją zelazną poznajemy je tylko jako wielkie miasto.

Już od Varz jadąc koleją doznajemy przedsmaku wielkiéj bezmiernéj równiny; opuściwszy zaś dworzec i wkroczywszy w Vacz-ut (Waiceńska ulica) odrazu mamy przed sobą dokładny obraz bezmiernéj przestrzeni, która każde prawie węgierskie miasto na równinie charakteryzuje. Ulica ta w połączeniu z Orszagut i Ullöut jest przeszło jedną milę długa i gdyby nie potrójny załamek, to możnaby ją w całéj olbrzymiéj owéj długości przejrzéć; ulica ta jednak nie jest najwspanialszą, i tu wcale nie mieszkają magnaci.

Przybywając statkiem odrazu poznamy, że Peszt jest ważném miastem handlowém, gdy ujrzymy tłumy statków parowych i żagłowych, stojących na kotwicy wzdłuż brzegów rzeki, ponad którą ciągną się szeregi najwspanialszych hoteli i pałaców. Brzegi Dunaju przez całe miasto po obu stronach ujęte w ciosowe bulwarki i połączone z sobą prześlicznym mostem łańcuchowym.

Most ten to duma Pesztu. Jestto dzieło nie tylko olbrzymie, lecz nadto zadziwiająco piękne.

Most pomieniony ma 1230 stóp długości i zwiésza się tylko na dwóch słupach. Słup od strony Budy, zbudowany w prądzie rzeki, od lądu ma 27 stóp a od strony rzeki 33 stóp głębokości przy najniższym stanie wody; słup peszteński zaś z obu stron ma tylko 21 stóp głębokości. Budowę pomienionego mostu r. 1838, baron Sina powierzył pewnemu akcyjnemu towarzystwu, które w zamian za wybudowanie go pobierać miało pewną opłatę od przechodzących i przejeżdżających. Budowniczym jest Anglik: W. T. Clark, który tą budowlą uwiecznił się. R. 1848 most był już skończony i kosztował 4,412, 628 florenów srebrem. Po obu stronach mostu od strony Pesztu ciągnie się bulwar nowy, który roku 1858 wykończyć miało towarzystwo żeglugi, liczący 146 sążni długości i 18 do 27 sążni szerokości. Wzdłuż tego bulwaru wznoszą się składy towarów, kryte cynkiem i w czasie słotnéj pory zasłaniane z boków żaglowém płótnem; poza temi magazynami wznosi się długi szereg magazynów murowanych. Bulwar ten z boków zamknięty, od

strony rzeki jest otwarty. Po za bulwarem wznosi się o 12 stóp wyżéj miasto. Dalsze bulwary na przestrzeni 100 sążni buduje miasto swoim kosztem, i tu wznoszą się piękne gmachy, między któremi jeden należący do towarz. żeglugi po Dunaju swą strukturą się odznacza.

Peszt jest jeszcze miastem względnie nowém, nie można więc dziwić się że starożytnych pamiątek nie napotyka się tu pod dostatkiem, tém bardziéj gdy przypomnimy sobie jak długo Peszt i Buda pozostawały w rękach tureckich i że r. 1838 straszliwa powódź nie mniéj jak 3000 domów tu zburzyła. Od r. 1838 przeważnie pochodzą nowsze gmachy, starsze zaś nie sięgają daléj jak po czasy Karola VI, To też przyczyna, że Peszt jest więcéj regularny, że ma bardzo szérokie ulice, a nawet i na starém mieście ma bardzo mało zaułków. Domy tutejsze, przeważnie jednopiętrowe, odznaczają się szlachetnym stylem; kamienic dwu i trzypiętrowych bardzo mało widać w stolicy Węgier. W odleglejszych częściach miasta są same parterowe domki a tak stare, że już zupełnie prawie wgłąb ziemi zapadły; pojąć więc łatwo można, jakie zniszczenie szérzyły tu wylewy w latach 1789, 1795, 1790 a mianowicie r. 1838

W r. 1859 wedle ostatnich obliczeń, Peszt miał 131,705, a Buda 55,240 mieszkańców czyli, że ogół ludności obudwu miast wynosił 186,945. W owym czasie Peszt był siedzibą wojskowo-cywilnego gubernatora (arcyksiążę Albrecht), będącego zarazem namiestnikiem Węgier i szefem wielu innych władz i instytucyj rządowych i krajowych.

Nazajutrz po przybyciu do Pesztu, dopełniwszy formalności służbowych, przedstawiwszy się miejscowemu komendantowi placu, puściłem się na wędrówkę po mieście, rozpoczynając ją od placu Franciszka Józefa tuż przy moście.

Na prawo wznosi się tu wspaniały gmach kupiectwa peszteńskiego, w którym na parterze jest wielki magazyn zbożowy, drukarnia dziennika „Lloyd“ wspaniała kawiarnia i restauracya. Na piérwszém piętrze mieszczą się biura towarzystwa „Lloyd“ z piękną salą, i węgierski bank handlowy; na drugiém piętrze zaś izba handlowa. Tuż obok wznosi się piękny gmach kąpieli Dyany, w którym są też salony nieustającéj wystawy sztuk pięknych.

Przeszedłszy obok kawiarni „Lloyda“ i przez ulicę Doroty dostałem się na mały plac teatralny, gdzie na prawo stoi gmach byłego niemieckiego teatru, który od czasu pożaru w r. 1847 do 1859 stał pustkami. Stąd wszedłem na najpiękniejszą ulicę miasta zdobną, w liczne eleganckie sklepy i magazyny; ulica ta zwie się Vacz-utcza i prowadzi na plac ratuszowy z którego skręcając na prawo dostałem się do głównego kościoła parafialnego.

Zwiédziwszy oboczne ulice Wężową i szkłem kryty pasaż Paryzki, wydostałem się na plac Franciszkański, gdzie obok kościoła w parterowym gmachu pomieszczoną jest biblioteka uniwersytecka.

Uniwersytet założony 1635 r. z nowo dobudowaném seminaryum, wcale na zewnątrz nie budzi zajęcia, lecz za to roku 1858 odnowiony po pauliński kościół jako najpiękniejszy ze wszystkich kościołów Pesztu zasługuje na dokładniejsze obejrzenie, a to zwłaszcza ze względu na piękne freski i przepyszne boazerye.

Ulicą Kecskemecką idąc daléj wszedłem na plac sienny, gdzie wznosi się kościół ewangelicko-reformowany. Stąd ciągnie się w prostym kierunku Ullöerska ulica, przy któréj znajduje się „kösztelek“, gmach węgierskiego towarzystwa rolniczego, wielkie üllöerskie koszary, dom siérot, ogród botaniczny i szpital wojskowy „Ludovicum“. Po za tym szpitalem rozciąga się wspaniały ogród Orczy'ego, szczególnie licznie w niedziele i święta odwiédzany. Stąd wróciwszy na plac sienny zbliżyłem się do wspaniałego gmachu narodowego muzeum, we wnętrzu którego przechowywane są cenne pamiątki z przeszłości Węgier pochodzące. „Magyar Nemzeti Museum“ jest jednym z najciekawszych zakładów peszteńskich; dlatego téż z całą przyjemnością spędziłem tu parę godzin, rozpatrując się w nagromadzonych skarbach, a jest ich tu liczba niemała, bo 59,460 sztuk starożytności i 2408 dzieł sztuki.

Muzeum to założone 1802, uposażone 1,000,000 fl. zostało przez hr. Franciszka Szecheny'ego przy silném poparciu ze strony Batyaniego, Raday'a, Széchenyi'ego, Teleki'ego, Apponyi'ego, Palocsay'a, Viczay'a,

Kubiny'ego, palatyna Józefa i wielu innych magnatów i szlachty, z rokiem każdym rozwijało się i wzmagało w bogate zbiory, które dziś są ogromne. Oprócz prześlicznych zbiorów rzymskich zabytków znalezionych na ziemi węgierskiéj a pomieszczonych w salonach i przedsionku dolnéj części gmachu, widzimy tu bogaty zbiór, bo 15,000 srébrnych monet węgierskich św. Szczepana króla, Beli I, św. Władysława, Beli II i Beli III i t. d., które zachwycają znawców prześliczną konserwą i pięknym rysunkiem; daléj idą tu różne wykopaliska z epoki kamiennéj i bronzowéj, a więc różnych kształtów topory, dłuta i strzały, pomiędzy któremi delikatnością wyrobu odznacza się grot strzały w katalogu „Kepes Kalauz“ oznaczony Nr. 24. Z téjże epoki pochodzące urny niemniéj są zachwycająco piękne. Z epoki bronzowéj mamy tu liczny i piękny zbiór różnorodnych toporów, dłut, noży i ozdób; są również przepyszne wyroby złotnicze, różne pierścienie, bransolety, daléj wyroby ceramiczne i szklane, puchary, stągwie i t. d. Są również rozmaite pamiątki po Rakoczym, Napoleonie I, Stefanie Tökölym, Maryi Teresie i t. d. Niezaprzeczenie zaś pięknym jest zbiór starożytnych rzeźb, bądź w oryginale, bądź w kopii.

Opuściwszy muzeum i zwiedziwszy zbiory anatomicznugo gabinetu, pomieszczone w zakładzie weterynarskim, pośpieszyłem na ulicę Tabaczną, aby tam przypatrzyć się nowéj synagodze. Wspaniały to gmach, wzniesiony w stylu bizantyjsko-maurytańskim,

według planów Förstera. U wejścia głównego zbudowane są dwie wieże, 138 stóp wysokie i zakończone złoconemi kopułami. Świątynia sama jest 120 stóp długa a 78 szeroka i tyleż wysoka. Wnętrze oświetlają barwne okna. Budowa gmachu tego kosztowała przeszło pół miliona guld.

Zwiédziłem w téj części miasta dom komitatowy, kościół ewangelicki i kiosk w parku i pośpieszyłem na Leopoldstadt, gdzie na placu wznosi się piękny pomnik palatyna Józefa, oraz w r. 1850 rozpoczęta bazylika, przyszła katedra. Tuż obok téj budującéj się świątyni wznosi się pałac zbudowany na wzór pałacu Ca d'Oro w Wenecyi, istne cacko; lecz kopia nie robi tego wrażenia co oryginał w Wenecyi.

Następnego dnia z p. Bölöny Szandorem, z którym poznałem się w muzeum narodowém, ruszyłem do Budy, aby pod jego kierunkiem zwiédzić rezydencyę królewską, kościół św. Zygmunta, skarbiec i t. d., czego dopełniwszy, udaliśmy się do grobowéj kaplicy tureckiego świętego derwisza Gülbaba; a stąd do przepysznego gotyckiego kościoła, zbudowanego przez Belę IV, który przez Turków na moszeę był zamieniony. Zwiédziwszy kąpiele królewskie, jakotéż łazienki tureckie, udaliśmy się na Blocksberg, gdzie pośród fortu wznosi się byłe obserwatoryum astronomiczne, z którego dachu roztacza się przecudowny widok na całą okolicę. Dziwna rzecz, że kiedy na szczycie téj góry przeciętnie w ciągu roku temperatura nie przechodzi $7.8/^{\circ}$ Réaum., na jéj stronie południowéj rosną dziko figi, dające dojrzałe owoce.

Wracając z Budy zwiédziliśmy jeszcze wyspę Margarety i starą Budę. Wyspę pokrywa prześliczny park, pośród którego rozrzucone są ruiny cztérech klasztorów i dwóch zameczków. Tuż obok willi arcyksiążęcéj wznoszą się szczątki opactwa premonstratenzów a dalej cóśkolwiek ruiny klasztoru Panny Maryi, w których widać jeszcze ołtarze, kazalnicę, i t. d. Klasztor ten fundował Bela IV, którego córka Margareta była tu przełożoną i tu zmarła. W staréj Budzie zwiedziliśmy stare rzymskie kąpiele, ze szczątkami wodociągów i fundamentami amfiteatru.

Czwartego dnia pobytu mego w Peszcie zwiédziłem jeszcze warsztaty żeglugi parowéj na Dunaju, i ruszyłem w dalszą drogę statkiem pasażerskim ku Belgradowi.

Madziarzy, osiedlając się nad rozkosznemi brzegami Dunaju, nie mogli byli obrać sobie piękniejszéj miejscowości na rezydencyą królów, nad tę miejscowość która jest nią dzisiaj! Patrząc na te dwa siostrzane miasta, na te starożytne mury zamku królewskiego, z błyskawiczną szybkością myśl przebiega całe dzieje Węgier, które w tém miejscu się zogniskowały.

W piérwszej połowie XI wieku piérwsze zastępy Madziarów pod wodzą Arpada zjawiły się nad brzegami dolnego Dunaju i walcząc z Bułgarami, przez tychże wyparte zostały na równiny naddunajskie. Ztąd rozpościerając swe zagony zdobyli państwo wielko-morawskie (905 r.) i zadawszy wojewodzie

Luitpoldowi (907) straszliwą klęskę, otworzyli sobie drogę do Niemiec i Wioch.

Niemcy tymczasem przygotowali się do zaciętego oporu i pod wodzą cesarza Ottona I na Lechowém polu (Lechfeld) r. 955 pobili Madjarów na głowę i całą Germanią ocalili od niechybnego podboju. Zaprzestali wprawdzie odtąd Węgrzy napadów swych na Niemcy, ale jednak prowadzili wieki w krajach bizantyjskich; gdy wzrastająca potęga sąsiadów zaczęła im zagrażać, wtedy zaczęli wzmacniać się nabyciem romańsko-germańskiéj oświaty.

Piérwszym krokiem do tego było przyjęcie chrześciaństwa za panowania Giejzy I (972—997) i syna jego Stefana I (997-1038), który otrzymał od papieża koronę królewską i tytuł króla apostolskiego (1000). Stefan I syn Giejzy i Adelaidy zwanéj Białą Kuihinią, siostry Mieczysława I, w obec Węgrów wielkie położył zasługi, starając się ich zjednoczyć politycznie a przez zaprowadzenie właściwych ustaw i urządzeń postawić w rzędzie narodów ucywilizowanych. Przez nadanie Węgrom praw na wzór bawarskich i francuskich; naród, ten, dotychczas koczujący znacznie się, zbliżył do cywilizowanego zachodu Europy.

Pod panowaniem siostrzeńca jego Piotra (1038-1046) i Andrzeja I (1046—1060), wzmogły się dążenia ku poganizmowi, które jednak Bela 1 (1060-1063) stłumił. Pod następnemi rządami Władysława I (1077-95) i Kolomana I (1095—1114) zawojowane zostały, Chorwacya, Sławonia i Dalmacya, przytém przez trafne zastosowanie prawa nastąpiło ustalenie porządku wewnętrz kraju. Ku końcowi jednak panowania tego króla wybuchły zamieszki domowe, które przeciągnęły się i za jego następców, zmuszonych staczać ciągłe walki z burzącą się szlachtą i z różnymi pretendentami do tronu. Dopiéro Andrzej II nad całemi zapanował Węgrami; chciał on wprawdzie ukrócić dumę burzliwéj szlachty, jednak zrobić tego nie mógł, przeciwnie był zmuszony rozszerzyć jéj i duchowieństwa przywileje na zasadzie zawartego konkordatu, nadając „Złotą bullę“ (1222 i 1223).

Pod synem jego Belą IV nastały stosowne reformy, dążące do wzmocnienia i ustalenia bytu narodowego. Lecz oto wtargnięcie Mongołów (1241) dobrobyt kraju zniszczyło, kraj został spustoszony, wyludniony. Następstwem tego było, iż zaczęto sprowadzać niemieckich i włoskich osadników, przy pomocy których podniósł się stan miejski i pomnożyła się liczba miast wolnych. Wnuk Beli IV, który ku germanizmowi się skłaniał, imieniem Władysław II (1273—1290) sprzymierzywszy się z cesarzem Rudolfem Habsburskim toczył boje z Ottokarem królem czeskim.

W r. 1301 śród nowych zamieszek krajowych ród Arpada w linii męskiej wygasł na Andrzeju III. Na tron osierocony Węgier dzięki staraniom papieża wstąpił teraz Karol Robert Neapolitański d'Anjou i za jego to panowania (1307—1342) wprowadzono postępowania sądowe ulepszone na sposób francusko-włoski.

Następca jego Ludwik I wielki (1342—1382) granice Węgier rozszerzył aż do Rusi czerwonéj,

przyczynił się do rozwoju handlu i przemysłu a r. 1370 na mocy układu ze swoim wujem Kazimierzem Wielkim, połączył korony węgierską i polską. Po śmierci Ludwika na tron węgierski wstąpiła córka jego Marya, lecz musiała zeń ustąpić przed Karolem Neapolitańskim.

R. 1392 po zamordowaniu Karola, tron węgierski objął małżonek Maryi Zygmunt (od r. 1410 cesarz niemiecki), za rządów którego nastąpiło wtargnięcie Turków i wybuch stronnictwa husytów. Po Zygmuncie panował nad Węgrami zięć jego Albreht V książę austryacki (jako cesarz Albrecht II), lecz ten zaraz po wstąpieniu na tron 1437 umarł, i na miejsce jego na tron wezwany został Władysław III Jagiellończyk, który r. 1444 zginął pod Warną w walce z Turkami.

Po przedwczesnéj śmierci tego króla bohatera, uznano królem Węgier Władysława Pogrobowca, syna Albrehta V, mianując zarazem namiestnikiem państwa zwycięzcę Turków Jana Hunyada. Po zgonie Władysława (1457) Węgrzy obrali królem Macieja Korwina, syna Hunyada (1458), który, przywróciwszy dorządek, ustalił pokój w kraju, podniósł oświatę, pozakładał mnogą ilość kościołów i klasztorów, a dbając o dobrobyt i rozwój narodowy, stał się jednym z najdzielniejszych królów Węgier.

Po śmierci Macieja królem węgierskim obrano Władysława króla czeskiego. Pod słabemi rządami tegoż i syna jego Ludwika II wewnętrzne roztargi wzniecone ambicyą i chciwością możnowładców, któ-

rych przewodnikiem był Jan Zapolya, jakotéż i powstanie włościan przytłumiono w okrutny sposób. Po nieszczęśliwéj bitwie pod Mohaczem 1526, w któréj król Ludwik II poległ, znaczna część kraju dostała się pod panowanie tureckie, a o resztę odtąd zaczęły się toczyć spory między Ferdynandem austryackim i Zapolyą, który po wyborze Ferdynanda królem węgierskim r. 1526 otrzymał Siédmiogród i kilka komitatów w Węgrzech górnych.

Od tego to czasu Węgry pozostały już pod panowaniem Habsburgów. Z przyczyny powyżéj nadmienionego podziału kraju następowały ciągłe zamieszk i niesnaski z następcami Zapolyi, podsycane przez turków i francuzów, i rozpoczęło się paześladowanie ewangielików a mianowicie od czasu wprowadzenia jezuitów do Węgier. Wskutek tego wszystkiego i celem uśmierzenia zamieszek zawarte zostały traktaty 1606, 1622 i 1645, daléj nastąpiło zdobycie Budy na Turkach przez austryaków r. 1686, i ostatecznie uznanie dziedziczności korony węgierskiéj w domu habsburskim r. 1688. W skutek traktatu karłowickiego zawartego 1699 Turcy opuścili Węgry. Roku 1723 cesarz Karol VI postanowił sankcyą pragmatyczną, że następstwo tronu węgierskiego przechodzi także i na płeć żeńską z domu Habsburgów, i wskutek tego postanowienia Marya Teresa była królem węgierskim; po śmierci jéj Józef II, objąwszy rządy dążnością swą do germanizacyi kraju potworzył w Węgrzech wielu niezadowolonych i przeciwnych sobie, tak że za panowania Leopolda II i Franciszka II

nastąpiło dopiéro pojednanie Węgier z rządem austryackim.

Od r. 1825 w Węgrzech zjawiła się opozycya, dążąca do reform politycznych na sejmach, które stały się widownią gwałtownych sporów. Walka ta jednak z germanizacyjnym systemem wydała pożądane owoce, bo oto od r. 1839 do 1844 nastąpiło utwierdzenie przewagi w narodowości węgierskiéj, a to przez wyniesienie języka węgierskiego na język urzędowy, przez ulepszenie stosunków włościańskich i przez ograniczenie przywilejów szlachty. W miarę pozyskiwanych zdobyczy, wzmagały się także i pragnienia dalszych swobód; pragnieniom tym dały żywszy popęd zaburzenia wiedeńskie 1848 r., i rząd austryacki widział się zmuszonym do zniesienia poddaństwa, dziesięcin, ustanowienia oddzielnego ministerstwa dla Węgier, oraz zaprowadzenia ogólnego opodatkowania. Nieuwzględnienie jednak wymagań i potrzeb innych narodowości zamieszkujących kraje korony Św. Szczepana, które teraz zaczęto madjaryzować, wywołało to, że dawna niechęć Słowian, podburzana przez dyplomacyą austryacką, wybuchła gwałtownie i przyprowadziła do otwartéj walki z Węgrami. Bezpośredniém następstwem tego była rewolucya z r. 1849 dla któréj przytłumienia Austrya była zmuszona wezwać na pomoc Rossyą. Węgry, jako kraj podbity zamienione zostały w kraj koronny i systematycznie przeprowadzać zaczęto ogólną organizacyą administracyjną i sądową.

Oto są w możliwém streszczeniu najgłówniejsze

momenta dziejów Węgier, które żywo mi się przypomniały w chwili gdym Budę i Peszt opuszczał. W owym czasie przebiegając tę piękną krainę wzdłuż i wszerz nie przypuszczałem, że w lat dziesięć późniéj Węgry odzyskując utracone prawa staną się samoistném państwem połączonym z monarchią austryacką jedynie tylko czcią personalną. W owym czasie, zwiedzając Węgry nie myślałem o tém aby kiedykolwiek nad zamkiem królewskim w Budzie powiewał tylko sztandar korony węgierskiej i aby pułk w którym służyłem, był zaliczony do królewsko-węgierskiéj armii. Zwrot tak pomyślny dla Węgier w ich politycznym bycie zawdzięczają oni nie tylko sami sobie, swemu wysokiemu politycznemu taktowi, lecz przedewszystkiem zbiegowi okoliczności, zwycięzkiemu orężowi prusaków. Bo gdyby nie bitwy pod Nachodem i Königsgrätzem, w których armia austryacka złamaną i rozbitą została, Węgry nie byłyby tém czém są dziś i musiałyby pokornie słuchać rozporządzeń niemieckich *Rath'ów* i *Hofrathów!*

III.

Statek na którym się znajdowałem wyruszył z przystani o 7-mej rano i szybko przesuwał się po pod Bloksberg u stóp którego wznoszą się ostatnie termy miasta Budy, tak nazwane kąpiele Bruk (Hid fürdö) i kąpiele Block (Sz. Gellért fürdö). Położenie téj miejscowości jest bardzo malownicze: skalista góra Blocksberg (Sz. Gellért-hegye) tworzy tło, na którém rysują się rozproszone domy i domki poprzyczepiane do skały jakby gniazdeczka jaskółcze. Widać też ztąd jaskinie przypominające mieszkania troglodytów a niebawem liczba tych jaskiń wzrasta do takiéj ilości, że tworzy jakby wieś jaką, w istocie zamieszkaną i dosyć ludną. Z tego punktu nim okrążymy Sz. Gellért-hegye spojrzawszy na miasto, które przed chwilą opuściliśmy, widzimy po za sobą czarujący widok. Na lewo skały, oblane wodą; w pośrodku po nad płaszczyzną wodną widać górę zamkową, pokrytą zielenią; między tą górą zaś i skałami w wodzie odbijają się wieżyce i gmachy stolicy, ponad którą w niebieskiéj oddali sterczą Szwabskie góry (Svabfölz he-

gye) a ponad mostem łańcuchowym i ponad miastem widać wyżyny Starej Budy. Panorama prześliczna, i dziwić się należy że żaden z malarzy widoku tego z téj strony nie przeniósł na płótno.

Minąwszy przedmieście, koszary obozowe, prochownie i całe szeregi ładownych statków wiosłowych zbliżyliśmy się do wysepki „Csepel", położonéj bliżéj lewego brzegu rzeki. Wysepka ta, długa pięć mil, zamieszkała przez ludność dziesięciu wsi, ma być pierwotną osadą Magyarów i nazwę swą bierze od imienia „Csepel" które nosił powiernik i przyjaciel Arpada. Tu także znajdować się ma i grób tego wodza.

Minąwszy Albertfalva, wioskę zamieszkałą przez samych stolarzy, i Promontor (Promontorium Csepel lub też Eugenii), zbliżyliśmy się do punktu, w którym wschodnia kolej żelazna tuż po nad brzegiem rzeki przebiega.

W Promontor, wiosce przypiérającéj do skał, widzimy kastel i kościół zbudowany przez księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Po za temi budynkami na równinie widać liczne kominy, wychylające się z ziemi, we wnętrzu któréj w przeszło 200 jaskiniach przebywają mieszkańcy téj miejscowości. Jaskinie te powstały z kamieniołomów już opuszczonych. W jednéj z takich jaskiń wznosi się aż dziewięć domów, które naturalnie są bez dachu i mają tylko sufity za pokrycie. Oprócz tych mieszkań podziemnych są tu i piwnice wykute w miękkim piaskowcu, największa z tych piwnic, należąca do winiarza A. Lén-

key'a, z brzegiem rzéki połączona jest tunelem, tak, że beczki napełnione winem prosto na statek wtaczane być mogą.

Minąwszy Promontor zbliżamy się do Teteny i do Erd (Hamsa-Beg), gdzie wznoszą się jeszcze ruiny moszei i minaretu. Tuż za tą miejscowością ciągną się tak zwane *Centum montes*, uważane za groby Hunnów poległych w bitwie, która tu miała miejsce, jak twierdzą stare węgierskie kroniki. Tuż pod tą wsią w dniu 23 lipca 1683 Karol książę Lotaryński pobiwszy Solimana Baszę, zdobył wielki sztandar seraskiera, który dotąd przechowywany jest w wiedeńskim arsenale.

W Adony, wiosce zbudowanéj na miejscu rzymskiéj *Vetussalina*, znajduje się jeszcze znaczny kawał szosy zbudowanéj przez Rzymian.

Naprzeciw Racz-Almas, wioski zamieszkałéj przez Serbów, leży południowy cypel wyżéj wzmiankowanéj wyspy Csepel, którą w téj okolicy zwą także Raczkewi lub też „*Kapuścianym ogrodem Jezuitów*". Powodem téj nazwy miało być następne wydarzenie.

Peszteńscy Jezuici wyprosili sobie od Maryi Teresy, że dała im wyspę Csepel jako grunt bezużyteczny i pusty, który przyrzekli uprawiać i zamienić na warzywne ogrody i plantacye kapusty. Cesarzowa, przychylając się do tego życzenia, przedstawioną sobie prośbę podpisała w obecności ministra księcia Kaunitza, który z całą galanteryą ujął niby przez pomyłkę zamiast piaseczniczki kałamarz i podpis cesarzowéj, położony na akcie darowizny, oblał

atramentem. Nim nowy akt darowizny przygotować zdołano w kancelaryi przybocznéj, Kaunitz przekonał cesarzową, że wyspa Csepel jest bardzo duża, i wymógł, że darowizna nie nastąpiła. Wtedy błazen cesarzowéj jednemu z Jezuitów będących przy dworze zadał do odgadnięcia znaczenie wyrazu „Indir", a gdy tenże nie mógł zadosyć uczynić żądaniu błazna, i cesarzowa chciała wiedzieć to znaczenie, wtedy dowcipny błazen podał rozwiązanie mówiąc: „*Indir*" znaczy tyle co: „*Jesuitis Non Datur Insula Raczkewi*," (Jezuitom nie będzie daną wyspa Raczkewi).

Tuż pod wioską Lóré na małym pagórku wznosi się piękna kaplica, fundowana przez cesarza Franciszka Józefa, a zbudowana z czerwonéj cegły w miejscu, w którém hrabia Zichy r. 1848 był zamordowany.

Duna-Pentele, wioska położona na prawym brzegu Dunaju, rozsiadłszy się na nadbrzeżnych pagórkach, pokrytych licznemi winnicami, malowniczy przedstawia widok, który z każdém stajem przebytém przez statek przybiéra coraz więcéj barwności.

Piérwszém większém miastem, jakie na téj przestrzeni napotykamy wyjechawszy z Pesztu, jest Duna-Földvar, miasteczko dosyć piękne, liczące 12000 ludności. Miejscowość tę zamieszkują przeważnie kamieniarze i rzeźbiarze. W Földvar istniało niegdyś Opactwo św. Heleny, którego posiadłości są dzisiaj donacyjną własnością peszteńskiego uniwersytetu.

Przybycie statków do przystani wywołuje ruch większy między mieszkańcami, którzy gromadzą się

u brzegu; zbliżają się też w galopie, pędząc wozy i wózki ciągnione przez osły.

Opuściliśmy Földvar i minąwszy wcale nie malowniczo położone wioski nadbrzeżne jak n. p. *Paks*, zbliżamy się do *Tolna*, miasteczka liczącego 6000 mieszkańców, przeważnie zajmujących się rybołóstwem. Od lat paru, jak mi mówił kapitan statku, rybołóstwo na Dunaju znacznie upadło, a to wskutek kursowania statków parowych, które rybołóstwu wielce przeszkadzają. Poza Tolną napotykamy na rzéce liczne jazy, przygotowane do połowu łososi, które w wiekach średnich docierały aż do Tuln, miasta położonego powyżéj Wiednia. Przyczyną tego jest to, że mieszkańcy wybrzeży tureckich, pilnie téj gałęzi przemysłu oddając się, przepływające łososie wyławiają. Tolna słynie z tego, że pod murami téj miejscowości Ludwik II posła sułtana do Dunaju wrzucić kazał, któreto zgwałcenie praw międzynarodowych wywołało krwawą walkę pod Mohacsem.

W tém miejscu zaczyna być Duraj krętym, co wielce podróż utrudnia i przedłuża. Zapobiegając więc temu rozpoczęto prostować koryto rzéki, i w onym czasie, gdym tę przestrzeń przebywał, były już skończone dwa przekopy, jeden pod Tolną, skracający podróż o dwie godziny, i drugi pod Baja. Piérwszy otwarty był r. 1852, drugi zaś 1854. Między Tolną a Baja na prawym brzegu rzeki, w głębi widać wyżyny i góry Baranya, na stokach których pod Szekszard znajdują się winnice, dające wyborne wina.

Baja, znaczniejsze miasto, liczące 15000 mieszkańców, od brzegu oddalone jest o całe półgodziny drogi, który przebywać należy po ogromnych błotach i bagniskach. W niedalekiéj ztąd odległości na prawym brzegu widzimy wioskę Bâta, i tu rozpoczyna się ostatnia wielka wyspa Dunaju, zwana Margitta, czyli wyspa Mohacsu.

Minąwszy Szekesö przybywamy do Mohacsu, gdzie dawniéj statki na noc się zatrzymywały, gdy teraz dążą do Apatin, lub też przy wysokim stanie wody daléj płyną.

Mohacs ma 10000 mieszkańców i w ostatnich czasach znacznie się podniósł w skutek linii kolei żelaznéj, prowadzącéj stąd do Pécs, gdzie są kopalnie węgla tow. żeglugi parowéj. Pod tém to miastem r. 1526 w straszliwéj walce stoczonéj z bardzo liczną armią turecką zginął Ludwik II, ugrzązłszy w błotach okalających to miasto.

Za Mohacsem zbliżamy się nareszcie do Köszeg, miejscowości położonéj na prawym brzegu i u podnóża podgórza Baranya, które pod ostrym kątem Dunaj okrąża; naprzeciw téj miejscowości na lewym brzegu widzimy Bezdan (8000 mieszkańców) z nowém ujściem kanału Csorsa czyli Becserskim; łączącym Cisę z Dunajem. Kanał ten zbudowany został r. 1795—1801 przez towarzystwo akcyjne celem podniesienia handlu zbożowego w Banacie i ułatwienia komunikacyi; kanał o 47 mil skraca drogę transportową. Bierze początek pod Tisza-Földvar a przebiegając 16½ mil i pięciu szluzami zaopatrzony wpada do Dunaju pod Monosztorszeg, miejscowości położonéj tuż pod

Bezdanem, gdzie znajduje się główna szluza, wykończona r. 1854—1856 pod kierunkiem inżéniéra Mihalek. Nowa ta szluza ma 132 sążni, i składa się z trzech oddziałów; ściany boczne sluzy mają 36½ stóp wysokości.

Wysoce zajmujący jest widok, gdy statek, wypływając z kanału, wpada na Dunaj, i dopiero u przeciwnego brzegu zwraca się w kierunku swéj drogi. Statki przepływające ten kanał są tylko wiosłowe i wyglądają wspaniale; żagli nie mają one. a od masztu na statku zwiesza się lina pociągowa. W r. 1857 na wodach Dunaju i innych rzék pobocznych krążyło takich dużych statków 552, a mniejszych 186. Statki te holowane są końmi, lecz zwyczaj taki zaczyna iść w zaniedbanie, z téj przyczyny, że statki parowe, w coraz większéj ilości kursując, o wiele taniéj ułatwiają transport towarów i zboża.

Poniżéj Batina znajduje się pewna przestrzeń, na któréj w danych razach żegluga jest niebezpieczniejszą. Prąd wody przechodząc tu po pod sam brzeg prawy, powiększa na lewo będącą ławicę piaskową, którą statki parowe i łodzie z wielką trudnością omijać mogą. Rozpoczęte wtedy roboty około przekopania wyspy Blazsevicza, zapewne tę przeszkodę usunęły.

W miejscu tém zaczął zapadać zmrok wieczorny. W dolnym salonie zapalono lampy, i znaczna część podróżnych zgromadziła się tam, czytając gazety, grając w karty, bądź téż bawiąc się pogawędką. Na pokładzie panuje ciemna noc, nigdzie nie widać

i światełka, bo w razie przeciwnym sternik byłby w wielkim kłopocie i nie mógłby dobrze statkiem kierować. Podróżni, posiliwszy się wcale dobremi produktami okrętowéj kuchni, poczęli rozglądać się za legowiskami swemi. Sypialnie znajdują się pod pokładem i tworzą dwa szeregi łóżek. jedne nad drugiemi. W sypialni są także umywalnie i inne wygody.

Noc była ciepła i księżycowa; wyniósłszy sobie na pokład składany fotelik zasiadłem na dziobie statku, rozglądając się po okolicy oświetlonéj magicznie promieniami jasnego księżyca.

Na statku uciszyło się znacznie, z czego korzysta kilku młodych ludzi, dążących do Ujvidek a należących do tamtejszego towarzystwa śpiéwaków: zaintonowali harmonijnemi głosami prześliczny węgierski hymn „*Szózat*". Urocza melodya tego poważnego i rzewnego zarazem hymnu, płynęła széroko po falach modrego Dunaju, w wodach którego migotały odblaski promieni księżycowych. Na lewo rozciągała się obszerna równina, któréj widnokrąg ginął w oddali w fosforycznych odblaskach mgły unoszącéj się po nad kanałem Csorsa. Po prześpiéwaniu hymnu towarzystwo zaintonowało „*Naplól virit*", następnie prześliczny marsz z opery „*Hunyadi Laszlo*" i parę jeszcze pieśni ludowych, które széroko i daleko po wodach Dunaju echem płynęły.

W pobliżu Apatin, stacyi statków parowych, od brzegu naszym pieśniarzom odpowiedział chór dobranych męzkich głosów intonując pieśń ludową „*Jo Magyarémber pajtás*" (Dobry z Węgra jest towarzysz),

na którą znowu nasi śpiewacy odpowiedzieli hymnem „*Szozat*". Statek nasz tymczasem zbliżył się do przystani i na pokład weszło liczne towarzystwo, złożone z studentów uniwersytetu i kilku obywateli ziemskich, wracających z wycieczki na rzymskie wały. Na statku zrobiło się i ludniéj i gwarniéj, a towarzysząca muzyka cygańska zagrała od ucha marsza Rakoczego, przy dźwiękach którego ruszyliśmy w dalszą drogę.

O udaniu się na spoczynek i marzyć nie można było, a gdy obadwa towarzystwa śpiewaków się poznały, rozpoczęło się wzajemne częstowanie winem, nie pomijając nikogo kto się tylko na statku znajdował.

Pomiędzy Apatin i Monosztorszeg od Dunaju aż do brzegów Cisy ciągnie się 12 stóp wysoki wał ziemny, który wedle jednych usypany był przez Awarów, a wedle drugich przez Rzymian; sypiąc ten wał mieli oni na celu łatwiejszą obronę pobrzeży Dunaju przeciw barbarzyńcom.

Zbliżyliśmy się nareszcie do jednego z ważniejszych punktów żeglugi, a mianowicie do miejsca, w którym Drawa wpada do Dunaju. Przy samym ujściu Drawy urządzoną jest stacya, i tu oczekiwał statek „Hunyady" na pasażerów dążących do Eszék.

Od Baja począwszy aż do Ujvidek lewy brzeg Dunaju należy do Wojwodiny, a od ujścia Drawy brzeg prawy aż do Illok należy już do Sławonii.

Gdyśmy minęli pięknie położone Maria-Almas, daléj, Erdöd okolica wielce urozmaicać się zaczęła. Ze starego zamczyska Erdöd, należącego niegdyś do rodziny tego nazwiska, pozostały jeszcze tylko ruiny a mianowicie czworoboczna baszta, okrągła wieża z kawałkiem muru, i pod górą zamkową rozwaliny bramy zamkowéj. Piękne te zwaliska należą dziś do hrabiego Palfy, który jest potomkiem piérwotnych właścicieli zamku. W Dalya, miejscowości zamieszkanéj przez Serbów, wznosi się piękny pałac, letnia rezydencya greckiego araybiskupa z Koloszvaru. Brzeg jest tu 35—50 stóp wysoki i tworzy go gliniasta prostopadła ściana, na szczycie któréj rozciąga się park należący do pałacu arcybiskupiego. Tu zaczynają się do brzegu rzéki zbliżać łańcuchy gór Syrmijskich i odnogi Fruska Góra, pokryte sadami i winnicami.

Pod Vukovar, najpiękniejszém z miasteczek serbskich, na wysokiéj górze stoi piękny pałac hr. Eltz i wspaniały klasztor franciszkanów. W głębi, wzdłuż prawego brzegu, widać zbite masy dębowych lasów, które stanowią prawdziwe bogactwo Sławonii; gdy tymczasem na lewym brzegu widnieją nieprzejrzane równiny i bagna. Mijamy Sawograd ze starym kościołem, wieża którego pokryta jest kamiennym dachem. Wysoko nad brzegiem sterczą ruiny starego zamczyska. W tém miejscu liczne pływające młyny zapełniają koryto rzéki, a jest tu ich nie mało, bo ustawione we dwa szeregi dochodzą swą liczbą do 350.

Już nad ranem przybyliśmy do stacyi Illok, miasteczko zaś jest oddalone o 1/4 mili powyżéj stacyi. Z pokładu widać liczne i obszerne ogrody owocowe.

Przepływamy właśnie po pod miasteczko i widzimy liczne zabudowania miejskie, zamek z parkiem, klasztor i kościół franciszkanów, co wszystko razem pięknie się przedstawia przy piérwszych brzaskach letniego poranku.

Illok słynie ze swéj starożytności; odnaleziono tu ruiny rzymskiego kastelu, świątyni Dianny i t. p. W wiekach średnich przebywała tu rodzina dynastyczna Ujlaków, z pośród któréj Niklas przez króla Macieja do godności książęcéj był podniesiony, lecz ród ten ze synem Niklasa wymarł. Cesarz Leopold państwo to nadał książętom Odescalchi, którzy też odtąd noszą tytuł książąt Syrmii.

Od Palanki począwszy zaczyna się i lewy brzeg Dunaju ożywiać; widać też z pokładu winnice, sady, tu i owdzie malownicze kamieniołomy, zbliżające się wyżyny Piotrovaradynu, a minąwszy Nesteny, Szuszek, Banosztór i Cserevics zbliżamy się do Kamenitz, miasteczka otoczonego lasem drzew owocowych, śród których starożytny kościół się wychyla. W Kamenitz znajduje się olbrzymi pałac Marczibanów i park, który wzdłuż Dunaju się ciągnie.

Przybywamy do Varadinu (Peterwardein), który leży na szczycie stromych skał brudno zielonego serpentynu, stopy których kąpią się w Dunaju. Skały te tworzą na szczycie swoim płaszczyznę, gdzie rozsiadło się miasto wraz z twierdzą, któréj zielone wały piękny i malowniczy przedstawiają widok. Naprzeciw Varadinu na lewym brzegu Dunaju leży Ujvidék (Neusatz—Nowisad), miasto przeszło 10000 mieszkańców.

Varadin połączony z Ujvidék mostem łyżwowym mającym 816 stóp długości, składa się z trzech części: dolnéj twierdzy, przedmieść i górnéj twierdzy. Dolna twierdza, właściwe miasto, liczące zaledwo 70 domów, otoczona jest silnemi bastionami, wzniesionemi, tuż nad samą rzéką. Piękny lecz skromny kościół farny (niegdyś jezuitów), ozdobiony grobowcami kilku bohatérów z czasów wojen tureckich, a w arsenale znajdują się liczne trofea zdobyte na turkach. Na przedmieściach ogrody pełne zieleni i woni. Górna twierdza, do któréj prowadzi kryta galerya, położona 204 stóp nad powiérzchnią Dunaju, składa się z samych tylko budowli wojennych. Na skrajnym północnym skalistym wyskoku Dunajowi stoi wieża zégarowa, ze szczytu któréj przepyszny przedstawia się widok po nad Fruska-Górę, na rozległe równiny Banatu aż do dalekich we mgle ginących gór na wschodzie, gdzie szumią ostatnie katarakty Dunaju.

W miejscu starożytnéj rzymskiéj Milety, za czasów piérwszéj wojny krzyżowéj wzniesiono tu twierdzę, którą na cześć przywódzcy wyprawy Piotra pustelnika, Petervar'em nazwano. Twierdzę tę roku 1526 zdobyli turcy, i dzierżyli ją w swéj władzy aż do r. 1716, w którym dnia 5 sierpnia książę Eugeniusz pobił Turków, i zdobywszy twierdzę zabrał cały ich obóz, skarby niezmierne i 170 dział. W r. 1848 twierdza ta dostała się w ręce zrewoltowanych Węgrów, którzy wraz z twierdzą armii austryackiéj zdali się na łaskę i niełaskę.

Jak to już rzekłem wyżéj, naprzeciw twierdzy, na

lewym brzegu Dunaju położone jest miasteczko Ujvidék; miasteczko pomienione w r. 1738 było jeszcze nędzną rybacką osadą, zwaną Sanacz (czytaj Szanac), do któréj przybyli niemieccy koloniści, uciekający z Belgradu przed Turkami.

Później po tém wydarzeniu cesarzowa Marya Teresa Ujvidek podniosła do stanowiska wolnego królewskiego miasta, wskutek czego niebawem to nowo kreowane miasto stało się jedném z najważniejszych miast handlowych Węgier, do czego przyczyniło się wiele jego położenie geograficzne. Uwagi godną jest tu nadzwyczajna ilość różnorodnych wyznań a mianowicie żyją tu: katolicy, uniaci, prawosławni, ormianie, kalwini, lutrzy i żydzi. W r. 1849 dnia 12 czerwca ban Kroacyi baron Jellachics zdobył to miasto, przyczém obrócone zostało w perzynę, lecz niebawem powstawszy z gruzów dziś piękny przedstawia widok.

Okolice Varadinu niemało budzą zajęcia; o milę stąd przy drodze prowadzącéj do Karlovitz leży słynący cudami kościół Panny Maryi Śnieżnéj, wzniesiony r. 1716 na pamiątkę odniesionego zwycięztwa. Obok kościoła śród ogrodzenia rośnie stary dąb, do którego Turcy przykuli łańcuchami pojętego w niewolę feldmarszałka brabiego Breunera, którego wojska potém z więzów oswobodziły. Tak zbroję feldmarszałka jako też i owe łańcuchy zachowane są w zbrojowni varadyńskiéj. W tymże samym kierunku leży cmentarz wojskowy, a daléj liczne klasztory bazylianów (we Fruska Gora).

Tuż pod Varadinem Dunaj rozdziela się na dwa ramiona, otaczające wojenną wyspę, którą w czasie wojny stawiają w stanie obrony; przepływając statkiem, widać z pokładu szańce i baterye. Minąwszy tę wyspę przybywamy do Karlovitz, które to miejsce, aczkolwiek zaliczone do liczby miast, zupełnie pozoru miejskiego nie ma i liczy tylko 6000 mieszkańców. A i położenie samo wcale nie jest malownicze. Cerkiew tylko wspaniale się przedstawia, gdy tymczasem rezydencya arcybiskupa (grecko-nieunickiego) wcale nie zaleca się architekturą.

Arcybiskup karłowicki w państwie austryackiém jest naczelnikiem kościoła greckiego i tu znajduje się też seminaryum i liceum tegoż wyznania. Mieszkańcy tutejsi przeważnie zajmują się produkcyą wina, wyrabianego z białych i czerwonych gron, i znanego pod nazwą wina Schiller (Jatszószíń bór); słynne są tu nie mniéj: karłowicka piołunówka, i kiełbasy orzechowe, sporządzone z jąder orzechów włoskich moczonych w moszczu winnym.

W Karłowicach r. 1699 dnia 26 stycznia zawarto pokój z Turkami, mocą którego Węgry, Sławonia i Siédmiogród zwrócone zostały Austryi, Peloponez, parę wysp greckich i część Dalmacyi dostały się Wenecyi, Podole zwrócono Polsce, a Azow od Rosyi oderwano. Celem zawarcia tego pokoju zjechali się do Karlowitz posłowie wszystkich narodów i czyniąc zadość ówczesnemu etykietalnemu fanatyzmowi, zbudowano umyślnie salę konferencyonalną z taką ilością drzwi wchodowych ilu było posłów, aby wszyscy jednocze-

śnie do sali narad wejść mogli. W miejscu téj sali wznosi się dziś kościół „*Matki Boskiéj pokoju*“.

Charakter téj okolicy, zupełnie odmienny od dotychczasowych, ma w sobie cóś smętnego i wprowadza każdego w pewien rodzaj zadumy. Przyczynia się zapewne do tego widok tutejszych mieszkańców, o ponurém spojrzeniu, szorstkiém obejściu, jako też niezatarte ślady długoletnich tureckich wpływów, po których pozostały niektóre naleciałości, wywołujące to wrażenie jakobyśmy się znajdowali daleko na wschodzie, pełnym odrębnych i dziwacznych zwyczajów i obyczajów.

Ludność tutejsza słowiańska, mówiąca językiem dosyć dla nas zrozumiałym, mającym wielkie podobieństwo w brzmieniu do języka rossyjskiego, przeważnie należy do kościoła obrządku greckiego. Mieszkańcy miast tylko wyznają katolicyzm, inne zaś wyznania jak kalwinizm i luteranizm bardzo tu mało mają wyznawców; żydów również niéma tu wielu. Co do narodowości to są tu sami prawie słowianie, a tak Słoweńcy jak i Serbowie zamieszkujący Banat odznaczają się dorodnym wzrostem, niepoślednią odwagą i siłą. Serbowie zaczerpnęli cóśkolwiek z charakteru i usposobień Czarnogórców i Dalmatyńców; są więc skryci i mściwi, a nadto niełatwo każdego zaufaniem swojém obdarzają.

W ogóle dłuższy pobyt między mieszkańcami Banatu i całego pogranicza nie budzi wielkiéj sympatyi dla nich, i aczkolwiek są to Słowianie, rad byłem gdym nie był zmuszony znajdować się w ich towarzystwie.

Być może, iż do tego przyczyniły się te okoliczności, iż ci Serbowie i Słoweńcy, których poznać miałem sposobność i z któremi nawet kolegowałem, postępowaniem i usposobieniem swojém najohydniejsze dawali świadectwo o narodzie, z którego pochodzili.

Dalsza podróż Dunajem na razie nie jest zgoła zajmującą. Znużeni monotonnemi widokami zbliżamy się do Szlankament, miejscowości znanéj w historyi z powodu bitwy zwycięzkiéj, jaką tu z Turkami r. 1691 stoczył Ludwik Badeński; 25000 zabitych pokryło plac boju. Wielki Wezyr, seraskier, i wielu janiczarów pomarło z ran, a 154 dział było nagrodą odniesionego zwycięztwa. Na górze za nędzną wioszczyną widać jeszcze szczątki warowni, która tu istniała. Starożytne rzymskie *Acimincum* dziś zwie się Szlankamentem i cieszy się posiadaniem obfitego źródła solnego, które jednak wcale nie jest wyzyskiwane. Naprzeciw téj miéjscowości do Dunaju wpada Cissa, i stąd odchodzą statki parowe płynące pod wodę po Cissie aż do Tokaju.

Dopływamy do Zimony (Semlin), ostatniéj osady austro-węgierskiéj, położonéj na prawym brzegu Dunaju. Poniżéj cóśkolwiek do Dunaju wpada Sawa, tworząca granicę dzisiejszego księztwa serbskiego, a wówczas gdym te strony zwiédzał Serbii tureckiéj. W onym to czasie jeszcze, na przeciw Zimuń spotykało się piérwszą strażnicę austryackich kresów, owego sławnego pogranicza wojskowego, które od Adryatyku zaczynając się u Wrót Żelaznych brało swój koniec.

Zimuń, wolne miasto wojenne (komuna) z 11000

mieszkańców jest bardzo ważném miastem handlowém. Tu też była siedziba generała i kapitana pocztowego. Mnóstwo tutaj w porcie statków i łodzi. Wznoszą się liczne i obszerne magazyny towarzystwa żeglugi parowéj na Dunaju. Ulice miasta dosyć dobrze zabrukowane, jako też dosyć piękne gmachy, które wcale pęknieby wyglądały, gdyby czyściéj były utrzymane. W gmachu generalnéj komendy r. 1852 mieszkał cesarz Franciszek Józef I, a w innym znowu gmachu r. 1817 cesarz Franciszek I. Cerkiew grecka jest tu najokazalszym gmachem. Za miastem na Górze Cygańskiéj wznoszą się warownie, cmentarze i szczątki zamku Hunyady, w murach którego r. 1456 zmarł Janos Hunyady.

Dawniéj nim jeszcze żegluga parowa na Dunaju otwartą była, Zimuń był głównym punktem na trakcie tureckim, i stąd podróżni, towary i t. d. dążyli do Niszu, Adryanopola lub Stambułu; z onych to czasów jeszcze znajdują się wielkie budowle, należące do byłéj kwarantany, jaką tu podróżni przybywający ze wschodu odbywać musieli. Wskutek otworzonéj żeglugi po Dunaju podniósł sie niezmiernie dotychczasowy handel ze wschodem. Ze zniesieniem kwarantany wzmógł się także i handel z Serbią, wskutek czego upadł i bazar na Białohrodzkiéj łące.

W dawniejszych czasach zwiédzenie Belgradu, przedstawiało pewne trudności, teraz zaś rzecz ma się wcale inaczéj; korzystając więc z tego, zwiédziwszy Ziemuń, około 6 rano przybyłem do Belgradu, gdzie w przystani serbskiéj podoficer odebrał moją kartę

wolnego przejazdu, celem złożenia jéj w policyi, w gmachu przystaniowym, gdzie także i austryacki konsul ma biuro. Minąwszy konsulat stromo wznoszącą się uliczką, przybyliśmy do bramy miejskiéj prowadzącéj do dolnéj twierdzy i obsadzonéj silną strażą turecką. Droga ta prowadzi nas na wyżyny górnego miasta a raczéj twierdzy. Minąwszy cerkiew serbską, która w końcu wzmiankowanéj drogi się wznosi, dostaliśmy się na szeroką dobrze zabrukowaną ulicę, przy któréj na prawo wznosi się piękny gmach wzniesiony przez księcia Miłosza na miejscu nędznych chat i domków. W gmachu tym znajduje się kawiarnia „pod jeleniem“ i książęca apteka (oprócz téj apteki są tu jeszcze dwie inne: serbska i turecka). Ztąd idąc główną ulicą na lewo wchodzimy w aleę i przez esplanadę do twierdzy.

Esplanada rozciąga się aż po nad samą spadzistość, nad którą stanąwszy otwiera się nam przepyszny widok na Ziemuń, obie rzéki oraz dalszą okolicę. Dnie też całe spędzają tu niektórzy mieszkańcy Belgradu, paląc fajki i odbywając rozkoszne kef. Ze zwiédzeniem fortecy niéma żadnych trudności, i oddzielnego pozwolenia na to otrzymywać nie trzeba. Pomimo tego jednak jako oficer austryacki za opłatą jednego piastra uzyskałem od miejscowego komendanta tureckiéj załogi kartkę zaopatrzoną jego podpisem i pieczęcią. Uzbrojony tą kartką ruszyłem przez trzy bramy i dwa mosty rzucone po nad rowy, do wnętrza fortecy.

Wnętrze twierdzy składa się z obszernego pla-

cu opuszczonego i zaniedbanego pod każdym względem; przy placu tym stoi nowy konak paszy, moszea i gmach głównéj kwatery. Z bateryi położonéj naprzeciw bramy ku północy roztwiera się przepyszny widok, a u stóp widać dolną twierdzę z jéj forwerkami i obok przepływający Dunaj. W ostatnich czasach przed mojém przybyciem do Belgradu, turcy zaczęli poprawiać wały i zaopatrywać fortecę w broń i amunicyą. Obszedłszy wały, baterye i zwiédziwszy tureckie koszary, czyniąc zadosyć przyjętemu zwyczajowi udałem się do baszy, aby mu podziękować za udzielone mi pozwolenie zwiédzenia twierdzy.

Basza był uprzedzony o mojéj wizycie, zastałem go téż siedzącego z podwiniętemi nogami na niskiéj otomance w sali przyjęć. Tłumacz naszego konsulatu, który mi towarzyszył, przedstawił mnie baszy. Byłto człowiek już niemłody, o poważnéj fizyognomii, na któréj malowała się niewysłowiona dobroduszność. Machinalnie zrobiwszy ręką zwykły ruch powitalny, wskazał mi miejsce obok siebie. Siadłem téż na otomance, podwijając pod siebie dosyć niezgrabnie swoje nogi.

Tłumacz ze skrzyżowanemi rękami na piersiach stał przed nami, pośredniczący w rozmowie.

— W dzięczny jestem ci, baszo, rzekłem, za pozwolenie jakieś mi udzielił na zwiédzenie twierdzy, która wielce mnie zajęła, a mianowicie prześliczny widok z bateryi północnéj.

— Dziękuję Allahowi, odparł po chwili poważny basza, iż mi pozwolił oglądać oczyma memi dostojność twoją i zrobić ci tę małą przyjemność a sądzę że nie zaniedbasz powiedzieć twemu padyszachowi jak cię tu przyjąłem i jak się cieszę, że mogę w domu moim ugościć jednego z wojowników jego. Oby Allah błogosławił tę chwilę, w któréjś przekroczył próg mego konaku.

— Nie zaniedbam spełnić życzeń twoich, rzekłem cedząc słowo po słowie, aby tém większą powagę nadać sobie, i również proszę cię, dostojny baszo, chciéj swojemu wielkiemu padyszachowi wynurzyć moją najgłębszą cześć i podziękuj mu za tę gościnność, jakiéj nasi rodacy w jego państwie doznają.

— A z jakiegoż ty kraju? zapytał basza, patrząc na mnie uważnie.

— Z Lechistanu, odparłem, z owego kraju z którym twoi przodkowie tak częste wojny prowadzili.

— Rozumiém, rzekł po chwili basza, wasz to był wielki wojownik i potężny padyszach, który nasze wojska ciągnące na Wiedeń pobił na głowę; o znam to, znam dobrze, lecz mimo że wtedy przodkowie nasi żyli w niezgodzie, dziś jest inaczéj i oby Allah tę zgodę nadal błogosławił.

— Oby Bóg to sprawił! odparłem podnosząc rękę do czoła i pochylając głowę z taką powagą, jakbym był najprawowierniejszym turkiem.

Po zamianie tych słów paru nastało między nami głuche milczenie. Siedzieliśmy naprzeciw siebie. Basza, który trzymając gałki bursztynowe zawiązane na złotym sznureczku powolnie je przesuwał, zdawał

się drzemać, ja zaś usiłowałem się poprawić na siedzeniu, bo nieprzyzwyczajonemu do siedzenia na sposób turecki nogi zaczęły cierpnąć.

— Myślę, baszo, rzekłem po chwili, że Bóg użyczając ci zdrowia pozwoli, abyś długo jeszcze był komendantem téj twierdzy i że przyjazne stosunki panujące między naszymi władcami nigdy zerwane nie będą.

— Allah jest wielki i w mocy jego jest wszystko, odparł basza poważnie; i ja myślę i życzę twojéj dostojności, abyś żyjąc w zdrowiu nie zapomniał o przyjacielu swoim.

Po krótkiéj chwili milczenia, jakie znowu nastało, basza, z całą flegmą klasnął parę razy w dłonie i na znak ten bocznemi drzwiami weszło do sali pięciu drabów. Jeden szedł przodem a zbliżywszy się do nas pokłonił się najpierw swemu panu, następnie mnie, cztérej idący za nim turcy, przybrani dosyć schludnie a nawet i z pewnym wykwintem nieśli na tacach kawę czarną i różne słodycze. Na dany znak przez tego który szedł przodem, podano nam kawę w małych filiżankach. Basza z powagą zaczął pić podaną mu kawę, mlaskając językiem jakieś niezrozumiałe wyrazy; ja zaś popijając także usiłowałem go naśladować, lecz ból jaki czułem w nogach nie pozwalał mi delektować się wyśmienitym napojem. Po wypiciu kawy, basza skinął znowu, i na małych stołeczkach postawiono przed nami przyniesione tace ze słodyczami. Były to orzechy smażone w miodzie, jakieś małe ciasteczka

zdaje się że z migdałów i konfitury z róży, wszystko to rozłożone było na miniaturowych spodeczkach i zaopatrzone małemi srébrnemi łyżeczkami. Skosztowawszy z podanych słodyczy, znowu siedzieliśmy milczący, gdy oto na znak dany przez baszę, przyniesiono ponownie czarną kawę i weszli dwaj czibukczi, niosący zapalone fajki na długich cybuchach. Podano nam je. Przyłożyłem do ust olbrzymi bursztyn zdobiący cybuch i pociągnąłem, silnie puszczając przed siebie spore kłęby arcywonnego dymu. Nogi coraz bardziéj mi cierpły, wyciągnąłem je przed siebe i tak już do końca méj wizyty siedziałem.

— Twoja dostojność, baszo, rzekłem, dosyć często musisz tu miewać odwiédziny podróżnych i naszych wojskowych? Wielu mi mówiło, że zawsze gościnnie ich przyjmowałeś!

— Jest to naszym obowiązkiem, odparł basza, gościnność jest przepisaną alkoranem, bo gość każdy wnosi błogostawieństwo w dom wiernego sługi Allaha.

— Piękna to zasada, która i u nas w Lechistanie jest wykonywaną.

— Mówi dostojność twoja, rzekł basza, że jesteś z Lechistanu; powiédz mi więc czy to daleko stąd?

— Do Lechistanu stąd jest tak daleko jak do Istambułu.

— Czy w Lechistanie jest tak pięknie jak tu u nas?

— Różnie tam jest, są miejsca o wiele piękniej-

sze i wspanialsze od Belgradu lecz tak pięknych jak Istambuł niéma.

— O! o! i poważny turek zaczął głową kiwać. A czy twoja dostojność była kiedy w Istambule?

— Nie, nie byłem tam, lecz czytałem i słyszałem wiele o piękności tego miejsca, które podobnego sobie w całéj niema Europie.

— To prawda, to prawda!

Na tém przerwała się nasza rozmowa, a że i tak już za długo trwała, przeto podniosłem się z siedzenia i oddając pokłon baszy rzekłem:

— Żegnam cię, dostojny baszo, i odchodząc unoszę z sobą miłe wspomnienie mego pobytu u ciebie; lecz proszę cię zarazem, abyś mnie w swéj pamięci chciał zachować. Bóg z Tobą!

— Allah niech czuwa nad twemi krokami! odparł basza, również powstając z siedzenia i podając mi rękę zwyczajem europejskim. Myśl moja za tobą gonić będzie, dopókąd Allah nie powoła mnie przed swoje oblicze.

Basza, skłoniwszy się mi wedle zwyczaju wschodniego, odprowadził do drzwi sali, gdzie nowe nastąpiły ukłony i nowe uściśnienia ręki, wreszcie wyszedłem od gościnnego baszy, którego w kilkanaście minut później widziałem jadącego konno do dolnéj fortecy w odwiédziny do księcia.

Wracając z twierdzy przeszedłem obok angielskiego konsulatu ku tureckiej dzielnicy, która zupełnie odrębny ma charakter niż dzielnica serbska, w któréj charakter europejski jest jeszcze zachowany. Widok tureckiéj dzielnicy nadzwyczaj mnie zajął. Charakterystyczna odrębność téj części polega nie tylko na architekturze wznoszących się tu budynków, lecz przeważnie na tém, że ludność cała prawie żyje i wszelkie swe czynności na ulicy załatwia. Warsztaty i sklepy széroko rozwarte pozwalają zajrzéć do ich wnętrza. Szewcy, krawcy, siodlarze a nawet i piekarze pracują tu publicznie siedząc przed swemi zakładami. Wyśmienity tytuń w papuczach, jako téż i cieniuchno krajany, leży całemi stertami na podłodze z desek przed sklepami, a poważny turek, właściciel tytuniu, paląc fajkę i przesuwając w palcach paciorki kokosowe, od czasu do czasu piskliwym głosem zachwala swój towar. Z rybnego targu podążyłem ku tureckiéj łaźni a stamtąd na obszerny plac, gdzie wznosi się piękny lecz parterowy ratusz. Miejską bramą, „*Stambul kapi*", zbudowaną przez Loudona, wchodzimy na przedmieście Teresy, zamieszkałe przez Serbów, a minąwszy wielki targ na bydło, zbliżamy się do willi otoczonéj pięknym parkiem. Właśnie gdym tędy przechodził basza-komendant twierdzy, jeżeli się nie mylę Selim Basza, u którego byłem z wizytą, znajdował się u księcia z odwiédzinami, które, jak się późniéj dowiedziałem, miały na celu zakomunikowanie mu nowego firmanu sułtana, nakazującego, aby książę kazał zdjąć swą flagę wywieszoną nad przystanią. Stąd idąc w dół ulicy Sawy zbliżyłem się do wielkich magazynów i przystani.

Belgrad (Bijohrad, Nandor-Féjérvar, po turecku:

Darol-Dschihad) położony jest u zbiegu Sawy i Dunaju na prawym jego brzegu; składa się z twierdzy, miasta tureckiego, serbskiego, trzech przedmieść i dolnéj twierdzy. Z 14 moszei tu będących ani jedna nie zasługuje na szczególną uwagę, tem bardziéj że niektóre z nich są nawet w ruinach. Belgrad liczył w czasie mego tamże pobytu 17650 mieszkańców i był stolicą księstwa serbskiego, podlegającego lennictwu sułtana. Belgrad siedziba księcia panującego, arcybiskupa grecko-wschodniego obrządku, głównych władz krajowych, towarzystwa uczonych, liceum, gimnazyum, grecko-teologicznego kollegium, szkoły handlowo-przemysłowéj posiada w murach swoich kilka pięknych cerkwi i kościołów, a jako miasto handlowe i przemysłowe zajmuje znaczniejsze stanowisko. Belgradzkie wyroby z jedwabiu, broń i dywany, jako też wyroby skórzane znane są w świecie handlowym. W hotelach i kawiarniach mówią po francusku; zresztą zaś po serbsku i turecku.

Ze stanowiska militarnego Belgrad już przez Rzymian był wielce ceniony i jako *Singidunum* silnemi był otoczony murami. W r. 1342 serbski despota Duszan zbudował tu sobie na szczycie góry warowny zamek. Cesarz Zygmunt nabył w drodze kupna Belgrad, który, opierając się parokrotnie turkom, nareszcie r. 1521 przez nich był zdobyty i przez ciąg 167 lat w ich posiadaniu pozostawał. W r. 1688 kurfirst Max Emanuel Bawarski wypędził ztąd turków, lecz ci r. 1690 znowu przez zdradę weszli do Belgradu. R. 1717 książę Eugeniusz ponownie zdobył Belgrad i

zrobił zeń piérwszorzędną fortecę, którą r. 1779 przy zawarciu belgradzkiego pokojowego traktatu oddać trzeba było. R. 1789 zdobył znowu tę twierdzę Laudon, lecz r. 1791 Austrya była zmuszoną ostatecznie oddać ją turkom. W r. 1806 w dniu 12 grudnia przywódzca serbski Grzegórz Czerny w czasie walki o niepodległość zdobył Belgrad na turkach, lecz r. 1813 serbowie musieli twierdzę oddać w ręce turków, którzy odtąd swoją tu trzymali załogę (aż do wojny 1878 r.).

CZYTELNIA
bezpłatnej
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

IV.

Przewiózłszy się przez ramię Dunaju na łodzi rybackiéj, wsiadłem pod Ziemuniem na statek dążący na wschód. Minąwszy malowniczo położony Belgrad i przepłynąwszy tuż pod wałami dolnéj twierdzy jako téż pod wieżą „*Nebojse*“, wznoszącą się na przylądku Sawy, wydostaliśmy się na miejsce, gdzie brzegi Dunaju są bardzo niskie i bagniste.

Pancsowę, położoną nad Temesem, widać w głębi na lewym brzegu Dunaju. W miejscu tém z lewéj strony wpada Temes, po którym lekkie statki parowe krążą. Tu u przystani zatrzymawszy się chwilkę, podążyliśmy daléj mijając Homolicz i Hubin.

Prawy brzeg już od Homolicz począwszy zaczyna być wielce zajmujący rozmaitością swoją. Przyjeżdzamy więc po pod Grozka, gdzie r. 1737 austryacy zostali pobici i zmuszeni do zawarcia niekorzystnego pokoju w Belgradzie i przybywamy do Semendryi, znaczniejszej twierdzy, r. 1433 przez Brankovicsa zbudowanéj, tworzącéj dziś jeszcze bardzo malowniczy widok przez swe liczne wieżyce i bastyony,

z poza których wychyla się piękny nowo zbudowany kościół. Daléj cóskolwiek do Dunaju wpada Morawa, tworząc z Dunajem sześć mil długą wyspę: *Ostrowa*. Prześliczne są tu ruiny serbskiego fortu Rama, wznoszące się na skale po nad ubożuchną wioseczką Uj-Rama naprzeciw O-Palanka u ujścia Newy.

Od tego punktu rozpoczyna się nadzwyczaj ciekawa 17 mil długa przestrzeń, a mianowicie przerznięcie się Dunaju przez góry, które na lewym brzegu całemi masami na przód występować zaczynają. Z wpłynięciem statku w tę okolicę uczuwamy nagle silny i bezustanny przeciąg powietrza, które wywołuje tak gwałtowne falowanie rzéki, że okna dolnego pokładu szczelnie zamknięte być muszą, jeżeli podróżni nie chcą przymusowéj użyć kąpieli. Lecz oto zbliżamy się do Bazjas, i do serbskiego *Gradistie* ze szczątkami staréj twierdzy, która miała się wznosić na miejscu, w którym Trojan zbudował most łyżwowy. Na brzegu austryackim widzimy *Starą Mołdawę*, gdzie dawniéj podróż wodna statkami parowemi kończyła się, a podróżni przez progi na Dunaju będące przebywali na łodziach. Dziś jeszcze dzieje się toż samo gdy wodostan jest niski; jakoż w czasie méj podróży musieliśmy statek opuścić i przesiąść się na parową łódź: „*Karol Ludwik*“, zagłębiającą się tylko 12 cali.

Brzeg serbski na dosyć znacznéj przestrzeni przedstawia się tu jako wysoka i stroma ściana glinista, gdy tymczasem brzeg lewy mile bawi oko swą żywą zielonością, przerywaną tu i owdzie malowni-

czo rozrzuconemi skałami, po których spinają się liczne trzody kóz. Niezaradność, niewytłumaczona apatya mieszkańców Pogranicza sprawiła to, że w okolicach tych koza jest najulubieńszém stworzeniem, a to chyba dla téj jedynéj przyczyny, że nie wymaga dozoru i jakiéjkolwiek pieczy.

Już to przyznać należy, że ludność tutejsza, aczkolwiek słowiańska, najmniejszéj sympatyi nie budzi; przeciwnie wywołuje pewien rodzaj wstrętu. Granicarze są więcéj podobni do Greków niż do innych Słowian, a przytém dodać należy, że są arcyniechlujni i tchórzliwéj bardzo natury; pomimo tego jednak lud zaciekły i mściwy. W okolicach tych, dzięki koziemu gospodarstwu, niéma ani krzaczka, lasy są zupełnie wyniszczone; dla tego téż następnego roku po méj podróży ministeryum rolnictwa wydało surowe polecenie, aby kozy wytępiano i gospodarstwo leśne zaprowadzano. Czy rozkaz ten odniósł jaki skutek nie wiem.

Poniżéj Mołdawy znajduje się nowa zakładająca się osada, nazwana późniéj Coronini. Minąwszy tę osadę przepływamy około skały wznoszącéj się w pośrodku Dunaju; skała ta zwie się Babakai; naprzeciw téj skały, otoczonéj uroczém podaniem ludowém, widać najwspanialsze ruiny, jakie zdobią dolny Dunaj. Są to szczątki twierdzy *Golubacz*. Tuż nad samym brzegiem wznosi się potężny ośmiobok, tworzący dolną twierdzę, od któréj w górę ciągną się podwójne mury z basztami, połączone na szczycie skały z górnym zamkiem składającym się z trzech wieżyc, zbudowanych na trzech oddzielnych skałach.

Golubacz był r. 1391 najpierwszą zdobyczą turków i wedle podania miejscowego dzisiejsza twierdza wzniesioną i zamieszkiwaną była przez cudownie piękną turczynkę: *Gerinę*, która, jak czeska Libussa, siedzibę swą zamieniła na widownię krwawo kończących się miłostek. Ztąd téż prosta i turecka nazwa téj miejscowości: „*Göger dschiulik*“ (Gołębnik). Nim jeszcze przylądek na którym leży Golubacz opłyniemy, spostrzegamy w prostopadłéj skale jaskinię, do któréj był przystęp z zamku. Otóż w jaskini téj, wedle podania, Ś. Jerzy zabił smoka, i na gnijącém cielsku tego potworu wyroiły się słynne a tak dokuczliwe: *golubackie komary*“. Rok rocznie na początku maja z jaskini téj wylegają olbrzymie roje tych małych potworów, które nietylko dla ludzi lecz i dla zwierząt są niebezpieczne. Statystycznie bowiem ma być dowiedzione, że r. 1783 te komary zagryzły w Dognaczku 52 koni, 111 bydła rogatego, 130 świń i 310 owiec; r. 1813 pod ciosami komarów gołubackich padło 700 sztuk bydła rogatego, a r. 1839 całemi stadami dotarły one aż nad Litawę i Morawę.

Chcąc zaradzić téj pladze zamurowano kilka otworów jaskini, w któréj te owady się wylęgają; usiłowano téż roje te zabić dymem siarczanym, lecz wszystko to okazało się bezskutecznem. Owad ten należy do rodzaju *Simulium sericeum* i przebywa przeważnie na całéj przestrzeni między Golubaczem aż po górę Eotz.

Babakai i Golubacz są niejako przedsionkiem owych progów Dunaju, owéj najwspanialszéj i naj-

pięknejszéj przestrzeni na całym Dunaju, któréj żadna inna w Europie całéj nie dorównywa. Góry coraz bardziéj zbliżają się do Dunaju, rosną coraz wyżéj i wyżéj, pokrywając się lasami i tworząc arcy malownicze widoki. W wąwozach przerzynających te góry tu i owdzie rozsiadły się ubogie wioski, ożywiając okolice, które coraz dzikszy przybierają charakter. Na serbskim brzegu widzimy Bernicze. a na austryackim: Lupkowa. Berzaska i Drenkowa,. która to ostatnia miejscowość jest stacyą parostatków; statki tu nabierają węgiel, a przy niskim stanie wody następuje tu także zmiana parostatków, gdyż duże statki daléj płynąć nie mogą z powodu podwodnych raf. Przy bardzo niskim stanie wody, co nadzwyczaj rzadko następuje, już z Mołdawy podróżni jadą drogą lądową aż do Turn-Severin, skąd daléj na wschód dążą statkami.

W Drenkowie na statek przybywa locmau, a u steru staje trzech do cztérech ludzi. Przy wysokim stanie wody, progi przebywają się szybko i z taką łatwością, że nikt nawet nie wié kiedy to nastąpiło. Przy niskim stanie wody falowanie jest tu dosyć silne, podobne do „*maretty*“ na pełném morzu; falowanie to jednak nie jest tak potężne, aby mogło grozić jakiém niebezpieczeństwem. Statek z chyżością strzały wypuszczonéj z cięciwy pędzi unoszony spienionemi falami, pomiędzy rafami wychylającemi swe skaliste grzbiety po nad błękitne tonie, które, uderzane szybko obracającemi się kołami statku, burzą się i pienią, ota-

czając cały statek jakby siatką mglistą a w niéj tęczowemi barwy łamią się promienie słoneczne.

Poniżéj Drenkowy, z środka rzéki wyłania się rafa *Szirinia*, i tu naprzeciw tego miejsca na serbskiéj stronie 3—4 stóp ponad wodą widać w skale wykute czworokątne otwory, w których niegdyś wsadzone były belki, służące za podpory kładek utrzymywanych przez rzymian. Podobne otwory widać i w innych miejscach, a mianowicie tam, gdzie skały prostopadle do rzéki zstępują.

Za rafą Szirinią spotykamy rafy Bivoli, Kozla, Stenka, Izlas, Tachtalia i Hrebien. Ta ostatnia rafa bierze swe nazwisko od serbskiego przylądka *Hrebien*, który statki okrążają, chcąc się między skałami dostać do spławnego kanału rzéki. Przy wysokim stanie wody statek płynie środkiem rzéki, gdy zaś wody opadną, wtedy statek nagle skręcać musi po pod samym przylądkiem i to z taką siłą i szybkością, że cały pochyla się na bok. Falowanie rzéki jest w miejscu tém bardziéj silne i wprawia statek w oscylacyą, wywołać mogącą u osób wrażliwszych skutki choroby morskiéj. Gdy miniemy Hrebien, dolina którą Dunaj przepływa rozszérza się cóskolwiek, i tu po stronie serbskiéj spostrzegamy letnią rezydencyą księcia Miłosza „*Milanowacz*“, na lewym zaś brzegu malowniczą strażnicę Trikule. Olbrzymia silnie zbudowana wieża, wznosząca się nad brzegiem rzeki, jest tu głównym punktem stanicy, i tu główna jéj strażnica, zkąd ścieżka po skałach wijąca się pomiędzy dwiema mniejszemi wieżami prowadzi wyżéj i tam stoją pograniczne straże na czatach.

Minąwszy rafę Jusz, przybywamy do Ogassumare, Tissowicy i Plavizoviczy. Tu Dunaj zwęża się do 87 sążni, i wpływamy w kotlinę *Kazan*, w któréj Dunaj liczy 168 stóp głębokości. Po obu stronach pionowo do wysokości 2—3000 stóp wznoszą się skały lasem porośnięte u góry. Tu kończyła się niegdyś droga, prowadząca wzdłuż lewego brzegu, a chcący się dostać ztąd do Orsowy musiał przedzierać się przez skały. Od r. 1835, staraniem hr. Stefana Széchényi, a pod kierunkiem inżyniera Vasarhely wykuto tuż po nad rzéką piękną szosę, tak zwaną drogę „*Klissury*".

Opłynąwszy przylądek widzimy na lewym brzegu strumyczek sączący się po pod ową szosą; strumyk ten wypływa z wielkiéj jaskini, która tworzy tunel naturalny 500 stóp długi. Nieopodal od tego miejsca spostrzegamy nową czatownię, ponad którą znajduje się jaskinia „*Veterani'ego*". Przed tą jaskinią czerwienią się mury forteczne, i te jaskinię w zupełności od otworu rzéki zasłaniają. Jaskinia pomieniona jest bardzo wielka i oświetlona otworem w górze. Jaskinię tę r. 1691 ufortyfikował jenerał Veterani, i tak wtedy jako téż r. 1788 osada téj nadpowietrznéj twierdzy, licząca 300 ludzi, zaciekle broniła turkom przystępu w głąb kraju.

Za tém miejscem widzimy w ciągu dalszéj podróży osady nadbrzeżne po stronie pogranicza banackiego: Dobowę, Ogradinę i Jeselniczę. Naprzeciw Ogradiny po stronie serbskiéj spostrzegamy w prostopadłéj dolomitowéj ścianie słynne tablice Trajana.

Osadzone one są do trzech sążni ponad wodą w rodzaju głębokich nisz, a tuż popod niemi ciągną się ślady rzymskiéj kładki. W r. 1855 napisy na tablicy odczyszczono i odnowiono.

Napisy te brzmią jak następuje:

„Imperator Caesar divi Nervae filius —
Nerva Trajanus Augustus Germanicus
Pontifex Maximus tribunitice potestatis quartum
Pater Patriæ consul quartum —
Montis et fluvii anfractibus
Superatis viam patefecit.

Otóż, jak z tego napisu widać, droga prowadząca tędy otwartą była przez Trajana 101 r. po N. Chr. Napisów podobnych jest jeszcze więcéj, a mianowicie pod Poljetin, lecz tam odnoszą się one do Tyberyusza.

Przybywamy nareszcie do Orszowy, a raczéj do Staréj Orszowy, bo Nowa-Orszowa znajduje się po stronie tureckiéj i jest pograniczną twierdzą na wyspie śród Dunaju.

Orszowa, rzymskie *Beliogonum*, prześlicznie położone miasteczko ze względu na liczne pamiątki i godne zwiédzenia okolice spowodowała mnie, iż tu dalszą moją podróż przerwałem.

Rozlokowawszy się w hotelu „pod Krzyżem", poszedłem na miasto, zwiédzając przystań, kwarantannę i browar, w którym znajdują się rzymskie sarkofagi, amfory i inne pamiątki. W bazarze zwiédziłem sklepy zapełnione cybuchami, fajkami, tytuniem, duczasami (konfitury tureckie) i pantoflami, poczém udałem się do kaplicy „*Koronnéj*".

Poniżéj Orszowy w półmilowéj odległości leży owo słynne miejsce, na którém r. 1853 dnia 3 września odnaleziono żelazną skrzynię, zawierającą w sobie insygnia koronne Węgier wraz z koroną S. Szczepana, którą Kossuth uchodzący do Turcyi w tém miejscu zakopał. Długi czas panowało mniemanie, że Kossuth te insygnia z sobą zabrał, lecz, jak się późniéj okazało, tak nie było. Z opowiadania dziéwczyny pewnéj, która służyła w domu, w którym Kossuth w czasie swego pobytu w Orszowie się znajdował, wywnioskowano, że Kosuth ciężkiéj skrzyni ze skarbami nie uwiózł, lecz że ją na ziemi węgierskiéj gdzieś zakopał. Otóż po długich badaniach i poszukiwaniach zdołano się wywiedzieć, że w nocy przed ucieczką do Turcyi, Kossuth, wraz ze swymi towarzyszami, udał się był wozem obładowanym ku górze Allion. U podnóża téj góry, po za rzéczką Czerną uchodzącą w tém miejscu do Dunaju, znajduje się wązki pas ziemi terytoryum neutralnego, rozdzielającego Turcyą od Austryi. W tém téż miejscu na zasadzie z Paryża otrzymanych wskazówek pod kierunkiem audytora Kargera rozpoczęto poszukiwania i po dosyć długim upływie czasu, tuż w pobliżu paru rosnących tam drzew, odkopano poszukiwane skarby. Na miejscu tém wzniesiono kaplicę, klucz do któréj przechowuje strażnik mieszkający w pobliskiéj csardzie. Kaplica zbudowana jest w stylu otomańskim. We wnętrzu jéj w pośrodku rotundy znajduje się marmurem wyłożone zagłębienie, w miejscu w którém skrzynia była ukryta; na płycie marmurowéj przykrywającéj ten otwór wy-

rzeźbione są insygnia korony węgierskiéj. Odnalezione insygnia z wielką uroczystością przewieziono do Budy, później do Wiednia a ostatecznie znowu do Budy, gdzie są obecnie złożone.

Węgierskie insygnia koronne, które w wiedeńskim cesarskim skarbcu w Burgu, przed ich ostatecznem przewiezieniem do Budy (r. 1860), oglądałem, składają się z płaszcza koronacyjnego, berła, jabłka, pantofli, miecza, krzyża i korony Ś. Stefana. Płaszcz koronacyjny: *Casula Giselae reginae* pierwotnie był mszalnym ornatem, który Ś. Stefan i jego żona Ś-ta Gizela ofiarowali przez nich fundowanemu kościołowi w Székes-Féjervar (Stuhlweissenburg), jak to stwierdza złotem wyhaftowany napis: „*Casula haec data et operata est ecclesiae St. Mariae sitae in Civitate Alba anno ab incarnatione Christi IVIXXX indictione XIV, a Stephano rege et Gisela regina.*“ Tkanina, z któréj płaszcz ten jest zrobiony, jest adamaszkiem jedwabnym wyrobu bizantyjskiego, w którym nitka jedwabiu niebielonego z purpurową osnową tworzy gwiazdy i róże. Na tém delikatném tle haft złoty tak jest wykonany, że złote nitki obok siebie będące nie są przeciągane, lecz krótkiemi ściegami przytwierdzone. W owalnych medalionach nadto są ściegiem drobnym (petit point) artystycznie wykonane obrazy przedstawione. W medalionie środkowym widzimy Zbawiciela świata siedzącego na tęczy i błogosławiącego prawą ręką, gdy pod nogami wije się smok. Ponad tym wychyla się z obłoków ręka Boga Ojca, a niżéj znajduje się obraz Matki Boskiéj. Półkolem ota-

cza to wszystko powyżéj nadmieniony napis, który łączy się z dwiema kolumnami medalionów przedstających Proroków i 12 Apostołów. Oprócz znacznéj liczby innych świętych i figur symbolicznych są tu nadto popiersia ofiarodawców i ich syna Emerycha. W przeszłym wieku okazała się konieczna potrzeba restauracyi tego płaszcza i z tego to czasu pochodzi podszewka i obszycie; w czasie téj restauracyi jednak piérwotny dzwoniasty kształt kasuli zmieniono, wycinając ją na wzór pluwialu, przez co uszkodzono cykl medalionów. Piérwotny płaszcz koronacyjny St. Stefana jak się zdaje zaginął za Solimana; teraźniejszy zaś sporządzony został na koronacyą Maryi Teresy z ornatu, który przechowywany był od r. 1543 w cesarskim skarbcu w Wiedniu. Pomimo tego jednak „Casula“ jest arcy cenną, przeszło 800-letnią pamiątką, nie tylko pod względem swéj starożytności, ale i pod względem wielce artystycznego wykończenia.

Berło jest odmiennego rodzaju od wszystkich innych, ma bowiem kształt buzdyganów, jakie w muzeum peszteńskiém widzieliśmy. Berło to składa się ze złotéj rękojeści, zdobnéj w prześliczne filigrany, i z 7 centymetrów w przecięciu liczącéj kuli z kryształu, otoczonéj złotym filigranem, z którego zwieszają się złote łańcuszki, zakończone takiemiż kuleczkami. Złotnicze roboty tego berła niewątpliwie pochodzą z XII wieku. Jabłko jest bardzo skromne, 9 centym. w przecięciu, z pozłacanéj srébrnéj blaszki i mające u szczytu gładki krzyż patryarchalny. Pończochy i sandały stały się już bezużyteczne; sandały, jak się

zdaje, pochodzą z czasów Matiasza II, pończochy zaś z początku XVIII wieku i są z téjże saméj materyi zrobione co i podszewka kasuli. Miecz jest najniewątpliwiéj najnowszym nabytkiem, i niczém nie różni się od zwykłego rycerskiego miecza. Krzyż, w którym kilka sztuk relikwij się znajduje, jest, podobnie jak berło, ze złota filigranową robotą wykonany i niewątpliwie również z XII wieku pochodzi. Piérwotną podstawę krzyża tego zastąpił w XVI wieku jakiś włoski artysta. Krzyż ten przechowywany był w Estragom i służył wczasie koronacyi jako pacyfikał, na który król składał przysięgę, że prawa Węgier utrzyma.

Najcenniejszą i najdawniejszą relikwią pomiędzy temi insygniami jest korona St. Stefana, która pod względem starożytności, historyi i artyzmu na równi stoi z włoską koroną żelazną. Korona ta w istocie pochodzi z XI wieku i główna część jéj niewątpliwie spoczywała na głowie St Stefana. Korona składa się z dwóch części, pierścienia i górnych obręczy. Pierścień czyli obręcz dolna, cała ze złota, 20 centim. średnicy, ozdobiona jest ośmiu emaliowanemi popiersiami, pomiędzy któremi osadzonych jest 8 dużych nieszlifowanych szafirów. Na pierścieniu tym z przodu pomieszczonych jest 9 stożkowatych bogato przyozdobionych pól, z których środkowe przedstawia Chrystusa na tronie. Dołem od obręczy téj zwieszają się łańcuszki złote, które są zakończone, jakby kutasikami, drogiemi kamieniami w kształcie liści koniczynowych. Obręcz ta charakterystyczna nosi na sobie cechę wyrobu bizantyjskiego z końca

XI wieku i stanowiła dar bizantyjskiego Cesarza Michała Dukasa, przesłany królowi Geyzie między rokiem 1076 a 1077. Dowodem tego portret pomieszczony obok wizerunku Chrystusa a opatrzony (greckim) nadpisem: „*Michael in Christo fidelis Romanorum imperator Ducas*“, tuż obok widzimy jego syna Konstantyna, a na lewo popiersie obdarowanego „*Geobyts* (Geysa) *dominus fidelis, rex Turciae*“ (*). Na obręczy téj spoczywa złoty emalią ozdobiony skrzyżowany podwójny kabłąk, który w miejscu gdzie się krzyżuje, pomieszczony ma powtórnie wizerunek Zbawiciela. Oprócz tego kabłąk ten zdobią popiersia 8 apostołów, gdy tymczasem na obręczy są popiersia archaniołów Michała i Gabryela. W skutek téż tych ozdób korona otrzymała nazwę „*Apostolska*“ lub téż i „*Anielska*“. Z tego wnosząc cośmy tu opisali, przekonywamy się, że część dolna korony pochodzi z Bizancyi, część zaś górna z Rzymu i stanowi zasadę korony, którą papież Sylwester II poświęcił i St. Stefanowi przesłał, a którą tenże r. 1000 był koronowany. Jak nowoczesne naukowe badania wykazały, korona, którą St. Stefan się koronował, była przeznaczona dla Bolesława Chrobrego, lecz w skutek intryg dostała się w ręce Węgrów. Otóż część dolna téj korony zaginęła gdzieś; w skutek więc tego starożytną grecką obręcz połączono z kabłąkami rzymskie-

(*) Turcyą zwali Bizantyjczycy, aż do XI wieku, Naddunajskie kraje między Cisą a Dunajem.

mi, dlatego téż słusznie tę koronę zwać można koroną St. Stefana. Przy składaniu tych części u góry musiano na kabłąkach wizerunek Chrystusa przedziurawić, aby u szczytu pomieścić krzyż zaczepiony dwiema antabkami. Krzyż ten lekko osadzony z czasem przegiął się znacznie na lewo co, jak lud twierdzi jest charakterystyczną oznaką téj świętéj korony.

Koronne insygnia po rok 1526 po większéj części przechowywane były w Vissehradzie, a teraźniejszy płaszcz koronacyjny w Székes-Féjervár, zkąd r. 1543 wojska niemieckie i włoskie, mające dozwolony wolny wymarsz, zabrały je i tym sposobem przed turkami uratowały. W następstwie wszystkie insygnia razem znajdowały się w Possony i dopiéro r. 1790 przeniesione zostały do zamku królewskiego w Budzie. Złożone są one w skrzyni i są pod kluczem i pieczęciami palatyna, księcia prymasa, dwóch strażników koronnych i królewskiego komisarza. W czasie koronacyi insygnia koronne, wedle stałego zwyczaju, są zawsze przez trzy dni na widok publiczny wystawione.

Wróciwszy z wycieczki do kaplicy koronnéj dnia następnego przepływającym statkiem udałem się do Ada-kalessi (Nowa Orszowa), twierdzy tureckiéj położonéj na wyspie w samym środku Dunaju; lecz tu, nie mając nic ciekawego do widzenia, wysiadłem na brzeg pod górą Allion, na szczyt któréj przy pomocy przewodnika wdrapałem się.

W zachodniéj stronie, tuż u stóp góry, wpada, do Dunaju rzeczułka Bagna, u ujścia któréj wznosi się młyn zwany „*Wodica*“, i tu jest granica Austryi od

strony Wołoszy. Tu też zaczyna się przesmyk, zwany *Zelazne wrota* (po turecku *Demirkapi*, po serbsku *Denje djerdáp*). Rzéka jest tu 600 stóp széroka, lecz cała jéj szérokość na przestrzeni 10200 stóp z lewego brzegu i 8400 stóp z prawego brzegu zasiana jest rafami. Kanał spławny, którędy statki przemykają, jest tylko 240 stóp széroki i gwałtownie na prawo się zwracający. U prawego brzegu jest drugi kanał, wąski, bardzo kręty i nadzwyczaj głęboki; tym też kanałem płyną statki idące w górę. Nad uregulowaniem łożyska przacują już od r. 1834, i r. 1857 przedsiębrano ostateczne rozsadzanie skał i zapór. Przy niskim stanie wody progi tutejsze wielce malowniczy przedstawiają widok. Nasyciwszy się widokiem téj miejscowości i ogłuszony niemal hukiem burzącéj się wody, z Allionu podążyłem pieszo przez góry i wąwozy do Mehadji i słynnych kąpieli herkulesowych. Ze szczytów poszarpanego Allionu około południa już spuściłem się do zakładu kąpielowego, położonego nad rwącym i kryształicznéj czystości potokiem Czerna. Góry, otaczające tę miejscowość, dochodzą do 3000 stóp wysokości, i gdy w wąwozie pełno jest zieleni i kwiecia, to nieraz szczyty gór pokryte są śniegiem. Klimat w tym wąwozie jest bardo łagodny, tak dalece, że rosną tu winogrona, brzoskwinie i migdały! Tutejsze kąpiele alkaliczne znali już rzymianie, i ich *Thermae Herculis* uwieczniają licznie tu znajdywane tablice pamiątkowe, monety i t. d. a w baszcie Herkulesowego źródła widać jeszcze małą statuetkę przedstawiającą Herkulesa, którą uważa nie jeden rumun za

postać jakiegoś świętego. W miejscowości téj znajduje się 24 źródeł, a z tych dziewięć wydaje dziennie 6525 stóp kubicznych wody. Temperatura tutejszych źródeł dochodzi do 31° Réaum. i dla tego też, przed wpuszczeniem wody do basenu, ochładzają ją do 21°. W czasie mojéj bytności w tém miejscu rozpoczynano budowę pawilonu łazienkowego wedle planu Hansena.

O piękności tutejszego położenia niéma co mówić, jest ono bowiem przepyszne, pełne romantycznéj dzikości, któréj słowami opisać nie podobna. Z żalem też wielkim po dwudniowym pobycie w téj miejscowości, ruszyłem na dalszą wędrówkę ku północy, a nie zatrzymując się w Mehadyi i idąc wzdłuż Białki (Bela rieka) wąwozem ze wschodu i zachodu otoczonym niebotycznemi skałami i urwiskami., zdążyłem pod wieczór do Karansebes (Karańszebesz), miasteczka położonego u skraju doliny rozszérzającéj się ku północy, zkąd nazajutrz wózkiem zaprzężonym w jednego konia podążyłem ku Lugosz (Lugós), słynnéj miejscowości z bitwy jaką tu Węgrzy r. 1848 stoczyli.

Zwiédziwszy pamiętne pole bitwy i szczątki bateryj sypanych przez węgierską artyleryą, która tak dzielnie przyczyniła się do odniesienia świetnego zwycięztwa, dnia następnego pocztową karétką w towarzystwie dwóch węgierskich handlarzy win pośpieszyłem do Temesvaru, zkąd, nie zatrzymując się, pojechałem do Kis-Becskerek (Kisz-Beczkerek), gdzie zawiadomiony o przyjeździe moim oczekiwał mnie p. Kapi

Imre, pod przewodnictwém którego zamierzyłem zwiédzić środkowe Węgry a mianowicie komitaty csanadzki, csongradzki, debreczyński i szolnocski, a jeżeliby na to czas pozwolił to i część górno-węgierskich komitatów.

Głównym zamiarem moim było zwiédzenie i poznanie pobrzeży Cisy i jéj dopływów, jako też zwyczajów i obyczajów mieszkających tu Jazygów, Kumanów i Cyganów, których największa liczba rozsiadła się około Debreczyna. Odpocząwszy dni parę pod gościnną strzechą przyjaciela, przez Gyertyamos, torontalską pustą (stepem) ruszyliśmy do Török Becse, gdzie nas pan Barbó-Ferencz miał oczekiwać, abyśmy razem tę podróż odbyli. Przestrzeń dziewięciomilową dzielącą Kis-Becskerek od Török-Becze, unoszeni dzielną czwórką zaprzężoną do lekkiego wózka, przebyliśmy w niespełna sześciu godzinach, zatrzymując się tylko parę razy u przydróżnych csard (karczem), aby konie cóśkolwiek odetchnąć a my łykiem wina ochłodzić się mogli. Przybywszy do Becse, zajechaliśmy prosto przed malowniczo nad brzegiem Cisy położony dom p. Barbó, który na nasze powitanie wybiegł z mieszkania. Wprowadzeni do domu, w dużym obszernym pokoju zastaliśmy towarzystwo składające się z honoracyorów miejscowych a mianowicie był tu proboszcz łaciński, pop serbski i sędzia gminny (szolgabiró), którzy przed chwilą jeszcze zajęci byli ożywioną partyą ulubionego taroka.

Gospodarz zapoznał nas z obecnymi, i niebawem zawiązała się między nami żywa pogawędka.

Pop serbski, człowiek już niemłody, wzrostu słusznego, chudy, z siwiejącą brodą i takiemiż długiemi włosami, ubrany był w długą niebieską sutannę, na któréj miał takąż zarzuconą ryzę, podszytą czerwonym jedwabiem. „*Tati*“ (Ojciec) *Wukowicz* (Vukovics) był dziekanem i mieszkał w sąsiedniéj osadzie, odległéj od Becse parę staj tylko. Na twarzy jego malowała się serbska nieufność i niemała doza chytrości; pomimo to jednak, jak mi mówiono, był to człowiek poczciwy lecz biédny i obarczony liczną rodziną. Jak wszyscy serbowie, tak i szanowny dziekan czystością nie grzészył, a liczne plamy pochodzące z wina i tabaki, którą namiętnie zażywał, zdobiły wyszarzane jego ubranie. Proboszcz łaciński, mieszkający w miasteczku, wzrostu miernego, okrąglutki i pulchniutki, o twarzy gładkiéj, starannie wygolonéj, był węgrem rodowitym i, jako taki, z góry patrząc na kolegę serba, żartował sobie wesoło z jego dziekaństwa i paraſi n. Pan sędzia, mały, krótki i gruby, z potężnym nosem i sumiastemi wąsami, śmiał się ciągle i donośnie z żarcików proboszcza, którego z łacińska po węgiersku zwał: *Illusztriszszime.*

Po wieczerzy, korzystając z pięknéj księżycowéj nocy, odprowadziliśmy proboszcza do jego mieszkania. Na wychodném gospodarz nasz doręczył nam potężne długie kije, zakończone wielką gałką. Zapytałem w jakim je celu nam daje? Celem obrony przed psami! odpowiedziano mi.

Przechodzący wieczorem przez wieś lub małe miasteczko zamieszkane przez węgrów lub serbów,

prawdziwie naraża się na niebezpieczeństwo utraty życia gdyż w każdéj chacie znajdują się co najmniéj dwa lub trzy psy, które z nocą swobodnie puszczone włóczą się po wsi, i nimby kto nadbiegł na ratunek, to można być pewnym, że z napadniętego pozostałyby tylko szczątki; dla tego téż każdy, nawet miejscowi mieszkańcy, nocą wychodzą uzbrojeni długiemi kijami, aby napadające psy w przyzwoitéj trzymać odległości.

— Na co trzymacie taką ilość psów? zapytałem proboszcza.

— Hm, na co? otóż widzisz pan, Serbowie boją się jeden drugiego jak złodziei, a węgrzy lub niemcy koloniści boją się także serbów z téj saméj przyczyny!

Niéma co mówić piękna straż bespieczeństwa publicznego! przyznać jednak należy, że utrzymanie takiéj straży gminę nic nie kosztuje, a jeżeli ten lub ów winny przez psy poturbowany zostanie, gmina za to nie odpowiada, bo i po co w nocy włóczyć się po wsi?

Serb okrada skrzętnego kolonistę niemca dla tego jedynie, że jest niemcem, niemiec zaś usiłuje doprowadzić serba do ostatniéj nędzy, pożyczając mu pieniędzy, a gdy tenże zwrócić ich nie może, sprzedaje lub zabiéra serbowi całą osadę, wskutek czego ciągłe są tu kłótnie i swary. W Török-Becse żywioł niemiecki nie był licznie reprezentowany, i, jak twierdził proboszcz, za lat parę miejscowość tę niemcy zupełnie opuszczą, przesiedlając się w głąb kraju między węgrów, z którymi nie tylko że żyją w zgodzie lecz nadto chętnie się z niemi łączą. Jeden z niemieckich kolonistów, który jawnie swą sympatyą dla węgrów okazywał, mówił mi raz: „Jesteśmy w Węgrzech, tu znaleźliśmy sobie byt, swoje i naszych dzieci szczęście; dla czegóż więc mamy być w niezgodzie z niemi? tém bardziéj, że Węgrzy nas od siebie nie odpychają tak jak Serbowie. Obcujemy więc i łączymy się z Węgrami, przyjmujemy ich zwyczaje i mowę, bo z tém nam dobrze!“

Kolonizowanie się niemców w Węgrzech mniéj jest dla Węgier straszne niż kolonizowanie się Słowian, bo niemcy w drugiém a najdaléj trzeciém pokoleniu stają się już Węgrami jak najzacieklejszymi, gdy tymczasem Słowianie nietylko że swój typ narodowościowy zachowują, lecz nadto przeciwne od Węgrów mają dążności. Za czasów mojéj bytności w Węgrzech, jak to już gdzieindziéj wspomniałem, toczyła się walka magyaryzmu z germanizmem, lecz walka ta dotyczyła jedynie rządu. Słowianie stali wtedy na uboczu i bojąc się niemców jako swoich naturalnych wrogów, bali się i Węgrów, wiedząc, że gdy ci zwyciężą, rozpoczną gwałtownie magyaryzacyą, broniąc się któréj całych sił dobyć będą musieli.

Przybywszy przed mieszkanie proboszcza, tuż obok ładnie przedstawiającego się kościoła, i ulegając usilnéj prośbie gościnnego kapłana, weszliśmy do mieszkania jego, gdzie niebawem na stole przed nami pojawił się spory gąsior wina, różne wędliny, séry, owoce smażone, suszone i świéże.

— Wybaczcie, panowie, ozwał się proboszcz, że nie mogę was tak przyjąć jakbym tego pragnął, lecz czém chata bogata tém rada!

Popijając wino i zagryzając migdałami, potrąciliśmy o niejednę kwestyą dotyczącą stanu politycznego Węgier, despotyzmu urzędników komitatowych, nadużyć jakich się dopuszczają i wielu a wielu innych rzeczy.

— Niejeden przykład, mówił proboszcz, mógłbym panom przytoczyć na potwierdzenie tego com powiedział, lecz poprzestanę na jednym, a ten dostatecznie przekona jak daleko samowola nasłanych nam urzędników sięga. „Rok temu, a byłoto w piękny dzień październikowy, wracając z winobrania w Topolyá, przejeżdżałem przez Hegyes. We wsi było cicho i spokojnie, stare kobiéty, które pozostały w domu aby pilnować dzieci i domostwa, gdyż młodzież i zdolni do pracy zajęci byli winobraniem i robotami w polu, przechadzały się po przed swemi chatami mrucząc pacierze. Przed chatami bawiły się dzieci, a z wieżyczki kościelnéj słychać było dzwonek wzywający do modlitwy.

„W smutnych myślach zagłębiony przejechałem obok ostatniéj chaty, przez otwarte okna któréj zachodzące słońce oświetlało puste izby. Niadaleko od téj chaty na wschód, którędy i moja droga prowadziła, znajdował się „*ogród łez*“ (cmentarz, temetö). Głęboki rów otaczał go ze wszech stron, a od drogi przerzucony był mostek luźnie ułożony z desek, po za którym stérczały dwa słupy, kiedyś wrota, które czas

i pasterze zniszczyli. W pośrodku wznosi się krzyż piérwotnie pomalowany na czerwono; dzikie róże, osty i krzew jerzyny rosną tu swobodnie i napełniają to miejsce smutną zielenią, z pośród któréj tu i owdzie wychyla się czarny dębowy krzyżyk. W chwili w któréj zbliżyłem się do cmentarza, wychodził zeń ksiądz miejscowy, mój dobry znajomy: Atya Boldenyi Janos, za którym poważnie kroczył organista, niosący kapę żałobną, krucyfiks i kropidło. Za księdzem i organistą postępowało kilkoro ludzi, mężczyzn i kobiét. Niemłoda już kobiéta, podtrzymywana również przez wiekową kobiétę, stała rzewnie płacząc nad grobem. Widocznie żegnała się z umarłym, którego trumnę grabarz zasypywał. Widząc zbliżającego się proboszcza kazałem woźnicy memu przystanąć, i zeskoczywszy z wózka podszedłem do nadchodzącego. Słońce już zaszło i na niebie gwiazdy świécić zaczynały, mój téż kolega zaprosił mnie na noc do siebie, na com się chętnie zgodził, témbardziej, że do domu miałem jeszcze spory kawał. Idąc do probostwa, zapytałem kolegę, kogo to przed chwilą pochował? i kolega mój, czyniąc zadosyć memu życzeniu, opowiedział mi dzieje zmarłéj.

„Jedenaście lat temu, jak kobiéta, którą widziałeś płaczącą na cmentarzu, zamieszkała tu w Hegyes. Przez ten przeciąg czasu poznałem ją dobrze, i przyszedłem do tego przekonania, że to poczciwa i zacna kobiéta, nad życiem któréj jakby przekleństwo jakie ciążyło, tyle bowiem doznała przeciwności, umartwień i klęsk! Męża jéj, dzierżawcę młynów w Ada, znano

powszechnie jako człowieka wielkiéj prawości; pomimo tego jednak umarł on w więzieniu komitatowém, oskarżony o wspólnictwo z rabusiami, którzy w okolicy Zenty włóczyli się. Człowiek ten, nie należąc do uprzywilejowanéj klasy, któréj nawet w razie popełnionéj zbrodni można bronić się z wolnéj stopy, pewny swéj niewinności, zeznał, że rabusie, przybywający z za Dunaju, dosyć często go nawiédzali, grożąc zamordowaniem, jeżeli ich zdradzi, Dowodów jednak jasnych i niezbitych sąd nie posiadał, jakoby oskarżony z rabusiami dzielił się ich łupami i jakoby ich przed władzą ukrywał; lecz że w sądach naszych musi być ktoś winnym, otóż więc i dzierżawcę młynów uznano za takiego, a majątek jaki posiadał i zebrał przez lat wiele poczciwéj pracy uznano, na podstawie, jak się późniéj wykryło, fałszywego świadectwa, za zrabowany, a więc podlegający konfiskacie. Młynarz został skazany na lat trzy ciężkiego więzienia i na karę cielesną. Ale Bóg, ów najsprawiedliwszy sędzia, był miłosiernym i niewinnego człowieka zabrał do siebie, niebawem po wyroku jaki nań był wydany.

„Wdowa wraz z siédmioletnią Julką, opuściwszy Ada, przesiedliła się tu do nas, gdzie po ojcu swoim kawałek posiadała gruntu. Z pracy rąk i plonów pola swego żyła ona spokojnie z córką swą, która z każdym rokiem rosnąc stawała się coraz piękniejszą. Byłato dziéwczyna najcnotliwsza i najskromniejsza w całéj mojéj parafii, a pomimo że obie kobiéty prowadziły prawdziwie wzorowe życie, jednak ludzie nie zapominali o hańbie, jaka dotknęła ich męża i ojca.

Stroniła téż od nich młodzież wiejska. Jeden tylko z nich nie podzielał przesądu towarzyszów i śmiało zbliżył się do osamotnionych kobiét. Niebawem między młodemi ludźmi zawiązał się stosunek serdeczny, i tak matka Julki jako i ojciec Szandora pozwolili na ich związek, który w niedzielę zapustną miał być uwieńczony błogosławieństwem kościelném. Lecz przeznaczenie, czy téż wola Boża chciały mieć inaczéj. Julka z matką mieszkały w owym ostatnim domku, który kolega widziałeś, jadąc drogą do cmentarza. Już przeszło rok temu, gdy do naszéj wsi przybył pan Dietrich, nowomianowany szolgabiró, celem dokonania popisu młodzieży zdolnéj do wojska. Nie wiem jakim sposobem to się stało, lecz dosyć na tém, że p. Dietrich, niemiec czy téż czech zgermanizowany, wkupił się do domu wdowy, gdzie ze względu na jego urzędowe stanowisko, aczkolwiek nie z dobréj chęci, uprzejmie był przyjmowany. Pan sędzia zaczął Julce nadskakiwać, pochlebiać, a nawet ze swą miłością się oświadczać, co bardzo niechętnie przyjęto. Po skończonym popisie, pan sędzia w parę dni pod jakimś błahym pozorem znowu przybył do Hegyes, i odtąd dosyć często naszą wieś nawiédzał, zajeżdżając zawsze do wdowy. Odwiédziny te, naturalnie, wpadły wszystkim w oczy; zaczęto więc rozsiewać różne wieści uchybiające Julce, któréj cześć dotąd była bez najmniejszéj plamy. Szandor bronił swéj narzeczonéj przeciw oszczercom, lecz nareszcie zabrakło mu cierpliwości i pewnéj niedzieli, jednego z oszczerców wobec zgromadzonego ludu potężnym policzkiem

uczęstował. Ztąd powstała bójka, a w następstwie tejże i wniesienie skargi na Szandora przez stronę pobitą. Pan sędzia, który widział w oskarżonym rywala, i opór stawiany przez Julkę jemu przypisywał, postanowił z téj skargi korzystać i skazał go na surową karę cielesną, którą z całą sumiennością przed gmachem sądowym za pomocą potężnéj leszczynowéj laski wykonał hajduk sądowy.

„Karnawał zbliżył się i nadchodził dzień przeznaczony do zaślubin; lecz Szandor zażądał zwłoki, nie chcąc Julki, wnet po ślubie, uczynić słomianą wdową. Ślub miał nastąpić po losowaniu, od którego jako jedynak miał nadzieję być uwolnionym. Prośba w tym celu podana do komitatu dostała się do rąk p. sędziego, który prośbę zatrzymał u siebie i nie przedstawił jéj naczelnikowi, wskutek czego i Szandor wraz z innymi do losowania stanąć musiał. Pan sędzia w czasie tym coraz częściéj zaglądał do wsi naszéj i, jak mówił, czekał na to, aby Julka go prosiła, by narzeczonego od wojska uwolnił; lecz dziewczyna czy z dumy, czy z obawy, czy téż z poczucia osobistéj godności, kroku tego uczynić nie chciała i nie poniżyła się do tego, aby p. sędziego prosić.

„Tymczasem Szandor stanął do losowania i wyciągnął los do domu. Liczba rekrutów, jaką wieś Hegyes dostarczyć miała, była pełna, i Szandor miał trzeci numer uzupełniający, był więc wedle prawa wolny. Pan sędzia Dietrich, widząc to, przedłożył komisyi rekrutacyjnéj podanie ojca Szandora, zaopatrzone komentarzami p. sędziego, w których Szandor

przedstawiony był jako niebezpieczny i szkodliwy człowiek, usunięcie którego ze wsi jest konieczne, chociażby tylko dla zabezpieczenia spokoju publicznego. W skutek tego prośba została odrzucona i Szandor w miejsce jednego z rekrutów, który uznany był za niezdatnego, wzięty był do wojska. Pożegnawszy Julkę, a było to pożegnanie, które nawet i głaz poruszyćby mogło, byłem temu obecny, Szandor poszedł do pułku konsystującego w Czechach.

„W dni parę później przybył do wsi pan sędzia Dietrich, uśmiéchnięty, wesoły, i pewny zwycięstwa pośpieszył do wdowy, sądząc, że Julka będzie teraz dla niego uleglejszą; lecz zawiódł się straszliwie, bo ta i widzieć go nie chciała. A gdy starania jego okazały się bezowocne, zaprzestał bywać we wsi, zapomniał o nieszczęśliwéj dziewczynie, a bardzo być może, że i o swoim szlachetnym czynie.

„Julka tymczasem, tęskniąc za swoim ukochanym, więdła jak kwiatek, aż nareszcie, jak roślina podcięta, padła na łoże boleści, z którego już więcéj nie powstała.“

Świtać już zaczynało, gdy proboszcz opowiadanie swe skończył; pożegnaliśmy go [illegible] na zajutrz przyjść na dłuższą pogawędkę.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

V.

Po dwudniowym pobycie w Török-Becse, przeprawiwszy się przez Cisę do O-Becse, ruszyliśmy traktem wiodącym pod górę rzéki do Szegedyna, skąd zamierzyliśmy przez Hód-Mezö Vásárhely i Mezö-Für podążyć do Szolnoku.

Przebyliśmy równinę rozległą i gubiącą się na lewym brzegu Cisy w niezmierzonéj okiem oddali; na lewo zaś od nas, to jest na prawym brzegu rzéki, wzdłuż któréj jechaliśmy, teren był cóśkolwiek falisty i ku zachodowi się wznosił; mimo to jednak wznoszenie się terenu jest tu nieznaczne, a ku Dunajowi od Topolya zamienia się na równopochyłą stoczystość. Równinę przerzyna mały strumyk, wpadający do kanału Csorsa, a na pochyłościach zwróconych ku południowi widać liczne winnice i sady, z pomiędzy których wyglądają białe domki właścicieli i dozorców. Sam brzeg Cisy dosyć w tych miejscach głęboki; rzéka więc nie rozlewa się w bagna, lecz płynie krętém korytem. Równinę na lewym brzegu pokrywa wysoka trawa: są to pastwiska, zwane stepem torontalskim, śród którego porozsiadały się różne wioski i osady. Nad brzegami Cisy, wiérzby i olchy monotonność widoku urozmaicają a tu i owdzie przy brzegu klekoczące młyny dodają życia téj głuchéj okolicy.

Przed chwilą opuszczone miasteczko O-Becse (czytaj O-Becze), zamieszkałe przeważnie przez Serbów, leży w komitacie bacs'skim (Bacz-Bodrog) i liczy około 11000 mieszkańców, trudniących się przeważnie bardzo rozległym handlem zbożowym. Są téż liczne i duże śpichlerze, z których zboże transportują bądź Cisą i kanałem Csorsa do Dunaju, bądź téż furmankami do Nagy-Kikinda, skąd już koleją daléj w głąb Węgier i do Austryi się przewozi. Oprócz śpichlerzy znajduje się tu także godny widzenia kościół katolicki, wzniesiony w staro romańskim stylu. Kościół ten ogołocony ze wszelkich pamiątek; ściany świécą straszliwemi pustkami, a obrazy w ołtarzach wcale do starożytności policzone być nie mogę.

Część Węgier, w któréj O-Becse jest położone, należy do Województwa serbskiego i Banatu. Ta część kraju, to jest Banat właściwy, zwany także temeszwarskim, leży między Dunajem, Cisą, Maroszem i Siédmiogrodem, skadając się z trzech komitatów: torontalskiego, temesvárskiego i krasoskiego; całe zaś województwo oprócz tych trzech komitatów obejmuje krom tego komitat bácsski (Bacs-Bodrog), położony między Dunajem i Cisą, a od północy graniczący z komitatami peszteńskim i csongradzkim. Województwo serbskie liczy przeszło 545 mil kwadratowych i przeszło 2,000,000 ludności, różnéj narodo-

wości. Sam Banat, który dopiéro w minionem stuleciu z pod panowania tureckiego został oswobodzony, był na razie prawie zupełnie wyludniony i świécił długie lata straszliwemi pustkami; dopiéro Józef II przedsięwziął energiczne kroki celem zaludnienia téj pięknéj i żyznéj krainy. Sprzedawano więc ziemię po nader niskich cenach, i tym sposobem zachęcono kolonistów do osiedlania się. A byli to różnorodni koloniści: niemcy, serbowie, wołosi, bułgarzy, węgrzy i ormianie, nawet francuzi i włosi. Najwięcéj jednak osiadło tu serbów i wołochów. Dotąd pustką leżąca tłusta, czarna i gliniasta ziemia, wzięta pod uprawę, zaczęła bogate wydawać plony, a mianowicie pszenicę; produkują tu jeszcze jęczmień, żyto, kukurydzę, a nawet ryż, tytuń i wino. Klimat wschodniéj części województwa jest zatém zupełnie ten sam co i we Włoszech, lecz zima staje się bardzo ostrą, a to wskutek położenia swego między dwiema rzékami. Wschodnia górzysta część Banatu bogatą jest w lasy, pełne różnorodnych drzew i krzewów. Z płodów kopalnych Banat obfituje w miedź, ołów, cynę i cynk; pod Orawicą zaś odkryto węgiel kamienny w bardzo dobrym gatunku, obok którego także znajduje się złoto i srébro.

Minąwszy Ada, przed południem jeszcze stanęliśmy w Szenta (Senta lub Zenta), mieście stołecznem komitatu Bacs, liczącém 17000 mieszkańców i położoném na prawym brzegu Cisy. Słynie to miasto zwycięstwém nad turkami, jakie tu r. 1696 odniósł książę Eugeniusz Sabaudzki. Zdobią je dwa starożytne

kościoły, z kilku pięknemi pomnikami i pamiątkami przypominającemi zwycięstwo Eugeniusza. Handel i przemysł ożywiony nadaje Szencie pozór wielkiego miasta, którego położenie jednak wcale nie jest malownicze, chociaż ze wszech stron prawie otaczają je ogrody i winnice. Cóśkolwiek tylko malowniczości dodaje mu tuż pod miastem płynąca Cisa, po falach któréj zbożem ładowne statki bujają. Ludność téj miejscowości jest mięszana, przeważa w niéj jednak żywioł węgierski; coraz mniéj tu widać Serbów, coraz mniej téż słychać mówiących po serbsku lub wołosku.

Opuściwszy Szenta ruszyliśmy daléj do Kis-Kanisza (także Magyar-Kanisza), miasteczka liczącego 11,200 mieszkańców, trudniących się uprawą i hodowlą bydła i owiec; nie zatrzymując się w téj miejscowości, która niczém w zwiédzającym nie budzi zajęcia, podążyliśmy do Szegedynu, siedziby csanadskiego komitatu, miasta dużego i pięknego, położonego nad Cisą, w pobliżu ujścia Marosu. Szegedyn jest warownią a zarazem wolném miastem królewskiém (przeszło 30000 mieszkańców). To miasto, zabudowane na bardzo rozległéj przestrzeni, z mnogą ilością ogrodów, miłe na przybyszu sprawia wrażenie. Ulice zwyczajem węgierskich miast są tu bardzo szérokie, a place olbrzymie pozbawione jakiegokolwiek cieniu. Gmachy publiczne, jak kolegium pijarów, gimnazyum, szkoły realnéj, są bardzo piękne i stanowią prawdziwą ozdobę miasta. Z sześciu kościołów najwspanialsze są: franciszkański i minorytów, pełne pięknych pomników i prześlicznych malowideł. W kru-

chcie kościoła franciszkanów pomieścić się może 3000 ludzi, i z tego też powodu król Maciéj r. 1454 odbył tu zgromadzenie narodowe, poczém obdarzył kościół płaszczem szytym perłami, który, przerobiony na ornat, do dziś jeszcze się tu znajduje. Oprócz większych gmachów publicznych, kamienic i pałaców osób prywatnych, budowanych z cegły palonéj i mających po parę pięter, reszta są to domy parterowe, wzniesione z cegły suszonéj na słońcu; budowa więc ich nie jest bardzo trwała. Na przedmieściach znajdują się istne folwarki, pełne stodół, śpichlerzy i t. d., a po za niemi w lepiankach i ziemiankach zamieszkują cyganie. Stary zamek turecki ze szczątkami minaretu, wznoszący się nad rzéką, dziś zamieniony jest w koszary. Za Macieja Korwina Szegedyn znany był jako wielkie i handlowe miasto, które od czasu zajęcia go przez turków r. 1551 znacznie podupadło, i dopiéro nanowo odżyło po ustąpieniu ztąd tych najeźdźców (1636). W r. 1849 pod murami tego miasta Węgrzy doznali porażki i musieli miasto oddać w ręce Austryaków.

Ciekawy byłem bliżéj poznać siedziby cyganów, ich zwyczaje i obyczaje. Z towarzyszem moim ruszyliśmy do osady przez nich zamieszkanéj, a znajdującéj się w kierunku Dorosmy. Tuż za miastem w pobliżu rzéki ujrzeliśmy na znacznéj równinie liczne kopce ziemne, rozrzucone tu i owdzie jak kretowiny. Z kopców tych dymiło się. Była to wieś czyli osada cygańska. Nędzne te lepianki, rodzaj ziemianek, biédni cyganie zwą chatami, lecz na to miano nie zasługują one bynajmniéj. Skrzyżowane okrąglaki,

osadzone w ziemię i pokryte deskami, obrzucone są gliną i ziemią, od przodu zrobiony jest otwór tak niski, że tylko czołgając się na czworakach można dostać się do wnętrza téj „chaty“, która nadto u góry ma drugi otwór, którędy na zewnątrz dym a dészcz i śnieg do wnętrza się dostaje. Cała chata ma kształt stożkowaty i mieści we wnętrzu swojém liczną nieraz rodzinę, któréj członkowie w „chacie“ muszą siedzieć lub leżeć, gdyż inaczéj nie mogliby się tu pomieścić. Ognisko, na którém żywność gotują, znajduje się latem przed „chatą,“ zimą zaś wewnątrz. Tak to mieszkają skuleni i zagrzebani niemal w ziemi synowie Wschodu, niegdyś Paryasi nad brzegami Gangesu, w falach którego kąpie się biały kiélich lotosu, a dziś panowie, ludzie wolni, ba co więcéj arystokraci węgierskich cyganów; są bowiem panami ziemi na któréj ich „chaty“ się wznoszą, płacą podatki, trudnią się strycharstwem, tractwem, kowalstwem, kotlarstwem i innemi rzemiosłami, co nie przeszkadza im wszystkim być artystami muzycznemi. Z tych to stron pochodzą owi sławni Farkasze, Josiki, Racz Pále, Balloghowie i t. d.

Opowiadano mi pewne wydarzenie, które przed paru laty miało miejsce w okolicach Lippy; otóż powtórzę je jako arcy charakterystyczne i dające dosyć dokładny obraz z życia cyganów.

W jednéj z chat wsi cygańskiéj pod Lippa mieszkał stary cygan: Gabór Piszta zwany, przy którym żyła śliczna jego jedyna córka Marica. Stary Gabór uchodził za niezmiernie bogatego i miał zostawać w

ścisłych stosunkach z czartem, przy pomocy którego, nie zajmując się nigdy poszukiwaniem złota w górskich strumykach, znalazł takowe w ogromnéj ilości, a to w miejscu jemu tylko wiadomém. Dnia pewnego do chaty Gabora wczołgał się młody cygan Pali, który rozkochał się w Maricy i chciał ją wziąć sobie za żonę. Gabor, ujrzawszy przybyłego, skinął nań ręką w milczeniu, dając mu znać aby mówił. Po długich omówieniach, trzęsąc się cały, Pali wybełkotał nareszcie, że przyszedł prosić Gabora o rękę Maricy. Gabor spojrzał na petenta, roześmiał się dziko i wskazał na otwór w chacie. Pali zrozumiał ten ruch, i nie tracąc chwili wyczołgał się pośpiesznie z chaty, w któréj mu tak duszno było. Wydostawszy się na dwór Pali odetchnął swobodnie i wyciągając dotąd skurczone swe członki, obejrzał się po okolicy i ujrzał Maricę, swą uwielbioną, która go do ojca posłała, rozmawiającą z jego rywalem Miską. Pali, spostrzegłszy to, obezwładniał, lecz, oprzytomniawszy po chwili, jak szalony popędził ku swéj chacie. Miska był piérwszym skrzypkiem, a Pali dzierżył smyczek drugich skrzypiec w wiejskim cygańskim kwartecie Otóż wyższość ta Miski gniéwała zawsze Palego, który teraz, po tém co widział, powziął ku niemu straszliwą nienawiść.

„Jakto? więc zawsze i wszędzie, mówił do siebie Pali ma mnie uprzedzać? Jakto, czyż zawsze ma on być nietylko chwalony jako dobry muzyk, ale także ma mi dziéwczęta zabierać z przed nosa? nie, tak być nie może i nie będzie!“

Wcisnąwszy się do swéj chaty, Pali rzucił się na nędzne posłanie i nad planem uknutéj zemsty począł rozmyślać; *„poczekaj Miska, pomszczę ja się na tobie“*! zawołał głośno Pali i w chwil parę usnął snem głębokim. Wykrzyknik ten doleciał do uszu tuż obok chaty przechodzącego Miski, który właśnie do siebie powracał. Noc była piękna, księżyc łagodnie oświetlał zieloną dolinę, po któréj wił się złotonośny strumyk, a po nad piętrzącemi się w głębi górami zwiészało się ciemnobłękitne niebo, zasiane błyszczącemi gwiazdami. Miska, śmiejąc się z zapowiedzianéj zemsty, wsunął się do swéj chaty, i teraz cisza zaległa całą wioskę; trzoda chlewna tylko wylegiwała się za chatami, pochrząkując od czasu do czasu.

Koguty siedzące na wiérzchu ziemianek jak na wieżach jakich poczęły pianiem swojém oznajmiać czwartą ranną godzinę. Równocześnie tak Pali jak i Miska podnieśli się ze snu. Pali wylazł z chaty i pobiegł ku pobliskiéj wiosce, Miska tymczasem zbudził kilku przyjaciół swoich i wraz z niemi podążył za Palim, rozmyślając nad tém coby on o téj porze we wsi miał do czynienia; otóż zobaczyli jak Pali, przelazłszy przez płot, zbliżył się do piérwszéj chaty przy drodze. Drżał widocznie i już zamierzał wrócić się, lecz chęć zemsty gnała go naprzód. Ażeby spełnić powzięty zamiar, zebrał wszystkie siły i niebawem z napełnionym workiem na plecach przeskoczył przez płot, dążąc pośpiesznie ku wiosce cygańskiéj. Był przerażająco blady, jakby w febrze, a ręce cochwila ocierał sobie jakby chciał je oczyścić. U wejścia do wsi

siły go opuściły, i padł zemdlony na ziemię. Śledzący go koledzy podbiegli do zemdlonego, w około którego gromadzić się zaczęli i inni mieszkańcy wioski, którzy o tym czasie już ze snu powstawali. W worku leżącym obok Palego ruszało się cóś. Jeden z cyganów rozwinął go i oto wyleciała zeń kuropatwa.

— Ha! zwierzyna piérzasta, ptak dziki! zawołali zgromadzeni, rozstępując się i czyniąc znak krzyża świętego.

— Oh! na Boga! zawołał słabym głosem leżący na ziemi Pali, zabierzcie worek co mnie przygniata, zlitujcież się ludzie!

— A cóż jest w nim? zapytano go.

— Fasola, fasola! zawołał Pali.

— A brzydko! brzydko! zawołali zgromadzeni, odstępując od jęczącego.

— A cóż ty chciałeś zrobić z tym grochem? zapytał Miska śmiejąc się.

— Chciałem wrzucić do twéj chaty, odparł zagadnięty jęcząc coraz bardziéj i trzęsąc się straszliwie.

Głośny śmiéch obecnych odebrał do reszty przytomność młodemu cyganowi, którego po chwili podniesiono i do chaty jego zaniesiono.

Worek z fasolą pozostał nietknięty na drodze, a przechodzący cyganie mijali go, spluwając z obrzydzeniem.

Pali chciał się pomścić, lecz sam padł ofiarą swego pomysłu, chciał przezwyciężyć cygańską naturę, chciał dokonać czynu bohaterskiego, lecz wrodzona

natura pomściła się na nim. Cyganie, wiedzieć trzeba, uczuwają wstręt nieprzezwyciężony do dzikiego ptactwa, czyli jak je zwą „pierzastéj zwierzyny“, do fasoli, żab, żółwi i do niektórych gatunków ryb, jak sumy, węgorze, liny, pod którym to względem mają wielkie podobieństwo do Egipcyan. Fasola i kuropatwy są par excellence dla cyganów rzeczą najwstrętniejszą, i gdy unikają samego widoku fasoli, to przeciwnie bez cébuli żyć prawie nie mogą.

W dni parę późniéj po całodziennym dészczu, Pali dostrzegł jak stary Gabór idzie śród nocy z latarką w ręku w stronę lasu i ku wodospadom. Pali poszedł za starcem, który, przybywszy nad wodospad, przywiązał sznur przyniesiony do drzewa rosnącego nad brzegiem a drugim końcem obwiązał siebie, poczém zapalił swiécę woskową w latarni i stanął nad przepaścią.

Wodospad tworzył tu trzy kondygnacye. U samego dołu było małe jeziorko, otoczone ze wszech stron niebotycznemi skałami, pomiędzy któremi wąską szczeliną woda wydostawała się na równinę, tworząc ów złotodajny strumyk. Stary cygan stojący nad przepaścią ukląkł i zaczął się modlić, a gdy skończył modlitwę powstał i ująwszy w zęby latarnię, a rękami objąwszy sznur do którego był przywiązany, spuścił się nagle w przepaść. Pali krzyknął, lecz głos jego przygłuszył huk wodospadu. Niebawem pod drugim spadem, jakby za przejrzystą szklaną zasłoną, ujrzał Pali blask latarni starego cygana.

— A więc tam jest złoto, którego strzeże djabeł? zawołał Pali; dobrze, teraz i ja tam pójdę!!

Spadająca woda, w wyżłobieniu jakie w skale uczyniła, gromadziła po każdym dészczu znaczną ilość złota; otóż Gabór wiedział o téj skarbnicy, i tu z narażeniem życia przychodził zbiérać te skarby, które, jak twierdzili, djabeł mu darował. W chwili w któréj Gabór stanął pod wodospadem, usłyszał wykrzyknik Palego, wychylił więc głowę przez szczelinę w skale, i ujrzał młodego cygana stojącego nad przepaścią.

— A więc tędy droga! zawołał Pali.

— Pali! stój! krzyknął stary, lecz w chwili téj zaślepiony Pali krzyknąwszy „już idę, djable!“ rzucił się naprzód. Wodospad porwał wskakującego, i poniósł z sobą w przepaść.

Gabór, drżący i przerażony, szybko wydobył się na wiérzch przepaści, i począł nadsłuchiwać, lecz głuche milczenie zalegało w koło. Powlókł się więc do domu, i odtąd nigdy już więcéj do wodospadu nie chodził. Nazajutrz martwe ciało Palego znaleziono wyrzucone na skalistym brzegu.

Jakem wspomniał na początku tego opowiadania, cyganie osiedli są pracowici i trudniąc się różnemi rzemiosłami, nie zaniedbują także uprawiać i muzyki. W każdej téż niemal osadzie, wsi lub miasteczku w całych Węgrzech znajdują się mniéj lub więcéj dobre orkiestry cygańskie, składające się z piérwszych i drugich skrzypiec, klarnetu, cymbałów i basetli. Muzyka cygańska, o melodyi pełnéj ognia i rzewnéj tęsknoty zarazem, ujętej w rytm zupełnie odrębny od rytmu ludów europejskich, stała się muzyką narodową węgierską, która wciska się w głąb duszy swą dziwną smętnością a zarazem i dziką, szaloną, że tak powiem harmonią tonów;¡ w owych *Luiza-Csardasach*, *Fecske-röpules*, *Magyar-angyalek*, owych marszach *Rakoczego*, *Hunyada*, lub przepysznym hymnie „*Szozat*,“ ileż melodyi, ileż rzewnéj a tak roznamiętniającéj harmonii?! Melodye te wschodnie, płynące gdzieś z głębi Azyi, z nad Gangesu, które, ujęte w pewne formy, na nas Europejczykach dziwne, niepojęte sprawiają wrażenie, w Madjarach wywołują zachwyt nieokréślony i wprawiają ich w pewien rodzaj szału. Widziałem nieraz, jak ten lub ów Węgier, chcąc czarę rozkosznej harmonii wychylić do dna, kazał cyganowi grać sobie tuż przy samym uchu namiętne csardasze, i jestem przekonany, że gdyby tylko był mógł, to byłby grającego cygana połknął, aby we wnętrznościach jego grał i grał bez końca!

Weźmy naprzykład powszechnie znane pieśni ludowe Węgier jak „*Fényon ó kis*“ (zwinna rybka), „*Szülöföld puszta*“ (stepie rodzinny), „*O magyarföld*“ (ah, ziemio węgierska) lub „*Megolvadon ó az ének*“ (ah! płyń po stepie), z któremi europejski świat muzykalny zapoznali Brahms i Behr Ferencz, a przekonamy się co za bogactwo jest w nich melodyi, lecz melodyi niezwykłéj i niekonwencyonalnéj, że tak powiém powszechnéj, lecz z wybitnym, zupełnie odręb-

nym charakterem, pełnéj namiętnéj smętności i rzewności. Melodye te mają rytm odrębny od rytmu ogólno-europejskiego, przyczém akcentuacya przypada zawsze na drugą nutę. Melodye węgierskie pod względem charakteru harmonii porównałbym z melodyami ukraińskiemi i małoruskiemi. Otóż w wykonywaniu tych melodyj cyganie są mistrzami. Nut muzycznych nie znają oni wcale, grają więc wszystko jedynie ze słuchu. Skrzypek trzymający prym gra melodyą, inni wtórują mu, a pomimo że wtór ten nie jest ujęty w karby reguł kontrapuktowych, jest on nieraz nietylko wielce harmonijny, lecz i umiejętny. Klarnet, najczęściéj odzywający się tylko od czasu do czasu, i tworzący tło do melodyi wykonywanéj przez solistę, podejmuje nieraz melodyą i jak echo wrzaskliwe tercyami ją powtarza, gdy tymczasem skrzypce i bas, jakby siejąc drobne perełki, wtórują. Cymbały, ów konieczny i nieodzowny instrument w orkiestrze cygańskiéj, niegdyś i u nas w Polsce rozpowszechnione i nieraz po mistrzowsku przez żydów traktowane, tworzą pewien rodzaj łącznika między instrumentami smyczkowemi a piskliwym klarnetem; wibrujące tony cymbałów, zlewając się w jedność z klarnetem i buczącym basem, uzupełniają i zaokrąglają dziką harmonię.

Cyganie, jako lud koczujący przywykli do ciągłéj włóczęgi, z wielką trudnością przywiązują się do miejsca i stałéj siedziby; pomimo to, ci którzy raz już się osiedlili, niechętnie opuszczają obraną sobie siedzibę. Tacy osiedli cyganie, jak to rzekłem, trudnią się

różnemi rzemiosłami, a handel końmi jest dla nich najponętniejszy. Cyganów koczujących w Węgrzech prawie niéma. Każda osada cygańska ma swego oddzielnego wójta (biró), który z żelazną sprężystością swój urząd sprawuje, a czuwając nad porządkiem pilnuje, aby podwładni mu członkowie osady nie dopuszczali się przekroczeń, któreby ściągnąć mogły na osadę prześladowanie. W ogóle biorąc cyganie na Węgrzech są tém, czém u nas żydzi rozproszeni i osiedli po wsiach i miasteczkach, tylko z tą różnicą, że, jak miejscowi twierdzą, jeden cygan zastąpi trzech „*polskich żydów*“.

Po dwudniowym pobycie w Szegedynie, równo ze świtem ruszyliśmy do Hód-Mezö-Vázárhely, skąd nie zatrzymując się wcale podążyliśmy daléj do Szentes a przeprawiwszy się przez Cisę pod Csongradem, tuż u samego ujścia Körös'u, po przebyciu jednym ciągiem dziewięciomilowéj przestrzeni ciągle prawie stepami, zatrzymaliśmy się na nocleg w Csongradzie, miasteczku liczącém około 14000 mieszkańców, położoném w okolicy błotnistéj, na prawym brzecu Cisy i naprzeciw ujścia dopływu jéj Körösu. Zwiédziwszy tu dnia następnego piękny kościół, w którym zauważyłem parę pięknych lecz nowożytnych obrazów, ruszyliśmy do półczwarta mili odległego miasteczka kumańskiego: Félegyháza, położonego w peszteńskosólt-skim komitacie. Miasteczko pomienione jest stolicą obwodu *Małéj Kumanii* (Kis-Kunság). R. 1086 Jazygowie i Kumanie, wracając ze swoich wypraw obładowani łupami, chcieli podążyć na wschód do swoich piérwo-

tnych siedzib, lecz król Władysław I zatrzymał ich i zmusił do pozostania tutaj jakotéż do przyjęcia wiary chrześciańskiéj. Otóż potomkowie tych Jazygów i Kumanów tworzą cztéry oddzielne obwody: Jaszag, Nagy Kunsag, Kis Kunsag i Hajdu Varosók. Felegyhaza ma 16000 mieszkańców, leży na obszernéj równinie, bogatéj w żyzne pola i winnice. Ztąd, nie zatrzymując się długo, pośpieszyliśmy bezmierną równiną do Kecskemet, jednego z największych miast handlowych w Węgrzech (38000 mieszkańców zamieszkujących w 6000 domach, po większéj części niskich i źle zbudowanych). Ruch handlowy tu wielki i przeważnie zbożowy, do podniesienia którego wielce przyczyniła się tędy przeprowadzona linia kolei żelaznéj do Bazias nad Dunajem. Opuściwszy Kecskémet, wydostaliśmy się na równinę 24 mil kwadratowych, ciągnącą się między Cisą a Dunajem. Step to olbrzymi, na którym nic więcéj nie widać jak tylko bezmierne przestrzenie falującego zboża, i pastwiska pokryte wysoką, bujną trawą. Drogi tu niéma i podróżny kieruje się jak żeglarz na morzu za słońcem. Gdzieniegdzie śród stepu widać tylko studnię z żurawiem lub téż osamotnioną csardę. Tak jadąc ku północy, po parogodzinnéj jeździe dotarliśmy do Vezseny, małéj wioski nad samą Cisą. Jak pod Szegedinem tak téż i w tém miejscu Cisa odznacza się pewną szczególnością a mianowicie tak zwanym „*kwiatem Cisy*“. Są to małe skrzydlate owady, należące do gatunku jednodniówek, które w pewnych porach roku, mianowicie w maju i sierpniu, pokrywają rzékę

w tak znacznéj ilości, że nieraz statki są przez nie w biegu wstrzymywane. Jako dobrą karmę dla bydła, mieszkańcy tutejsi zbiérają te owady szuflami po kilka tysięcy wozów w ciągu cztérech dni, gdy, jak mówią: *Cisa kwitnie*. Gdy bydło téj ogromnéj ilości karmy spożyć nie może a owad zaczyna się psuć, wtedy pozostającą resztę używają za nawóz, który jest nadzwyczaj tłusty. Przenocowawszy w Vezseny, dnia następnego wzdłuż Cisy podążyliśmy do Szolnoku, gdzie zamierzyliśmy dni parę zabawić. Miasteczko liczy do 12000 mieszkańców, leży śród bagnisk i trzęsawisk odznaczających się tém, że dostarczają ogromnéj liczby żółwi, które pod różnemi postaciami przez mieszkańców tutejszych są spożywane. Szolnok leży na ujściem rzéczki Zagyva do Cisy, u zbiegu których wznosi się mały zamek warowny, zajęty przez miejscową załogę. Kościół piękny, w stylu staroniemieckim, ładny ratusz w którym mieści sie sala teatralna, oraz parę większych domów i dwa czy trzy hotele, miłe na przybyszu sprawiają wrażenie. Na zwiédzaniu zamku, kościoła z jego pięknemi archiwami, oraz i innych osobliwości, jak giełdy zbożowéj i zakładów rybnych, zeszły dwa dni, po upływie których podążyliśmy do Debreczynu.

CZYTELNIA
bezpłatna
DLA UBOGICH
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

VI.

Nieprzejrzana równina 15 mil kwadratowych dziwném uczuciem napełnia wędrowca, którego oko nigdzie nie może znaléść punktu spoczynku. Na wiosnę wysoka trawa okrywa płaszczyznę, śród któréj niczém inném jak tylko krótszą trawą odznaczona wije się główna droga. Grunt jest miękki, dla tego koła kute głęboko się wrzynają i jadący co chwila zmieniając kierunek szuka twardszego gruntu. Tak ujeżdża się droga na pół mili széroka, poprzerzynana na wsze strony głębokiemi trawą zarastającemi kolejami. Nigdzie nie widać tu uprawy, na wiele mil niémasz ani wsi, ani miasteczka, a z wysokiéj trawy wygląda to dziki bawół długorożny, to parskając cała trzoda wypłoszona z legowiska zostawia za sobą széroki ślad śród podeptanéj trawy. Stada przepiórek i derkaczy nawoływaniami swemi ożywiają głuche milczenie jakie wędrowca otacza. Zdala widać żórawie lub czaple szybujące w powietrzu a zresztą wszędzie pustkowie, wszędzie step bezmierny.

Ze zbliżeniem się lata, nastają uciążliwe upały,

trawa więdnie, upada i zostaje zdeptaną przez zwierzęta zamieszkujące te stepy. Słońce pali coraz mocniéj, żar obraca w proch trawę, już na łodydze w siano zamienioną, i ledwie licha murawa pokrywa grunt; lecz i ta wnet się przepala. Wtedy ziemia zaczyna pękać i tworzą się szpary széroki na całą dłoń, późniéj na stopę, grunt coraz głębiej wysycha, z wydobywaniem się z ziemi ostatka wilgoci, szczeliny stają się coraz głębsze tak, że dochodzą do 20 stóp głębokości. Spalona i stratowana trawa zamieniona w pył pokrywa ziemię. Lekkiemi podmuchy wiatru wzniesione ostre źdźiebełka spalonéj trawy wirują kłębami całemi w powietrzu, zaciemniając widnokrąg. Bydło wpada w zemdlenie, nie znajdując ani paszy ani wody. Studnie, jeziora wysychają, wegetacya u ich brzegów znika, i dno jezior pokrywa się rozpadlinami tak jak i step cały. Liczne stada szlachetnych koni błąkają się do koła z wyciągniętemi szyjami, szukając rozwartemi nozdrzami wilgotnego powietrza i wody. Konie w naszym zaprzęgu ledwie dysząc ciągną lekki wózek śród tumanów kurzu. Nakoniec widzimy w dali na końcu widnokręgu błyszczący pas wodny! Czyżbyśmy zmylili drogę i zdążali ku Cisie? Jedziemy daléj, już zbliżamy się do owej rzéki by napoić spragnione rumaki, lecz godziny uchodzą, a do celu dojechać nie możemy. Wtém o uszy nasze obija się huk podobny do dalekiego grzmotu, i naprzeciw nas pędzi széroka chmura kurzu, Huk podobny do gromu i tuman kurzu zbliża się do nas a zpośród niego wyłaniają się stada dzikich koni, przebiegające

obok nas z parskiem i rżeniem: za niemi pędzi kilkunastu jeźdźców o śniadéj cerze, w czarnych baranich czapkach lub széroko-skrzydlnych kapeluszach na głowach, płóciennych koszulach z szérokiemi rękawami. Wtém zaświstał w powietrzu jedną ręką rzucony węzeł, i wnet upada z głuchym jękiem na ziemię pochwycony rumak. Lotem błyskawicy kilku towarzyszących jeźdźców rzuca się na szamoczącego się konia, opasują go wełnianą derką, wkładają w pysk ostre wędzidło, rozplątują krępujące go pętlice, i oto nagle zrywa się, lecz już z jeźdźcem na grzbiecie, który boki jego ostrogami bodzie. Koń tak ujęty na razie kręci się w kółko, skacze, wznosi się na zadnich nogach, aż nakoniec puszcza się naprzód w szalonym pędzie, dopókąd zmęczony i wysilony nie odda się zupełnie pod władzę nowego pana.

Wszystko to odbyło się w jednéj chwili, i zjawisko całe znikło jak widmo fantasmagoryczne; zdala tylko jeszcze słychać grzmiący tentent galopujących koni, lecz znikła także i upragniona rzéka, słońce schyliło się do zachodu, i ułudna mara rozwiała się w przestworzu. To Deli-Baba (fata-morgana) zadrwiła sobie z nas i ze spragnionych koni! Lecz oto i noc się zbliża, a z nią nastaje przejmujące zimno. Cisza nocna przynosi zdaleka jakieś szmery i odgłosy, jakby ktoś siekiérą w drzewo uderzał, gdy na stronie przeciwnéj podobneż odpowiada uderzenie. To umówione znaki rozbójniczych pasterzy, którzy mało kiedy poprzestają na samym rabunku spóźnionego wędrowca. Lecz my nie potrzebujemy się ich obawiać,

każdy z nas ma u pasa po dwa sześciostrzałowe rewolwery, a nadto mamy z sobą i dwie dubeltówki; możemy więc śmiało z rabusiami stepów bliższą zabrać znajomość. Zdala widać jakieś migotliwe światełko. Ha! to zapewne wieś jakaś, w któréj pod gościnną strzechą odpoczniemy po całodziennéj podróży, a konie nasze pokrzepią swe siły owsem i tak upragnionym napojem. Lecz, niestety, to nie wieś żadna, lecz osamotniona csarda, z okienek któréj światło płonącego ognia na kominie széroką smugą padało na step pogrążony w czarnéj nocy. Przelękniony gospodarz i płacząca gospodyni padając do nóg naszych; zaczęli nas zaklinać, abyśmy tu nie zostali na noc, bo w tém miejscu pastuchy się schodzą i pewnie dopuszczą się jakiego gwałtu w nadziei rabunku. Nie mając bynajmniéj ochoty spotkania się z tymi nocnymi ptaszkami, napoiwszy konie, ruszyliśmy daléj ku Debreczynowi.

Ujechawszy już paręset kroków od csardy zapytałem mego towarzysza, czy w istocie spotkanie się z pastuchami stepowymi jest niebezpieczne?

— Jest to rzecz względna, odparł zagadnięty, lecz zawsze lepiéj unikać ich a mianowicie nocną porą, niż starać się o spotkanie z niemi. Słyszałeś przed chwilą głuchy łoskot rozlegający się po stepie, jakby kto twardém narzędziem uderzał w pień drzewa; otóż wiedzieć ci trzeba, że ten łoskot pochodził od uderzeń obuchem toporka w stwardniałą skorupę ziemną stepu. Tym sposobem Szegén-Legény (opryszki powszechnie „biédnymi chłopcami“ zwani), zwołują się, a i t raz widać, słysząc turkot naszego wózka,

zwoływali się, aby na nas w csardzie napaść. Pomimo to jednak nie są oni zbójami, przeciwnie żyją przeważnie ze zdobyczy bezkrwawéj; są to po największéj części parobczaki ukrywający się przed rekrutacyą, dezerterzy lub też tacy, którzy za drobne przewinienia przed sprawiedliwością się ukrywają. Szegén-Legény śród ludu mają licznych przyjaciół i obrońców, we dnie kryją się na stepie śród nieprzebytych moczarów, przez które przechodzą sobie tylko wiadomemi ścieżkami, w nocy zaś gromadzą się w csardach odludnych, i tu, racząc się pieczonemi baranami, które ze stada temu lub owemu gospodarzrwi zabrali, winem i palenką (wódką), do posiadania któréj przyszli również bezpłatnie, tańczą i hulają do białego dnia. Otóż jeżeli kto do takiéj csardy w nocy zajedzie, to może być pewny, że będzie musiał „dobrowolnie“ oddać wszystko co tylko ma z sobą i przy sobie, a gdyby chciał stawić opór, to wtedy sam sobie winien, jeżeli który z goręt szych Szegén-Legeny'ów czekanem po głowie go poczęstuje i wyekspedyuje opornego na łono Abrahama. Czasami znowu „biédni chłopcy“ są nadzwyczaj uprzejmi, szczególnie dla kobiét. Już to wiedzieć ci trzeba, że Węgier na ogół odznacza się uprzejmością, grzecznością i pewnym rodzajem rycerskości dla kobiét. Otóż i „biédni chłopcy“, jako prawdziwi Madjarzy z krwi i kości, mimo swego nieokrzesania, swéj rabuśniczéj natury, dla kobiét okazują się zawsze bardzo względni a nawet rycersko-hojni. Przed paru laty w stronach tych słynął z niezmiernéj odwagi, śmiałości i opryszkowstwa nie-

jaki Tót Miska. Było to postrach całéj okolicy. Służył on r. 1849 w honwedach; pojmany w niewolę jako dezerter z cesarskich huzarów, skazany został na rozstrzelanie, lecz łatwo było wydawać wyroki, które gradem sypały się z pod ręki Hainaua, trudniéj jednak je wykonywać, bo nie wszyscy czekali aż ich powieszą lub rozstrzelają. Tak i tu było. Tót Miska nie czekał, lecz już po wyroku, pewnéj nocy, drapnął z więzienia, przedostał się w te strony, a dostawszy się już raz na step, przepadł jak kamień rzucony do wody. Zrazu siedział cicho, gdzieś w jakimś niedostępnym oczerecie, ale powoli zaczął się pokazywać tu i owdzie; tam z dobranymi towarzyszami wpadł do wioski gdzie kwaterowała cesarska konnica i uwiódł z sobą parę wołów; ówdzie znowu napadł na konwój prowadzący kassę rządową, pocztę pieniężną, konwój rozpędził a pieniądze zabrał; dosyć że zaczęto go na wszystkie strony śledzić i szukać, lacz zawsze wywijał się z zastawionych nań sieci. Pandurzy (rodzaj żandarmów), którzy go ścigali, również jak i on wrodzy austryakom, sami dopomagali mu do tego. Czasami przychodziło do krwawego starcia, lecz Tót zawsze wychodził zeń zwycięzko. W Györmat, wiosce położonéj o 6 mil od Debreczynu, przemieszkiwała podonczas dziedziczka téj włości, Irma Kubiny de Kubinyfalvá az Györmatvaros. Była to siérota niemająca ani ojca ani matki, dla tego téż przy niéj mieszkała daleka jéj krewna, kobiéta nie młoda, wdowa po föispanie jednego z komitatów północnych Wę-

gier. Hrabianka, przebywając dosyć często to w Wiedniu to w Paryżu, poznała tam młodego markiza Juliusza de Juillac, który szalenie się w niéj zakochał i niebawem stał się jéj narzeczonym. Byłoto w karnawale r. 1855, gdy w Debreczynie tamtejsze towarzystwo arystokratyczne wydawało bal, dochód z którego przeznaczono na odbudowanie kościoła, który w czasie kampanii i oblężenia 1849 bardzo wiele ucierpiał. Na ten téż bal zaproszoną została i hrabianka Irma jako jedna z gospodyń. Naturalnie że niezapomniano zaprosić i markiza de Juillac, który podówczas bawił w Győrmat. W dniu oznaczonym hrabianka w towarzystwie swéj krewnéj pani főispanowéj i narzeczonego po południu ruszyła obszerną cztéro osobową karetą w drogę, celem przybycia na czas przed 9-tą wieczorem do Debreczynu. Lecz inaczéj się stało, bo jak mówi nasze przysłowie: „*Elöre meginni a medvebör árát*“ (zrobiono rachunek bez gospodarza, przysłowie odpowiednie polskiemu, „człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi“); śród drogi na stepie, gdy już zmiérzch zapadać począł, powstała straszliwa zawierucha, śnieg padał obficie, drogi ani śladu! Woźnica zaczął błądzić, godzina 9-ta dawno już minęła, a Debreczynu jak nie widać. tak nie widać; teraz więc chodziło już nie o to, aby zdążyć na bal, lecz aby znaléźć jakiekolwiek schronienie, bo tak podróżni jako téż i konie byli zmęczeni. Nagle śród czarnéj nocy, na stepie po nad którym szalała śnieżna wichura, zabłysło światełko. Woźnica odetchnął swobodniéj, zaciął ze znużenia stające już konie i niebawem karéta zatrzymała się przed stepową csardą, z wnętrza któréj dolatywały śpiéwy i tony dziarskiego csardasa. Krewna hrabianki, która skwapliwie zbiérała wszystkie wiadomości dotyczącé Tóta, usłyszawszy śpiéwy i muzykę w csardzie i przypuszczając że tam nie kto inny, tylko ten „biédny chłopak“ znajdować się musi, zaczęła błagać i zaklinać swą pupilkę, aby tu się nie zatrzymywali; lecz hrabianka na to nie zważała i mimo zaklęć wszelkich narzeczonego i swéj towarzyszki wysiadła z karety i śmiało weszła do wnętrza csardy. W małéj dymem fajczanym, i wyziewami wódki i wina napełnionéj izbie, za stołem w głębi siedziało ośmiu czy dziesięciu dorodnych parobczaków. Jeden z nich, nadzwyczaj przystojny, o czarnym pokrętnym węsie i namiętnym wzroku, siedział bliżéj komina, na którym właśnie gospodyni csardy dopiekała potężny udziec sarni. Tak z ubrania, jakotéż i całéj postawy, można było wnosić, że jest to naczelnik téj bandy. W drugim końcu stołu zastawionego szklankami i csutrami napełnionemi winem, siedziało trzech cyganów od ucha choć fałszywie grających csardasa.

Z wejściem hrabianki do izby, za którą wsunął się przerażony markiz, trzymając w ręku rewolwer, obecni zerwali się na równe nogi, siedzący przy kominie również powstał z siedzenia i przenikliwym swym wzrokiem spojrzał na przybyłych.

— Jestem hrabianka Kubiny de Kubinyfalvà, ozwała się hrabianka, jadę z tym oto panem, moim narzeczonym markizem de Juillac i moją ciotką na

bal do Debreczynu, gdzie mnie na gospodynię zaproszono; zbłądziliśmy jednak śród drogi, proszę więc o gościnność tak dla nas jak dla moich ludzi i koni.

— Pani! odrzekł ów dorodny młodzieniec, bądź pewna, że za zaszczyt sobie policzę, jeżeli zechcesz z nami pod tym dachem chwil kilka spocząć i pokrzej, pić się tém, co sami mamy. A zwracając się do towarzyszy zawołał. Hej! chłopcy, żywo, cóż się gapicie! koniom owsa i siana, ludziom chleba, słoniny, mięsa i wina, a tym oto gościom naszym miejsca!

— Dziękuję panu! rzekła hrabianka, siadając obok stołu.

Opryszki z pośpiechem spełnili rozkaz swego wodza, i wnet nakarmiwszy i napoiwszy konie i służbę, powrócili do izby, zatrzymując się u wejścia. Markiz tymczasem zajęty był trzéźwieniem pani föispanowéj, która na widok opryszków zemdlała.

— Dla czegóż panowie, ozwała się hrabianka widząc u drzwi stojących opryszków, nie siadają do stołu; jak widzę pieczeń gotowa, nie pozwólmyż aby wystygła; ja się zajmę pokrajaniem, będę gospodynią, wszak pan pozwolisz? dodała, zwracając się do herszta stojącego tuż za jéj krzesłem.

— Łaska to wielka! odparł zagadnięty, lecz na to pozwolić nie mogę, tyś gościem naszym. A zwracając się do jednego z towarzyszy zawołał; Hej, słyszysz Szandor! prędzéj podaj do stołu!

Nim jednak pieczeń podano, herszt, spoglądając na markiza, zbliżył się doń i zręcznym ruchem ręki odbierając trzymany przez niego rewolwer, rzekł:

— Niepotrzebna ta pukawka, mój panie! Na nicby ci się niezdała, nie zastraszysz nas nią; radzę ci więc, mój panie, siedź spokojnie, jédz, pij, i nie mięszaj się do tego co my robić będziemy, bo mógłbyś źle wyjść na tém.

— Pan markiz de Juillac, rzekła hrabianka, po węgiersku nie rozumié, jest cudzoziemcem, francuzem.

— A! to inna rzecz, odparł herszt; chciéj mu pani powiedzieć, że nie ma się czego obawiać, jest gościem naszym, włos z głowy mu nie spadnie.

Podano wieczerzę, do któréj wszyscy zasiedli. Herszt robił honory domu z nadzwyczajną galanteryą, a usługując hrabiance szeptał jéj różne komplimenta i dowcipkował z przerażonego francuza, który, posadzony przemocą między opryszkami, dygotał ze strachu. Skończywszy wieczerzę, zakropiwszy licznemi szklannicami wina, przywódzca a zarazem i gospodarz krzyknął na cyganów, aby zagrali csardasza zwracając się do hrabianki dodał:

— Pani! zawierucha, która cię pozbawiła przyjemności znajdowania się na balu w Debreczynie, dla mnie okazała się łaskawszą; bo daje mi możność prosić cię, abyś chciała ze mną zatańczyć csardasza, a spodziewam się, że nie pożałujesz tego, bo Tót Miska lepiéj może umié tańczyć, niż niejeden z tych wymokłych paniczów!

— Owszem! z miłą chęcią, odparła hrabianka powstając, nic przeciw tak uprzejmemu zaproszeniu nie mam; przeciwnie, cieszę się, że mam sposobność poznać dzielnego Tót Miskę!

— Irmo, co robisz? zawołał po francusku markiz, ja temu łotrowi łeb roztrzaskam.

— Siedź pan spokojnie, bo może być źle z nami, odparła hrabianka również po francusku, podając Tót Misce rękę do tańca.

Tót podkręcił wąsa i z wyszukaną gracyą ujął hrabiankę w pół. Zaczęli tańczyć. Wnet za niemi, jeden z opryszków gwałtem prawie pociągnął do tańca omdlewającą towarzyszkę hrabianki, gdy tymczasem dwóch drabów przysiadło się do markiza, zmuszając go do picia z niemi. Biédny francuz rad nierad pić musiał ostre wino, zagryzając słoninę z papryką, która paliła mu wnętrzności.

Taniec raz zaczęty nie ustawał. Tót tańczył zgrabnie i z wielkiém życiem. Hrabianka, mając tak doskonałego tancerza, tańczyła z całym zapałem. Tak przetańczono noc całą i już świtać poczynało, gdy zawierucha ustała, a hrabianka całonocnym tańcem znużona padła na ławę.

— Komu w drogę temu czas! rzekł Tót całując w rękę swą tancerkę, nie zatrzymuję więc dłużéj państwa, tem bardziéj, że na dworze świta, zawierucha już ustała i pani może teraz bezpiecznie daléj jechać. Konie wypoczęły, ludzie jéj wywczasowali się. Podróż pójdzie więc daléj bez przeszkody; tembardziéj że do Debreczyna stąd tylko mała milka. Przed odjazdem jednak pozwolisz pani, że u nóg twoich złożę mały podarek, który przyjąć raczysz jako pamiątkę balu w csardzie „biednych chłopców"!

Mówiąc to Tót wydobył z za pasa prześliczny sznur pereł i złożył go na kolanach hrabianki.

— Nie bój się, pani! mówił daléj Tót, perły nie pochodzą z żadnego rabunku; kupiłem je sam dla mojéj kochanki, będąc w Munkacsu. Śmiało możesz je przyjąć i nosić, bo nie są zhańbione podłym czynem!

— Przyjmuję, odparła hrabianka, zakładając perły na szyję; lecz w zamian, proszę, przyjmij odemnie również na pamiątkę tak mile spędzonéj nocy, ten oto zégarek.

Tót, odbiérając z rąk hrabianki podawany mu zégarek złoty wysadzany brylancikami, ukląkł na jedno kolano i z rycerską galanteryą pocałował ją w rękę.

W chwil kilka późniéj podróżni nasi siedzieli już w karecie i właśnie z miejsca mieli ruszać, gdy Tót zbliżył się raz jeszcze do karety i zwracając się do markiza rzekł:

— Przepraszam! zapomniałem o panu; jak wrócisz do swego kraju, to powiédz swoim rodakom, że i węgierscy Szegén-Légény umieją być gościnni i szanują kobiéty, a na drugi raz nie próbuj towarzyszy moich zastraszać rewolwerem, bo mógłbyś źle wyjść na tém. Rewolwer twój zatrzymam, bo jak widzę niezły i przydać się mi może. Isten al dja önt, Szerencse's utat! (Niech Bóg błogosławi was, szczęśliwéj podróży).

Po téj przemowie, karéta ruszyła i w niespełna dwie godziny zatrzymała się przed hotelem w Debre-

czynie. Tacy to, jak widzisz, są nasi „biédni chłopcy“; trzeba tylko umiéć z niemi postępować.

Skończywszy to opowiadanie towarzysz mój zamilkł, a ja rozmyślać począłem nad tragiczno-komicznym wypadkiem hrabianki.

Gwiaździste dotąd niebo zaczęło się pokrywać gęstemi czarnemi chmurami, z pośród których od czasu do czasu na wschodzie wypadać zaczęły jaskrawe błyskawice. Daleki przeciągły huk grzmotów śród głóchéj ciszy dolatywał nas coraz wyraźniéj. Niczém nie zamącona dotąd cisza ustępować zaczęła dalekiemu szumowi zbliżającéj się burzy. Zrazu lekkie podmuchy wiatru, nasycone orzeźwiającą wilgocią, stając się coraz silniejsze, zamieniły się w końcu w straszliwy huragan, niosący tumany zeschłéj trawy, liści, pyłu i piasku, pomięszane z dészczem kroplistym, który niebawem przy akompaniamencie ogłuszającego huku bezustannych piorunów i oślepiających błyskawic zamienił się w ulewę. Lecz jak prędko ta burza nadciągnęła, tak téż i prędko przeleciała ponad głowami naszemi. Niebo rozjaśniło się, gwiazdy żywo na ciemném tle błękitu zabłysły, a księżyc, dotąd ukryty za chmurami, wypłynąwszy tryumfalnie na niebios przestworze, magiczném swojém światłém oblewając całą okolicę, pozwolił nam ujrzéć przed sobą upragniony cel naszéj podróży.

Klimat węgierski na całym obszarze tego kraju jest nadzwyczaj rozmaity. Okolice Karpat jako wysoko położone są zimne, a średnia temperatura Budy wynosi 9° Réaum., co już klimat łagodny oznacza;

pomimo tego zima jest tam dosyć ostra, bo rozległe równiny i wzgórza, na których leży Buda, z położenia swego mają swobodny i mocny przypływ powietrza, co łatwiéj przyczynia się w porze zimowéj do zwiększenia zimna niż w miejscach bardziéj ku północy położonych. Zmienność pogody i temperatury a mianowicie téj ostatniéj jest tu bardzo wielka. W Węgrzech środkowych a mianowicie około Kecskemetu, Debreczynu i Szegedynu, śród najgorętszego lata, ranki i wieczory są tak zimne, że nieprzyzwyczajony do tych zmian atmosferycznych musi trzy razy dziennie zmieniać ubranie. W dzień upał staje się tak nieznośnym, że każdy radby obyć się bez ubrania; lecz zato rano i wieczór śmiało można się odziać w futro, które wcale zbytecznem się nie okaże. Niższe okolice Dunaju i Cisy są nieznośnie gorące; lato po większéj części suche tak, że wszelka roślinność jakby ogniem zniszczona, w zimie zaś panuje nieznośna wilgoć i przejmujące zimno. W lecie okolice nawiedzają często cyklonowe niejako burze, połączone z oberwaniem się chmur, straszliwemi gromami. Lecz burze te szybko nadciągają i szybko przechodzą.

O bogactwie roślinném Węgier nie mam co mówić, jest ono aż nadto dobrze znane. Wszelkie gatunki zboża, jarzyn i owoców udają się tu wyśmienicie a kawony dochodzą nieraz do 40-funtowéj wagi.

Na stepach południowych i środkowych Węgier chowają się i mnożą stada buhajów i krów siwych z ogromnemi rogami; w okolicach bagnistych zaś znajdują się czarne bawoły z szérokiemi płaskiemi roga-

mi, stada dzikich koni wybornéj rasy. Magnaci węgierscy mają tu wielkie stadniny koni, rasy zbliżonéj do arabskiéj, odznaczające się wysmukłym kształtem lekkością, zwinnością i olbrzymią wytrwałością. Chowają tu nadto owce, lecz te mają grubą wełnę i nie należą do ras szlachetnych. Chów trzody chlewnéj wielce jest rozgałęziony, do czego dopomagają w wielu okolicach bukowe lasy. Oprócz zwierząt domowych i użytecznych, Węgry obfitują także i w zwierzęta drapieżne, jak wilki, których są dwa gatunki: zwyczajny i tak zwany trzcinowy, o wiele mniejszy od poprzedniego, lecz bardziéj niebezpieczny, bo chytrzejszy i zwinniejszy. Rysie, lisy, dzikie koty, dziki i niedźwiedzie znajdują się w całych Węgrzech i to wznacznéj ilości. W Karpatach żyją dzikie kozy, a nad Dunajem i Sawą przebywają bobry, lecz nie gromadnie tylko pojedyńczo. Z ptactwa dzikiego w górach gnieżdżą się dwa gatunki orłów: królewskie i orliki, oraz sępy. Oprócz mnogiéj ilości różnorodnego drobnego ptactwa, Węgry są siedzibą dropiów i pelikanów, czapel, żórawi i bocianów. W płazy i ryby kraj ten niemniéj jest bogaty, a Cisa jest najrybniejszą rzéką w Europie. Nadmienić tu jeszcze wypada, że i w minerały i drogie kamienie Węgry nie są ubogie, z czego wypływa, że pod względem bogactwa naturalnego, mało który z krajów Europy z Węgrami iść może w porównanie.

Gdy konieczność nie zmusza do pracy, Węgrzy są leniwi i ociężali; to téż, z tych względów, osiedli oni w miejscach, gdzie im sama natura wszystkiego

dostarcza. Lubiąc mieć bydło, które samo bez obcéj pomocy się rozmnaża, wychowuje i wypasa, lubiąc kukurydzę, któréj jedno ziarno daje tysiączny owoc, osiedli tam gdzie się to wszystko udaje. Z tém wrodzoném lenistwém, a raczéj, że tak powiem, ociężałością właściwą wszystkim niemal wschodnim narodom, łączy się jeszcze i uporczywe przywiązanie do przestarzałych zwyczajów; żaden Węgier nie da się nakłonić do innéj uprawy gruntu od téj, jaką widział u ojca i dziada, żaden nie uważa cudzoziemca za człowieka wolnego, bo on tylko mieni się być wolnym, a najpodlejszy nawet rozbójnik uwolniony z pod szubienicy mając się za cóś lepszego od niewęgra, z wielkim wstrętem ledwie mu tytuł „człowieka“ przyznaje. „*Tót ember nem ember*“ (*), mawia każdy Węgier, wywyższając się nad inne narody.

Rzecz osobliwsza, że pomimo uporczywego trzymania się starych przesądów, i pomimo niewysłowionéj miłości do tego co jest ojczyste, język obcy w całych Węgrzech najzupełniéj się zakorzenił. Łacina stała się tu językiem niemal powszechnym, zagrażając zupełném wyrugowaniem języka madjarskiego. Nie tylko szlachta, lecz i włościanie, ba nawet kobiety mówią tu po łacinie. Nie jest to naturalnie łacina poprawna, klasyczna, tylko najhaniebniejsza na całéj kuli ziemskiéj, pod względem prozodyi i wymowy. Duchowieństwo nawet nie mówi lepiéj „*Dominusz Vo-*

(*) Sławianin, nie człowiek

biszkum“ lub „*Szalve Dominusz*“ oto zwykły sposób wymowy łacińskiéj Węgrów.

Język węgierski niezaprzeczenie jest trudnym do nauczenia się, nie ma bowiem żadnego podobieństwa z jakimkolwiek innym językiem europejskim; pomimoto jest piękny, dzwięczny i pełen męskiéj siły, jako też posiada szczególną zwięzłość obok giętkosci, i niezmierną godność. Węgrzy, na całym obszarze kraju zmięszani z niemcami, utrzymali się najczyściéj w csongradzkim komitacie; tu też język ich jest najbardziej wolny od wszelkich przymieszek.

Mężczyźni są ogólnie bardzo dorodni, wysmukli, silni i mocno odznaczających się rysów twarzy, nadających nawet młodym ludziom postać poważną. Cera węgrów opalona, brunatnawa od promieni słońca, u młodzieńców i dzieci lśniącéj białości. Węgrzy jako jeźdźcy są bardzo zręczni, równie dzielni w kierowaniu czwórką jako i jednym koniem.

Najulubieńszém zatrudnieniem Węgrów, tak jak i turków, jest próżnowanie; ażeby zaś wtedy się nie nudzić, słuchają opowiadanych im bajek i powiastek. W każdym też możniejszym domu są tak zwane opowiadaczki. Sława wielu z nich nieraz daleko się rozchodzi, a powiastki przez nie głoszone są pełne bogatéj fantazyi, kwiecistości, uroku poetyckiego i żywych obrazów. Te kobiéty stanowią dźwignię i skarbiec węgierskiéj literatury ludowéj; ubolewać tylko nadtém należy, że dotąd nikt się nie znalazł, coby te podania, powieści i pieśni ludowe Węgier zebrał i drukiem ogłosił. Jeżeli tak próżniactwo, jako też słuchanie

bajek węgrowi się sprzykrzą, wtedy zrywa się do tańca, w którym cały zasób zręczności, siły, energii i namiętności rozwija.

Niezmiernie szacownem znamieniem charakteru węgrów jest gościnność. Węgier, pamiętający zawsze o swéj godności, z powagą wielką przyjmuje w dom swój przybysza, lecz z chwilą w któréj tenże przekroczył próg domu jego, staje się członkiem familii gospodarza, i wszyscy ubiegają się w okazaniu mu serdecznéj gościnności. Czego kuchnia i piwnica dostarczyć może, wszystko w ofierze składają przed gościem, a im chętniéj zagląda do dzbana, tem milszym jest dla gospodarstwa. Kiedy już gościnę opuszcza, wtedy odprawiają go obładowanego żywnością a często się zdarza, że i przedmiotami które mu się podobały.

Zdarza się często, że nieobznajomieni z tym ogólnie węgiersko narodowym zwyczajem mimowolnie chwalą jakiś widziany przedmiot, np. konia, starożytną broń jakąś, siodło lub tym podobne; otóż węgier niezwłocznie chwalony przedmiot, chwalącemu ofiaruje, a ktoby go nie przyjął, obraża ofiarodawcę i naraża się na bardzo przykre nieraz następstwa.

W poprzednim rozdziale mówiłem już o cyganach, tu jednak przed poznaniem drugiéj niemal ich stolicy, Debreczynu, ponownie słów parę o tym ludzie powiedzieć muszę.

Otóż cyganie węgierszy, jako pochodzący z Indyj, kształtami swemi i budową ciała ogromnie się

różnią od Madjarów. Postać ich jest delikatna, kibić kształtna a rysy twarzy regularne; dziewczęta zaś podobne do aniołów, jeżeli aniołowie bywają brunatni; duże czarne oko, pełne namiętnego ognia i słodkiéj rozkoszy, błyszczy z pod długich czarnych rzęsów. Zęby bielutkie jak śniég ukazują się z pod foremnych karminowych usteczek, a czarne jak krucze pióra, grube pukle włosów, okalając twarz, spadają na długą szyję, pełne, delikatnie zaokrąglone ramiona i piersi prześlicznie ukształtowane. Lecz te piękne kształty tracą swój urok, gdy oczu naszym przedstawi się ich nadzwyczajne nieochędóstwo, i wcale nie stetyczne stare łachmany, jakiemi swe ciało okrywają. Po całodziennéj pracy, lub też i próżniactwie, wieczorem, te odrażające cyganki, bogato przystrojone i wyświéżone, śpieszą do csardy lub szynkowni, aby przy dźwiękach roznamiętniającego csardasza pohulać z młodzieżą. Młoda i piękna cyganka rozpoczyna więc taniec z najzgrabniejszym chłopcem, i tańczy nieutrudzona prawie noc całą. Znika wprawdzie dosyć często ze sali tanecznéj, lecz każdy wié jak to tłumaczyć należy, i nikt ani jéj ani też szczęśliwego kochanka nie nagabuje o to. Dziwna rzecz, że jak po za obrębem swego legowiska, mężczyźni i kobiéty usiłując osiągnąć korzyść za jakąbądź cenę, lekceważą moralność, tak w obrębie swego zebrania, swéj gminy żadne nie dopuszcza się niewierności. Cygan żeni się mając lat 15, z cyganeczką 11 do 12-letnią, i ani jemu nie przychodzi na myśl spojrzéć pożądliwie na inną, ani też jéj rzucić się w objęcia drugiego cygana; gdy

tymczasem po za kołem rodzinném każda rozrywka jest dozwoloną a nawet podobny sposób zarobkowania jest prawem obyczajowém nakazany.

Cyganie osiedleni zowią się tuta *Ujparasztak* (nowochłopi), i takich, jak to już rzekłem, Węgry posiadają znaczną liczbę.

Późno już w noc przybyliśmy do Debreczynu, miasta największego w Węgrzech po Peszcie, a położonego w komitacie biharskim. Położone jest ono na wielkiéj, okiem niezmierzonéj piaszczystéj i suchéj płaszczyźnie, która ku południowéj stronie zaczyna być żyzną. Z powierzchowności zakrawa Debreczyn na miasto tureckie, a to ze względu na nieregularną budowę domów, jak i nieznośne błoto. Bruki znajdują się tylko na głównych ulicach, a trotuary są z drzewa. Miasto otoczone ziemnym wałem i liczy 2600 domów, przeważnie parterowych; piętrowe są tu niezwykłą rzadkością. Za moich czasów Debreczyn miał 40000 mieszkańców, mówiących najczystszym językiem madjarskim, i należących po większéj części do kościoła reformowanego, którego superintendent tutaj rezyduje.

Ratusz, pięć kościołów, gmach szkolny, daléj kolegium reformowane, w którém mieści się biblioteka z 40000 dzieł: oto wszystko co tu zwraca uwagę przybysza. W czasie wojen tureckich, a następnie i religijnych, Debreczyn ucierpiał wiele; r. 1849, po zwycięzkiéj bitwie dla Węgrów, gdy armia austryacka zajęła Peszt, odbywały się tutaj obrady sejmu węgier-

skiego. Przemysł jest bardzo rozwinięty, a mianowicie Debreczyńczycy dostarczają handlowi przeszło 8000 cetnarów mydła rocznie, wyrabianego z sody, którą zbierają z pobliskich jezior solnych. Tu też jest siedziba szewców, wyrabiających węgierskie ciżmy, a mnóstwo garncarzy trudni się wyłącznie wyrobami tak zwanych tureckich stambułek z czerwonéj i czarnéj gliny, których rok rocznie rozchodzi się do 12,000,000! W czasie cztérech dorocznych jarmarków handel tutejszy nadzwyczaj się ożywia, przybywają Wołosi, Turcy, Albańczycy, a konie, woły, wieprze, słonina, miód, wosk, tytuń są wtedy najgłówniejszemi przedmiotami handlu.

Debreczyn jest środkowym punktem węgierskiéj narodowości, obyczajów i ubiorów, lecz przytém i starodawnéj niedbałości o jakiekolwiek wygody. Niczego tu niéma, coby służyło do uprzyjemnienia życia; pobyt więc w Debreczynie pod tym względem jest arcynieznośny, i jeżeli przybysz niéma tu znajomych, w rodzinném kółku których mógłby czas mile spędzić, to już po dwóch dniach pobytu uciekać stąd będzie.

Rozległe bory debreczyńskie sławne są z tego, że śród ich cienia liczne znajdują się jeziora solne, zwane Féjer-To (białe-jeziora), a to dlatego, że zawsze są pokryte jakby warstwą śniegu. Na dnie tych jezior znajduje się wiele piasku kruszcowego z błyszczem. Z jezior tych wydobywająca się soda, bardzo często pokrywa brzegi na pół cala, a mnogość jéj zdaje się być nieprzebraną, bo w przeciągu ciepłych ośmiu letnich miesięcy zbierają ją co trzy lub cztéry

dni, a jednak od kilku wieków ciągle się odnawia. Brzegi jezior już wyschniętych, jako téż i tych, z których sodę zbiérają, porośnięte są roslinami nadmorskiemi. Sody zbierają tu rocznie przeszło 10000 cetnarów, które przerabiają bądź na mydło, bądź téż in crudo sprzedają. W Kalugyere koło miasteczka Waskoh znajduje się nadzwyczaj obfite źródło siarczane: *Dagado Foras*. Woda tego źródła jest nadzwyczaj czysta, bez smaku i, mimo niskiéj swéj temperatury, nigdy nie zamarza.

Z Debreczynu, na Derecske, Ujfalu, Artand i Kis-Püspöki, zdążyliśmy do Nagyvarad (Wielki Warad), położonego nad Sebeskörös (Rwący Körös) u skraju wielkiéj bagnistéj równiny. Nagyvarad jest stolicą komitatu biharskiego i siedzibą biskupa rz. kat. Miasto ma 17000 mieszkańców, niegdyś opasane murami, i otoczone ośmiu podziemiami, nadzwyczaj podupadło; dawniéj było o wiele większe. Dziś z 70 kościołów, których jeszcze szczątki się znajdują, jest tutaj tylko 19; między temi cerkiew grecko unicka, dwie cerkwie grecko-wschodnie, kościół ewangielicki i dwa domy modlitwy kalwinów. Katedra biskupia, r. 1080 założona przez Władysława Swiętego, parę razy burzona i palona podczas wojen tureckich, ostatecznie r. 1778 w dzisiejszéj swéj postaci to jest w stylu romańskim została odbudowaną. W katedrze téj znajduje się grób króla Władysława Świętego, oraz pomniki króla Zygmunta i jego małżonki Maryi (siostry Jadwigi kr. polskiéj). Nagyvarad słynny rów-

nież z tego, że tu zmarł Rakoczy r. 1660, że tu urodzili się węgierski mówca i arcybiskup Piotr Pazucany, i węgierski poeta Jan Garay.

Zwiédziwszy wszystkie tutejsze pamiątki, drugiego dnia pobytu w Waradzie ruszyliśmy przez Mezö-Telegh do Elesd, skąd dalszą podróż już pieszo odbyć zamierzyliśmy.

Rankiem, równo prawie ze wschodem słońca, opuściliśmy Waradyn, jadąc po nad brzegami krętéj rzéczki Rwący Körös. Droga ta ciągnęła się po pod urwistemi i stromemi odnogami Biharskich gór, nad któremi ku południowi Magura dumnie wznosiła swój szczyt śniegiem pokryty. Dolina, którą jechaliśmy, coraz bardziéj się zwężając, od północy i południa zasłoniona jest górami, których grzbiety pokryte są lasami. W pobliżu tych gór płynie Rwący Körös i ciągnie się droga prowadząca do Banfy-Hunyad i Kołozwaru w Siédmiogrodzie. Przy drodze, w malutkiéj dolinie tuż pod stokami lasem porośniętych gór, na lewym brzegu rzeczki osiadła się wioska Mezö-Telegh, przeważnie zamieszkała przez Wołochów wyznania grecko unickiego. Śród wioski téj, na skale, wznosi się mała cerkiewka, przypominająca swoim kształtem liczne cerkwie w Galicyi wschodniéj. Góry Biharskie oddzielające Węgry od Siédmiogrodu stanowią jedno z najwyższych wzniesień Karpat, do pasma południowego których należą. Góry te w całym swoim ciągu pełne są najrozmaitszych niezbadanych i niezgłębionych dotąd jaskiń, o istnieniu których zaledwo dzicy górale wiedzą. Jedna z takich jaskiń, niejednokrotnie już zwiédzana przez turystów, leży w pobliżu Mezö-Telegh; dostęp do téj jaskini jest dość łatwy i w zwiédzającym ją budzi zajęcie tylko swojemi rozmiarami. Nie zatrzymując się wcale w Mezö-Telegh, coraz to bardziéj zwężającą się doliną podążyliśmy do *Elesd*, skąd woźnicę naszego z końmi odesłaliśmy do Waradynu, aby ztamtąd na Bihar, Margitta i Tasnad podążył do *Király Darócz*, gdzie na nas miał oczekiwać; my zaś z podróżnemi torbami na plecach i z przewodnikiem, rozmownym wołochem, puściliśmy się na zwiédzenie jednego ze szczytów Biharskich gór. „*Varatyek*“ stromo i urwisto wznosił się w północnéj stronie po nad wioseczką Elesd, która u stóp jego pokornie się rozsiadła. Przez szczyt „Veratyeku“ ciągnie się granica komitatu kraszneńskiego, należącego już do księstwa Siédmiogrodu, tak jak komitat środkowego Szolnoku i okrąg kövarski.

Po przeszło trzygodzinnym pochodzie, zawieszeni nieraz nad straszliwą przepaścią, najeżoną poszarpanemi skałami, wydostaliśmy się na szczyt Varatyeku, zkąd na zachód otworzył się nam prześliczny widok na Waradyn i poza nim rozciągające się równiny, a na północ, wschód i południe imponująca panorama na poszarpane szczyty i łańcuchy gór Biharskich, Reskich i Kövarskich. Ku wschodowi coraz bardziéj wznoszące się wiérzchołki Karpat siédmiogrodzkich majestatycznie zasłaniały widnokrąg, śnieżno złocistemi liniami rysując się na błękitném pogodném niebie. Ze szczytu tego po godzinnym odpoczynku i nasyceniu się przewspaniałym widokiem, żlebem położonym

od strony północnéj spuściliśmy się na piérwszą turnię, gdzie wytryska źródełko sączące swe wody ku Berettyö, rzeczułce stanowiącéj przypływ Körösu. Tu pokrzepiwszy się nieco koziém mlekiem, bryndzą i kawałkiem kukurydzianego placka ruszyliśmy daléj ku wiosce Nagy Szata, gdzie przenocowaliśmy u proboszcza, który z wielką gościnnością nas przyjął i opowiadaniem miejscowych zwyczajów i obyczajów długo w noc nas zabawiał.

Następnego dnia po śniadaniu zastawionym przez proboszcza (którego nazwisko uleciało mi z pamięci), a składającym się z wyśmienitéj kawy, gorących podpłomyków z mąki kukurudzianéj, przewybornéj wieprzowéj polędwicy z marynowaną zieloną papryką, séru, bryndzy, winogron, migdałów i t. d., oraz doskonałego wina na „popłuczyny“, ruszyliśmy do *Szillagy Somlyo*, głównego miasta komitatu, położonego nad rzeczułką Berettyö. *Szillagy Somlyo* ma 2500 mieszkańców: węgrów, wołochów i serbów. Kościół katolicki i mała cerkiewka gr. kat. wyznania stanowią tu główną ozdobę i wspaniale wyglądają między parterowemi domami i domkami. O parę staj od miasta ku południowi tuż nad rzéczką wysoko na urwistéj skale rozsiadł się zamek *Somlyo*, należący do najdawniejszych i najznakomitszych w całym kraju. Od strony miasta, tuż nad przepaścią, wznosi się baszta z bramą wjazdową, do któréj po nad rzeką i przez urwiska prowadzi wązka i kręta drożyna; od baszty téj na prawo i lewo ciągną się mury z strzelnicami i cynkami, połączone z bocznemi skrzydłami zamku, któ-

ry amfiteatralnie pnie się na szczyt skały, na któréj jest zbudowany. Korpus główny tego zamczyska, wznoszący się w samym środku po nad inne niżéj położone gmachy zamkowe, z basztą wznoszącą się samotnie na skalistym ostrokręgu, będącym po za obrębem murów, połączony jest arkadowanym krużgankiem. Struktura tego zamczyska przypomina wielce zamek *Hunyadi-Varos*. Po za zamkiem w głębi buczyną a wyżéj smerekami porośnięte, wznoszą się dziko poszarpane Szolnockie góry, stanowiąc tło do arcy malowniczego zamczyska, którego okna oświetlone promieniami zachodzącego słońca, jakby krwawe ogniste rubiny migocąc, wzrok olśniewają. Z wieżyczki kaplicznéj, wychylającéj się z pośród gmachów zamkowych, na szczycie któréj w odblaskach słońca migoce złoty krzyż, odzywa się jasnymi i harmonijnymi tony dzwonek wieczorny, wzywając mieszkańców doliny do modlitwy. Głos dzwonka pełny, jasny i dźwięczny, unoszony lekkim powiewem, płynie swobodnie w dal, a powtórzony śród wąwozów i rozpadlin tysiąckrotném echem, ginie w przestworzu jak ostatni akord z czarownéj pieśni anielskiego chóru.

Ostatnie promienie słońca, kryjącego się na zachodzie po za Reskie góry, padając z ukosa na wspaniałe mury zamczyska, obléwają je złotokrwawemi barwami. Powoli czerwoność ta niknie, złote odblaski przyćmiewają i naraz sinawa pomroka otacza swym płaszczem zamczysko, miasteczko i całą okolicę. Z baszty wznoszącéj się nad bramą, w chwili téj rozlega się huk wystrzału działowego, który jak grom

siejący postrach, powtórzony przez echo, zwiastuje okolicy zakończenie pracy całodziennéj w sąsiedniéj kopalni rudy miedzianéj.

Jak wspaniałą i imponującą jest powiérzchowność tego zamku, tak niemniéj i wnętrze budzi pewien rodzaj zajęcia. Właściciel *Szillagi-Somlyo*, pan Györtfamvy es Szillagi-Somlyovar, człowiek pełen wysokiego ukształcenia i miłości pamiątek, z zamku swojego zrobił istne muzeum, na rozpatrzeniu się w którém i na poznaniu jego skarbów, nie chwil parę lecz dni kilka spędzić można. P. Györtfamvy z całą węgierską gościnnością przyjąwszy nas, aczkolwiek na razie z niedowierzaniem na mój biały mundur spoglądał, późniéj, poznawszy z kim ma do czynienia, wszystkie swe skarby otworzył przed nami i służył nam za „*cicerone*“ a przyznać należy, że pomistrzowsku wywiązał się z tego zadania. W dużéj sali górnego zamku, t. j. głównego korpusu, przyozdobionéj w portrety naturalnéj wielkości poprzednich właścicieli zamku, całe zbroje rycerskie, tarcze, hełmy, szyszaki, buzdygany, halabardy, miecze, maczugi i t. d., w dębowéj starą prześliczną rzeźbą pokrytéj i oszklonéj szafce znajdowały się: szyszak, pancerz, rękawice żelazne i miecz złamany Jana Kemeny, który r. 1662 w bitwie z turkami pod Nagy-Sölösz zginął. Obok tych pamiątek były tu jeszcze i inne jak: modlitewnik Janosa Hunyadi, łańcuch złoty z medalem Stefana Batorego, znaczny zbiór monet staro węgierskich, rzymskich i tureckich, bardzo liczny księgozbiór, i piękna galerya obrazów. W baszcie samotnie na uboczu się wznoszącéj a z głównym korpusem połączonéj krużgankiem znajdowało się archiwum rodzinne i pracownia. W kaplicy o gotyckiem sklepieniu i pięknych takichże oknach, zdobnych w przepyszne malowidła na szkle, oprócz starożytnego obrazu malowanego na drzewie i przedstawiającego Chrystusa między łotrami, a pomieszczonego w ołtarzu, znajdowały się liczne pomniki marmurowe i z porfiru żyłkowanego, pokrywające zwłoki panów tego zamczyska.

Uprzejmy nasz gospodarz pan Miklosz Györtfamvy, człowiek już nie młody, mający jednego syna, ostatniego z rodu, oprowadziwszy nas po całym zamku, po wszystkich jego komnatach, korytarzach, od podziemi zacząwszy aż do poddaszy i z powodu spóźnionéj już pory zatrzymawszy nas na noc u siebie, zaprowadził do sali jadalnéj, gdzieśmy przy obficie zastawionym stole zasiedli do wieczerzy. Zamek Somlyo za panowania Andrzeja II około r. 1220 został wzniesiony przez jednego z przodków hrabiów Banfy, od których w czasach późniejszych po kądzieli przeszedł w posiadanie Györtfamvych-Silagy, w których posiadaniu już nadal pozostał. Zamek ten, położony na krańcach Węgier, wystawiony na ciągłe napady Mongołów i Turków, dzielny zawsze stawiał opór tym dzikim najeźdźcom, a dzięki swemu położeniu i dzielnéj obronie nigdy nie dostał się w ręce wrogów. W r. 1849 w murach swoich, już po poddaniu się zdradzieckiego Györgyeya pod Villagos, ukrywał on czas dłuższy węgierskich bohaterów ściganych przez wiarołomnego Haynaua, którzy stąd manowcami przedostawszy

się do granic Turcyi, uszli haniebnéj śmierci jaką im generalissimus austryacki przygotował. Tędy, jak niesie podanie, uchodzić miał i hrabia Andrassy, do niedawna kanclerz i prezes ministrów monarchii austro-węgierskiéj.

Nazajutrz, podziękowawszy za uprzejmą i serdeczną gościnę, wąziuchną doliną po nad brzegami Krasny, ekwipażem p. Györtfamvy ruszylismy do *Kiraly-Darocz*, skąd, nie zatrzymując się, oczekującemi już na nas końmi, przybyłemi dniem wprzódy z Elesd, podążylismy przez Erdöd, po pod wyniosły szczyt Tarnicy do Aranyos Megyes, wioski rozsiadłéj opodal od prawego brzegu Szamosu, zkąd tegoż dnia jeszcze po godzinnym odpoczynku pośpieszyliśmy do mego przyjaciela p. Remeny Miszki, mieszkającego w Aranyosfalu, między Ujvaros i Varallya.

Z zameczku a raczéj dworu p. Remeny'ego roztaczał się przecudowny widok na całą dolinę i stepy Szatmarskie i Debreczyńskie; opisu widoku, jako już pomieszczonego w moich „*Ze wspomnień żołnierza*“, nie powtarzam nadmienię tylko, że przez czas całotygodniowego pobytu mego u p. Remeny widokiem tym nasycić się nie mogłem, i że nigdy go nie zapomnę. Przez czas pobytu w Aranyosfalu nie próżnowaliśmy; przeciwnie, prawie codziennie robiliśmy wycieczki piesze w okolice a mianowicie w góry, których odnogi, wciskając się między Ujvaros i Varallya, docierały aż pod sam dwór p. Remeny'ego, tak że na ich stokach znajdowała się winnica, będąca jego własnością i do-

starczająca wyśmienitego i powszechnie cenionego Megyeshegyjskiego wina.

Zwiédziwszy każdy niemal zakątek gór otaczających Aranyosfalva, nareszcie puściliśmy się pieszo z przewodnikiem na czele, ku szczytowi Fenyer-Hegy, wznoszącemu się tuż na granicy komitatu Marmaros. Piątego dnia pobytu mego w Aranyosfalva, równo ze świtem ruszyliśmy do Ujvaros, skąd pośpieszyliśmy w dolinę przerzniętą trzema rwącemi strumykami, dążącemi do Cisy, otoczoną ze wszech stron niemal niebotycznemi górami, i rozciągającą się u stóp góry, zwiédzenie szczytu któréj było celem naszéj wycieczki. Ujvaros u wstępu do téj dolinki, rozsiadłszy się tu u podnóża osamotnionego „*wirchu*“, stanowi niejako warowną forteczkę, broniącą przystępu do doliny. Zameczek z czasów odległych, bo z XV wieku, jak gniazdo jaskółcze przyczepiony do skalistych scian wirchu, stanowi tu bardzo malownicze uzupełnienie dzikoromantycznéj okolicy. Minąwszy wioskę i zameczek zagłębiamy się w dolinę równą, pokrytą zielenią pięknych łąk i pól ornych.

Uszedłszy tak przestrzeń nie przenoszącą półtoréj mili, i dostawszy się do trzeciego z kolei strumyka zwanego Köpatak, który z niemałym trudem skacząc z kamienia na kamień przebyliśmy, zaczęliśmy wstępować na stromą górę. Ścieżynka, którą postępowaliśmy, dążąc ku północy okrążała szczyt góry, która po nad nami groźnie się podnosząc, swe czoło w gęstych kryła obłokach. Przeskakując, lub też na

czworakach pełzając z kamienia na kamień, zawieszeni ciągle po nad przepaściami, wydostaliśmy się po dwugodzinnym pochodzie na turnię dosyć rozległą, gdzie znajdował się szałas wołoskich pasterzy kóz i owiec. Odpocząwszy tu, już około południa zaczęliśmy się wdzierać od strony północnéj, po stromej skale, na szczyt Fenyer-Hegy. Przy pomocy zręcznych i odważnych przewodników, spinając się jak kozy, tuż po nad przepaścią otwierającą się u stóp naszych, z niemałym trudem dostaliśmy się na niższy szczyt Fenyer'u, porośniętego trawą. Tutaj też wytryska parę źródeł, spływających do owych trzech strumyków, i zamieniających kilkanaście sążni kwadratowych przestrzeni na bagnistą łączkę. Ścieżką wiadomą przewodnikom a prowadzącą przez bagno, dostaliśmy się pod pionowo wznoszącą się ścianę samego „*wierchu*“. Przy pomocy sznurów i żelazem okutych lasek, dostaliśmy się nareszcie na najwyższy szczyt Fenyer'u, skąd nagle przed oczyma naszemi rozwinął się czarodziejski widok. Na zachód rozwinął się u stóp naszych jakby zielonym kobiercem pokryty cały prawie Szatmarski komitat, przerznięty od południo wschodu ku północy, jakby srébrzystą wstęgą, wartko płynącym Szamosem, nad brzegiem którego rozsiadła się stolica komitatu: *Szathmar-Nemethi*; na zachodniopółnocnéj stronie coraz wyżéj piętrzące się góry i szczyty ciągnące się ku „*Ostremu Wrchowi*“ i sąsiednim jego „*wrchom*“, widok na Ugoczę i Beregh, zasłaniały w zupełności, tak samo jak i ku południowi piętrzące się massy Karpat Siedmiogrodzkich. Na wschód, po nad niższe odnogi Fenyerskiego szczytu, widać falistą dolinę Marmaroskiego komitatu, w głębi któréj wznosi się łańcuch gór karpackich, odgraniczających wschodnią Galicyą od Węgier, ze szczytami swemi: Bliźnica, Pietrosz, Czarna hora, Ruski-Wrch, Kamionka i t. d. Na dolinie téj widać, jak stado owiec rozrzucone wsie i miasteczka Hoszumezö, Teezö, Szigeth, Szeles-Lonka, a śród wąwozów i gór, kryjące się osady Kabolya, Lonka nad Visso, Tribusa i Rusz Polyana, z poważnie między niemi rozsiadłym „wrchem“, zwanym „Pop Iwan“.

Spuściwszy się z niemałym trudem ze szczytu góry, już samym grzbietem górzystego łańcucha po nad przepaście, rozpadliny i t. d. podążyliśmy ku południowi. Po dwugodzinnym znowu pochodzie, pełnym grozy i niebezpieczeństw, szczęśliwie dostaliśmy się do podnóża góry „*Ignics*“, gdzie z powodu spóźnionéj już pory zamierzyliśmy zanocować, aby równo ze świtem wydostać się na wierzchołek i stamtąd przypatrzéć się okolicy przy wschodzie słońca. W szałasie na prędce zbudowanym z kosodrzewu i jałowcu, rozłożyliśmy się na nocleg. Przed szałasem przewodnicy rozpalili duży ogień, przy którym zaczęli nam warzyć polentę, czyli, jak tu zowią, mamałygę. Po wieczerzy zapaliwszy wonne cygara, i ułożywszy się na miękkim mchu, po godzinnéj może pogawędce zasnęliśmy snem głębokim.

Już dobrze po północy tuż obok szałasu usłyszeliśmy jakiś ruch niezwykły, a po chwili i głuche po-

mrukiwania. Ogień rozłożony przed szałasem wygasł prawie zupełnie, tliła się tylko jedna głowienka. Noc była zupełnie ciemna. P. Remeny, który piérwszy usłyszał ów tajemniczy ruch po za ścianą szałasu, zerwał się, ujął w rękę tlejącą głownię, którą wywijając w powietrzu, cienie nocy choć cóśkolwiek chciał rozjaśnić. Tak przewodnicy jak i my pozostali, wybiegłszy na wolne miejsce, nagle ujrzeliśmy przed sobą czarną masę, która, mrucząc, ku nam się zbliżała. Jeden z przewodników, skrzesawszy szybko ogień, zapalił smolne łuczywo. Płomień buchnął krwawym blaskiem, oświetlając okolicę, i ujrzeliśmy przed sobą, na jakie sześć kroków, dużego niedźwiedzia, który, na widok ognia, nagle się zatrzymał w swoim pochodzie. Ani przewodnicy, ani téż i my nie mieliśmy z sobą żadnéj broni; rozpoczynać więć walkę po nocy, i z tak groźnym nieprzyjacielem nie można było; to téż z uszanowaniem ustąpiliśmy z drogi naszemu gościowi, który z całą niedźwiedzią powagą, jakby nigdy nic nie zaszło i jakby nas nie widział, najspokojniej przeszedł obok szałasu, i jarem spuścił się ku Felsö-Banya. Tak niespodzianie wypłoszeni z naszych legowisk, zasiedliśmy około świéżo roznieconego ogniska, i popijając przygotowaną winną polewkę, gwarząc o niedźwiedzich odwiédzinach, z piérwszymi brzaskami nadchodzącego poranku ruszyliśmy w drogę.

O ile trudném i unużającém było wdzieranie się na szczyt fenyerski, o tyle trudniéj nam przyszło zwiédzenie Ignicsu. Zwątpiwszy już abyśmy mogli się dostać na stożkowaty szczyt, ulegając jedy-

nie namowie p. Remeny, ja i p. Kappi mój towarzysz podróży przy ciągłéj i niezbędnéj pomocy przewodników, poprzedzani przez naszego gospodarza, wydostaliśmy się nareszcie na sam wiérzch, gdzie trzymając się rękami stożkowato zakończonego szczytu, na którym nawet kozica utrzymaćby się nie mogła, a opierając nogi w szczelinach skały, prawie zawieszeni nad 2000 stóp głęboką przepaścią, obejrzeliśmy stąd rozwijający się widok. Słońce ukryte jeszcze za Bukowińskiemi Karpatami, ozłacało promieniami swemi ich szczyty, które, płonąc jakby w ogniu, przecudownie rysowały się na błękicie niebios. Tuż u podnóża Ignicsu widniały dwa miasteczka Nagy - Banya i Felsö Banya, daléj cóśkolwiek na południe, za Szamosem, już u stoków Kövarskich gór, wioska Remete, a daléj jeszcze same góry, wierchy, polany, tworzące widok który słowami niepodobna odmalować. Stąd jak i z Fenyéru, widać także w błękitnéj oddali Szatmar-Nemethi a bliżéj cóśkolwiek *Erdöd Szada* i Varallya.

Nasyciwszy się tym widokiem i złożywszy na samym szczycie między odłamami skały butelkę dobrze zakorkowaną z naszemi biletami wizytowemi, rozpoczęliśmy odwrót, który o wiele był niebezpieczniejszy od wdrapywania się na szczyt. Podtrzymywani przez przewodników, rękami trzymając się skały, czépiając się szczelin i wyrastających tu i owdzie porostów, cofając się tyłem, z poszarpaném ubraniem, podrapaną twarzą, zakrwawionemi rękami, przybyliśmy na polankę, gdzieśmy noc spędzili. Tu odpocząwszy cóśkolwiek postanowiliśmy opuścić się

żlebem wschodnim nad jeziorko zwane „*Czerni dol*“, z którego wypływa strumyk *Mara*, łączący się z Cisą w pobliżu Szigetu.

Pochód nasz żlebem ku jeziorku, w porównaniu z karkołomną wędrówką, jakąśmy odbyli schodząc ze szczytu Ignicsa, był zabawką. Nie zatrzymując się nad jeziorkiem, którego tonie nieruchome są czarnéj barwy, tuż obok małego lecz bardzo malowniczego wodospadu spuściliśmy się nad urwiste brzegi Mary, po nad którą dalej ku dolinie podążyliśmy. Tak idąc nadszumiącym górskim potokiem, przeciskającym się między skałami, i okrążywszy samotnie wznoszącą się skałę, rodzaj pałki Herkulesowéj, już dobrze po południu przybyliśmy do *Sugatag*, małej mieściny, gdzie w dosyć wygodnie urządzonym domu zajezdnym na nocleg zatrzymaliśmy się. Niewysłowienie znużeni dwudniową wycieczką w górach, mimo miłego i wesołego towarzystwa miejscowego proboszcza i nauczyciela, wcześnie udaliśmy się na spoczynek, następnego dnia zaś najętemi końmi pośpieszyliśmy do Szigeth, skąd nie zatrzymując się, udaliśmy się daléj już koleją żelazną do Huszt. Tu przybywszy około południa, postanowiliśmy dnia następnego zwiedzić nad Nagy Agą wznoszący się „*Ostri wrch*“. Nazajutrz téż z sześcioma przewodnikami rozpoczęliśmy wdzieranie się na ten iście „*ostry wierzch*“, na szczycie którego po parugodzinnym utrudzającym pochodzie stanęliśmy.

Tu znowu piękny widok roztoczył się przed naszemi oczyma na północną część marmaroskiego komitatu i na połodniową część komitatu bereskiego;

zabawiwszy na tym szczycie przeszło godzinę, spuściliśmy się nad brzeg Bersovy, skąd w niespełna dwugodzinnym pochodzie, dostaliśmy się do *Bilki* (Białka), górskiej wioski zdobnéj ładnie położoną cerkiewką. Tu u grecko-unickiego proboszcza gościnnie przyjęci, zanocowawszy, dnia następnego już na wózku ruszyliśmy na Kis-Almas do *Munkacsa*, gdzie nas pożegnał towarzysz naszéj podróży p. Remeny, śpiesząc do swéj młodéj żony.

VII.

Munkacs, piękne miasto, starożytne i nie mniej malowniczo położone, od strony północnéj osłonięte górami, na południo zachód ma przed sobą rozległą równinę, przerzniętą licznemi strumieniami i bagnami, które około Beregh, Szasz i Kaszony są prawie nieprzebyte. Munkacs ma około 5000 mieszkańców, dobrze jest zabudowany i jest przeważnie miastem handlowém. Znajdują się też tutaj liczne piwnice z winami, po zakup których ściągają rok rocznie liczni kupcy ze Stryja, Kałusza i Stanisławowa. Ludność tutejszą stanowią Węgrzy i Rusini. Piękny kościół katolicki ze ślicznemi pomnikami i rzeźbami, cerkiew grecko-unicka bardzo starożytna i zachowująca piękną strukturę, jest katedrą dyecezyi munkacsskiéj, biskup któréj rezyduje w Użhorodzie i tylko od czasu do czasu do Munkacsa przybywa. Nadto jest tu kościół kalwiński i klasztor z cerkwią OO. bazyliaanów. Na południo-zachód od miasta w odległości blisko ¾ mili, na 432 stóp wysokiéj skale wznoszącéj się na płaszczyźnie ze wszech stron otwartéj, znajduje się zamek wielce starożytny i budzący niemałe zajęcie pod względem historycznym. Zamek ten wzniesiony został r. 1359, i tu rezydował w nim jeden z książąt Koryatowiczów, który fundował monaster bazylianow. W czasie wojen tureckich zamek ten odegrał ważną rolę, a w czasie walk Emerycha Tökölyego (1685—1688) przeciw Austryakom dzielnie był broniony przez żonę Emerycha, słynną Helenę Zriny. Zamek ten jest dziś zamieniony na więzienie, składa się z trzech części połączonych z sobą bramami, wałami i basztami. Cele więzienne, które niegdyś były zapewne również więzieniami, wykute w najwyższéj skale, są to grozą przejmujące pieczary, bez światła i powietrza. W muzeum zamkowém, śród licznych pamiątek mniejszéj wagi pokazują fajkę Rakoczego, strzemiona Stefana Batorego, karabelę Heleny Zriny, listy Tökölyego i inne tym podobne pamiątki. Zwiédziwszy całe miasto i wszystkie jego pamiątki, ruszyliśmy pocztą przez Szerednye do Ungwaru (Użhorodu), stolicy komitatu ungvarskiego, miasta liczącego przeszło 6500 mieszkańców. Leży ono nad Unghą, przypływem Bodrogu, w bardzo rozkosznéj i malowniczéj okolicy. Piękny kościół farny, daléj dom komitacki, seminaryum teologiczne i parę innych pięknych gmachów zdobi Ungvar, gdzie w starym zamku rezyduje biskup munkacki (grecko-uniacki) z kapitułą. Z Ungvaru po zwiédzeniu bardzo bogatego archiwum kapituły i pięknéj biblioteki seminaryjskiéj ruszyliśmy w dalszą drogę do Szobrancz, miasteczka słynnego siar-

czanemi źródłami; ztąd na Nagy-Mihaly, Gaal-Szes i Ridovcze podążyliśmy do Koszyc.

Coraz bardziéj zapuszczając się w północne części Węgier, coraz liczniéj spotykamy tu osiadłych Słowaków; Węgrzy zamieszkują już tylko miasta, wsie zaś przeważnie są słowackie. Lud to piękny, odznaczający się budową ciała, silny i zgrabny, lecz przyznać należy nie grzészący czystością. Plemię słowiańskie zamieszkujące te okolice dzieli się na kilka szczepów jako to: Czopaków, Szołaków, Lissaków i Lemaków. Szczepy te nadzwyczaj są spokrewnione z Małorusami, tak pod względem dyalektu, jako téż i obyczaju. Lud pracowity, lecz mimo to ubogi a to z przyczyny nieurodzajności ziemi i górzystego położenia.

Przybywszy do Koszyc i zakwaterowawszy się w hotelu pod „węgierską koroną“, ruszyliśmy na miasto aby je obejrzéć.

Koszyce (Kassa-varos), stolica komitatu abaujvarskiego, wolne miasto królewskie, położone nad Hernadem, liczyło za czasu méj bytności 14 do 15000 mieszkańców. Położenie Koszyc urocze. Miasto całe rozsiadło się w dolinie Hernadu, tuż nad rzéką, która z szumem przez nie przepływa. Otaczające wyżyny i pagórki pokryte są winnicami dostarczającemi dobrego wina stołowego. W głębi po nad miastem wznoszą się szczyty Karpat, które już masami zaczynają tu występować.

Wieś Koszyce, r. 1241 podniesiona do rzędu miast królewskich, piérwotnie zamieszkałą była przez

Niemców, którzy tu się chętnie osiedlali; dziś jeszcze Koszyce noszą na sobie piętno niemieckiego miasta, a uwydatniają to proste, regularne i czyste ulice, domy o czysto niemieckiéj strukturze, jako téż kościół Ś-téj Elżbiety, najpiękniejsza budowla Węgier, w czysto gotyckim stylu. Liczba Niemców zamieszkujących tutaj jest bardzo mała i przeważną część ludności stanowią Słowacy i Węgrzy. Trzynaście kościołów katolickich i dwa kościoły lutrów i kalwinów wyniosłemi wieżycami swemi przyczyniają się wielce do ozdoby tego miasta. Jako gmachy pięknéj struktury zasługują na uwagę: akademia prawnicza z biblioteką liczącą przeszło 10,000 tomów; pałac hrabiego Csaky, pałac komitatowy, gmach teatralny, pałac biskupi. Oprócz wyżéj wymienionéj akademii jest tu nadto seminaryum duchowne, wyższe gimnazyum, wyższa szkoła realna i seminaryum nauczycielskie. Mieszkańcy tutejsi trudnią się handlem i przemysłem, są zamożni i zamiłowani w pracy. R. 1849, dnia 4 lipca, Węgrzy pod wodzą swego ministra wojny, w zaciętéj bitwie jaką tu stoczyli, przez Austryaków pod wodzą generała Schlicka zostali pobici, i Koszyce, dotąd obsadzone przez Węgrów, dostały się w ręce armii zwycięzkiéj. Z Koszyc zrobiliśmy wycieczkę na zachód komitatu, do miasteczka Jaszo, gdzie znajduje się opactwo premonstratenzów. Kościół tego opactwa zalicza się do najpiękniejszych z całego kraju, a to nie tylko pod względem struktury lecz i bogactwa marmurów i alabastrów, jakiemi jest przyozdobiony.

Ma on 200 stóp długości. Biblioteka prześliczna, pełna rzadkich dzieł i manuskryptów, daléj zbiory muzealne i numizmatyczne, jako też prześlicznie położony i utrzymany ogród.

Zwiédziwszy te miejsca, nader uprzejmie przyjęci przez wiekowego już starca-opata i jego koadjutora, późno wieczorem powróciliśmy do Koszyc, skąd dnia następnego wyruszyliśmy rankiem do *Eperies* (Preszów), stolicy szaroskiego komitatu. Jadąc prześliczną doliną po nad Hernadem, który wężykowato ją przerzyna, około południa zdążyliśmy do celu zamierzonego.

Eperies leży śród gór i dzieli się na górne miasto, niegdyś stanowiące warownię, otoczone mocnym starym murem, i trzy przedmieścia. Tu jest rezydencya biskupa grecko-unickiego, a piękna cerkiew i dwa kościoły katolickie dodają miastu niemało ozdoby.

Następnego dnia przez Kirchdrauf podążyliśmy około południa do Lewoczy (Löcse-varos), dokąd późno wieczorem przybywszy, zatrzymaliśmy się w hotelu pod „królem węgierskim“, w którym za czasów méj piérwszéj bytności w tém mieście czas dłuższy się stołowałem. Lewocza, stolica spiskiego komitatu, leży na pagórku wolnym ze wszech stron. Plac główny czyli rynek odznacza się obszernością i wspaniałym kościołem gotyckim St. Jakóba, we wnętrzu którego oprócz olbrzymich organów, znajdują się, jak utrzymują mieszkańcy, rzeźby Wita Stwosza. Wspaniały ołtarz, istna koronka, swoim kształtem przypominający ołtarz Panny Maryi w Krakowie, w istocie

pozwala przypuszczać, że jestto dzieło naszego rzeźbiarza. Maleńki strumyk przepływający u stóp góry, na któréj rozsiadło się miasto, a niewystarczający nawet na zaopatrzenie w dostateczną ilość wody mieszkańców, dał powód do złośliwego żartu, wedle którego rada miejska przed wieki wydać miała rozkaz, aby, pod karą wieży, mieszkańcy nie ważyli się chować gęsi, a to z obawy, aby się w „*rzéce*“ nie potopiły.

Zabawiwszy dzień jeden w Lewoczy, ruszyliśmy w dalszą drogę przez Donnersmark, miejscowość słynną z tego względu, że w jéj sąsiedstwie jest siedziba „*dziesięciu kopijników*“ (Tizen-dsidas), którzy, będąc szlachtą zagonową, należeli do przybocznéj straży króla, uzbrojeni w kopie. Minąwszy Kapsdorf (Kapostafalva), pięknie położoną wioskę, w pobliżu któréj znajduje się w jednéj odnodze Kralowéj Holi pieczara dosyć obszerna, nosząca ślady na sobie, że we wnętrzu jéj, w czasie napadów wojennych, przemieszkiwać musieli ludzie. Stąd coraz bardziéj się zwężającą doliną po nad brzegami szumiącego Granu, raźnie podążyliśmy do Pohoreli, wstępując po drodze do Hnilca, małéj wioszczyny położonéj u podnóża Kralowéj Holi, gdzie odpoczęliśmy chwil parę.

W Pohoreli, na południe od majestatycznego szczytu Kralowéj Holi, zatrzymaliśmy się u właściciela we dworze położonym tuż obok szosy, po za piękną kapliczką zbudowaną przy drodze.

Dnia następnego z gospodarzem naszym, leśniczym rządowym tu zamieszkującym, jednym pomocnikiem leśniczego i paru góralami, uzbrojeni w dubel-

Ma on 200 stóp długości. Biblioteka prześliczna, pełna rzadkich dzieł i manuskryptów, daléj zbiory muzealne i numizmatyczne, jako też prześlicznie położony i utrzymany ogród.

Zwiédziwszy te miejsca, nader uprzejmie przyjęci przez wiekowego już starca-opata i jego koadjutora, późno wieczorem powróciliśmy do Koszyc, skąd dnia następnego wyruszyliśmy rankiem do *Eperies* (Preszów), stolicy szaroskiego komitatu. Jadąc prześliczną doliną po nad Hernadem, który wężykowato ją przerzyna, około południa zdążyliśmy do celu zamierzonego.

Eperies leży śród gór i dzieli się na górne miasto, niegdyś stanowiące warownię, otoczone mocnym starym murem, i trzy przedmieścia. Tu jest rezydencya biskupa grecko-unickiego, a piękna cerkiew i dwa kościoły katolickie dodają miastu niemało ozdoby.

Następnego dnia przez Kirchdrauf podążyliśmy około południa do Lewoczy (Löcse-varos), dokąd późno wieczorem przybywszy, zatrzymaliśmy się w hotelu pod „królem węgierskim“, w którym za czasów méj piérwszéj bytności w tém mieście czas dłuższy się stołowałem. Lewocza, stolica spiskiego komitatu, leży na pagórku wolnym ze wszech stron. Plac główny czyli rynek odznacza się obszernością i wspaniałym kościołem gotyckim St. Jakóba, we wnętrzu którego oprócz olbrzymich organów, znajdują się, jak utrzymują mieszkańcy, rzeźby Wita Stwosza. Wspaniały ołtarz, istna koronka, swoim kształtem przypominający ołtarz Panny Maryi w Krakowie, w istocie

pozwala przypuszczać, że jestto dzieło naszego rzeźbiarza. Maleńki strumyk przepływający u stóp góry, na któréj rozsiadło się miasto, a niewystarczający nawet na zaopatrzenie w dostateczną ilość wody mieszkańców, dał powód do złośliwego żartu, wedle którego rada miejska przed wieki wydać miała rozkaz, aby, pod karą wieży, mieszkańcy nie ważyli się chować gęsi, a to z obawy, aby się w „*rzéce*“ nie potopiły.

Zabawiwszy dzień jeden w Lewoczy, ruszyliśmy w dalszą drogę przez Donnersmark, miejscowość słynną z tego względu, że w jéj sąsiedstwie jest siedziba „*dziesięciu kopijników*“ (Tizen-dsidas), którzy, będąc szlachtą zagonową, należeli do przybocznéj straży króla, uzbrojeni w kopie. Minąwszy Kapsdorf (Kapostafalva), pięknie położoną wioskę, w pobliżu któréj znajduje się w jednéj odnodze Kralowéj Holi pieczara dosyć obszerna, nosząca ślady na sobie, że we wnętrzu jéj, w czasie napadów wojennych, przemieszkiwać musieli ludzie. Stąd coraz bardziéj się zwężającą doliną po nad brzegami szumiącego Granu, raźnie podążyliśmy do Pohoreli, wstępując po drodze do Hnilca, małéj wioszczyny położonéj u podnóża Kralowéj Holi, gdzie odpoczęliśmy chwil parę.

W Pohoreli, na południe od majestatycznego szczytu Kralowéj Holi, zatrzymaliśmy się u właściciela we dworze położonym tuż obok szosy, po za piękną kapliczką zbudowaną przy drodze.

Dnia następnego z gospodarzem naszym, leśniczym rządowym tu zamieszkującym, jednym pomocnikiem leśniczego i paru góralami, uzbrojeni w dubel-

tówki ruszyliśmy ku żlebom prowadzącym na szczyty Kralowéj Holi, w zamiarze zapolowania na niedźwiedzie, które od dni paru w téj okolicy się pokazały, wyrządzając wielkie szkody. Dzień był prześliczny, powietrze czyste, lekkie, pełne balsamicznéj woni, i przypuszczać można było, że polowanie *á l'improviste* urządzone uda się wyśmienicie. Z Pohoreli wyszliśmy jeszcze przed wschodem słońca, i nim ono z za gór się wychyliło, już byliśmy wysoko po nad doliną, rozstawieni wzdłuż jaru ciągnącego się od szczytu Kralowéj Holi ku wiosce u stóp góry rozsiadłéj. Jarem tym ciągnęła się ścieżynka, którą niedźwiedzie do opodal wytryskującego źródełka przechodziły.

Towarzysz mój p. Kappi stał odemnie o jakie pięćdziesiąt kroków wyżéj, tuż na skręcie jaru. Leśniczy zaś, który tą wyprawą kierował, spuścił się do jaru i ostrożnie postępując w górę, zapuścił się w zarośla, zniknąwszy nam niebawem z oczu. Na lewo odemnie pod wyniosłym świérkiem zajął miejsce nasz gospodarz, a daléj za nim jeszcze pomocnik leśniczego. Górale, uzbrojeni w toporki, obszedłszy nasze stanowiska, poszli ku poprzecznemu jarowi, który jeszcze wyżéj od naszych stanowisk się znajdował, i który łączył się z tym, nad którym staliśmy.

Po odejściu górali zaległa głęboka cisza; powoli wznoszące się słońce złotemi promieniami oświetliło czarującą okolicę górską. Wirchy i hale, pokryte majową zielonością, błyszczały w całéj swéj uroczéj piękności, a piętrzące się nad niemi szczyty gór fantastycznie poszarpanych ginęły w błękitnéj oddali,

przejętéj złotawo-płomiennym odblaskiem. Zubova Hola, wznosząca się na południe od Pohoreli, pokryta cała świérkowym lasem, tonąc w blasku słonecznych promieni, wydawała się świątynią najeżoną licznemi wieżami i wieżyczkami. Bliżéj i daléj położone Černi vrch, Biela hola, Dobsicky vrch, otaczając Zubową Holę, zdawały się być tak blisko nas, że pasterze będący tam mogliby głos nasz usłyszéć, a jednak przestrzeń nas rozdzielająca od tych szczytów była bardzo znaczna. Po półtora blisko godzinnym wyczekiwaniu, naraz w głębi parowu usłyszeliśmy dwa wystrzały jeden po drugim, odgłos których tysiącznym echem powtórzyły góry. W chwil parę po wystrzałach rozległa się straszliwa wrzawa naganiaczy, nawoływania, krzyki: zdało się, że tysiące ludzi napełniło te dzikie jary i wąwozy. Tuż pod nami było cicho i spokojnie, jakby natura zamarła. Znów wystrzał powtórzony echem przeciągłym. Nagle w głębi jaru, po pod mojém stanowiskiem, śród krzaków, zaszeleściało, jakby zwierz jakiś się przemykał; łomot gałęzi, druzgotanych pod stopami zwierza i głuche pomrukiwanie zwiastowały, że brat Misio tędy się wymykał. Nie namyślając się długo, na oślep w gęstwinę strzeliłem raz i drugi. Potężny ryk rozległ się w powietrzu i uszu naszych doleciał odgłos łamanych gałęzi, w pośpiesznéj ucieczce tego, z którym pragnęliśmy się spotkać. Naganka zbliżyła się do nas, w jarze ożywiło się, wrzawa rosła z każdą chwilą, padł jeszcze strzał jeden, i ozwała się nakoniec trąbka myśliwska. Polowanie było skończone. Nadszedł leśniczy i wte-

dy dopiéro dowiedzieliśmy się, że potężny niedźwiedź spotkał się z nim oko w oko, że strzelił do niego dwa razy, że, jak się zdaje, musiał go postrzelić, bo farbą ślad znaczył. Z opowiadania tak leśniczego jakotéż i górali pokazało się również, że i ja do tegoż samego niedźwiedzia, nie widząc go nawet, tylko słysząc, strzelałem, i że nakoniec niedźwiedź zadrwił sobie z nas i poniżéj stanowisk naszych wymknął się obławie.

Już dobrze po południu spuściliśmy się z gór podążając do domu, gdy spotkalismy jednego z pasterzy, który powiadomił nas, że u skraju wąwozu prowadzącego przez Cerni vrch ku Muranyalya, widział niédźwiedzia z trudnością wdzierającego się na górę. Na tę wiadomość leśniczy posłał niezwłocznie w oznaczone miejsce kilku górali i dwóch strażników leśnych; my zaś całą gromadką udaliśmy się do dworu.

Przed samym już wieczorem wysłani górale ze strażnikami powrócili do Pohoreli, niosąc na noszach naprędce zrobionych olbrzymiego niedźwiedzia, którego przed gankiem na dziedzińcu złożono. Pan leśniczy przystąpił niezwłocznie do odszukania kul i znalazł ich dwie; obie tkwiły głęboko w płucach, a rozdzierając je wywołały krwotok i następnie śmierć potężnego króla tych gór. Obie kule z wielkim moim żalem nie nadawały się do lufy dubeltówki, z któréj strzelałem, i tak bohatérem dnia tego był p. leśniczy, który wtedy dwunastego zabił już w życiu niedźwiedzia.

Wróciwszy do Pohoreli, zastaliśmy we dworze licznie zebranych sąsiadów pana Gabryela Borowskiego (Borovsky Gabór), ówczesnego właściciela Pohoreli, którzy na zaprosiny jego wraz z żonami i córkami na obiad przybyli. Przebrawszy się pospiesznie, podążyliśmy do sali jadalnéj, gdzie zebrani goście z gospodarzem na czele przybycia naszego już oczekiwali. Uprzejmy gospodarz, pochodzący, jak sam twierdził, z rodziny polskiéj, osiadłéj tu na Węgrzech już od wielu wieków, zapoznał nas po kolei ze wszystkiemi paniami i panami, z pośród których paru tylko mówiło po słowacku lub niemiecku, inni zaś tych języków nie posiadali, mówiąc jedynie po węgiersku. Zasiedliśmy do długiego stołu, obficie jadłem i napojami zastawionego. Towarzystwo całe składało się przeszło z trzydziestu osób. Naturalnie, że temat do rozmowy dostarczała nasza wyprawa na polowanie. Pan leśniczy, czech rodem lecz od lat już wielu osiadły w tych stronach, żywo i barwnie opowiadał o swoich przygodach z niedźwiedziami, których liczba przed r. 1848 była tu znacznia większa.

— Pamiętam jak dziś, mówił, a jest temu już jakie lat 30, że prawdziwym cudem Bożym wydostałem się niemal z objęć Maruchy. Byłem wtedy młody, niedoświadczony, niedawno w te okolice przybyły a co najważnieisza zarozumiały i nie chciałem słuchać przestróg. Zajmowałem pod ten czas posadę praktykanta leśnego w leśnictwie Polomki. Dnia jednego przypadł na mnie dyżur, i musiałem mój rewir znajdujący się po za Kralową holą obejść i przekonać się,

czy gdzie niéma jakiéj szkody, czy straż leśna znajduje się na swoich stanowiskach, i jaki jest zwierzostan. Pod wieczór już było gdy minąwszy Polomski żleb, wszedłem na ścieżynkę wiodącą po nad Hnilcem ku Czerwonéj hali; na lewo ścieżynki, czépiającéj się prostopadłéj skały, otwierała się bezdenna przepaść. Ścieżynka, mało kiedy uczęszczana, wydostawszy się z po nad przepaści, już na Czerwonéj hali, wiła się pomiędzy dwu źródliskami, porośniętemi mchem czerwonym, a gdzieniegdzie porzucone odłamy skalne pozwalały z wielkim trudem, opuszczając ścieżkę, przedostać się po zwaliskach do żlebu prowadzącego ku Polomce. Wesoło pośpiewując z jednorurką na plecach kroczyłem po téj ścieżce. Słońce chyliło się już ku zachodowi i jakby roztopionem złotem, promieniami swemi oblewało szczyty Kralowéj holi, Szczerbowego wierchu i innych. Śpiéw mój, tysiąckrotném echem powtarzał się śród gór, które w téj chwili zdały się być zaludnione tysiącami wesołych mieszkańców. Szum niedalekiego wodospadu harmonijnie mięszał się z moim śpiéwem i echem jego. Nagle minąwszy zakręt i wszedłszy już na zwaliska Czerwonéj hali ujrzałem na odległości dziesięciu kroków potężnego Maruchę, który ścieżką jak najspokojniéj naprzeciw mnie dążył. Łatwo pojąć jakiego wrażenia doznałem, spotkawszy się tak niespodzianie z mieszkańcem tych górskich okolic, a trzeba wiedzieć, że dopiero po raz drugi w życiu i to tak zbliska spojrzałem oko w oko niedźwiedziowi, który wyzywająco szedł ku mnie. Ustąpić z drogi? ależ to wstyd! Umykać tąż samą

drogą, którą przyszedłem, nie podobna, bo Marucha byłby się niewątpliwie rzucił w pogoń. Nie było więc rady, i trzeba było stanąć w pozycyi zaczepnéj; niedługo téż namyślając się, szybko zdjąłem moją jednorurkę, a wziąwszy na cel Maruchę palnąłem, będąc pewien, że niedźwiedź, z tak bliska poczęstowany ołowianą pigułką, pożegna się z tym światem; inaczéj jednak się stało. Chybiłem widocznie z zanadto wielkiego pośpiechu. Niedźwiedź z rykiem potężnym podniósł się na tylne łapy i, przedniemi łapami jak cepami wywijając, zbliżył się do mnie. Przerażony i bezsilny stałem jak skamieniały na miejscu, uciekać niepodobna. Mąchinalnie téż wyciągnąłem przed siebie w rękach trzymaną jednorurkę, dotykając nią prawie kudłatych piersi mego przeciwnika.

„Marucha jednym zamachem wyrwał mi broń z ręki, i jakby postronek jaki zaczął ją skręcać. Ja tymczasem, widząc się bezbronnym i bezsilnym w obec takiego przeciwnika, upatrzywszy na źródlisku jeden z licznych odłamów skalnych, od ścieżki na jakie pięć kroków oddalony, jednym rzutem skoczyłem nań. Dziś przypominając to sobie, pojąć nie mogę skąd mi się tyle siły wzięło, żem mógł tak wielką przestrzeń bez rozpędu szczęśliwie przeskoczyć. Niedźwiedź, mrucząc groźnie, skręciwszy jak postronek lufę méj strzelby, cisnął nią za mną z taką siłą, że wbiła się w szczelinę skały, na któréj stałem, poczém, nie zatrzymując się więcéj i ciągle pomrukując podążył ścieżynką, po któréj ja poprzednio szedłem, dążąc na Czerwoną halę. Gdy niedźwiedź się już oddalił i mruczenia

jego słychać nie było, rozejrzałem się po otoczeniu, rozmyślając nad tém, jak się wydostać z powrotem na ścieżynkę; między miejscem na którém stałem a ścieżynką, rozciągało się na przestrzeni dobrych dwóch sążni bezdenne bagnisko, pokryte, jakby kożuchem, czerwonawym mchem. Przeskoczyć tę przestrzeń nie miałem ani odwagi, ani też siły, która poprzednio nie wiem skąd się u mnie wzięła. Odłam skalny, na którym stałem, najwyżej miał sześć stóp kwadratowych obszaru. Co tu robić? Po długim i rozpacznym niemal namyśle postanowiłem z przyczyny, że już najzupełniejszy mrok zapadł, przeczekać do dnia następnego, i za dnia dopiéro próbować przeprawy, a może i który ze strzelców, obchodząc rewir, tędy przechodzić będzie; to mnie wyciągnie z téj fatalnéj matni w jaką wpadłem. Usiadłem więc na tém miejscu gdzie stałem, a otuliwszy się jak mogłem przed zimnem, które coraz dokuczliwszém się stawało, z rezygnacyą wyczekiwałem jutrzenki.

„O śnie i marzyć nie można było; szczęściem że w csutrze miałem sporo jeszcze sliwowicy, nią też noc całą rozgrzéwałem się. Nad ranem znużony całonocném czuwaniem zdrzémnąłem się, i już słońce zeszło na niebie, gdy nagle obudził mnie głos jednego ze strzelców, który, idąc tędy, ujrzał mnie. Opowiedziałem co zaszło, prosząc aby mi dopomógł do wydostania się z tego miejsca, a że pod ręką nie było ani żérdzi, ani żadnego kawałka drzewa, któreby mi za kładkę posłużyć mogło, więc strzelec spuścił się z hali ku żlebowi, gdzie byli węglarze, i w godzinę może późniéj powrócił wraz z dwoma węglarzami niosącymi wysmukłą świérczynę, świéżo co ściętą. Po tej też świérczynie, ułożonéj jak kładka po nad bagniskiem, zabrawszy z sobą pokręconą lufę méj jednorurki, dostałem się szczęśliwie na ścieżkę. Już dobrze było z południa, gdym przy pomocy strzelca zawlókł się do domu w Polomce i położywszy się niezwłocznie do łóżka, wskutek przeziębnięcia a może i strachu, dostałem gorączki i czas dłuższy chory przeleżałem. Odtąd udając się na rewizyą leśną i idąc w góry, choćby tylko na spacer, biorę z sobą dwururkę, a jak teraz i rewolwer i kordelas; dzięki téż téj przezorności mojéj dwunastego już dzisiaj ubiłem Maruchę!“

Pan leśniczy skończył swoje opowiadanie a obecni, na wniosek gospodarza, wypili jego zdrowie, wślad za którym posypały się i inne, przeplatane śpiéwem, deklamacyą i iście z węgierskim ogniem wypowiedzianemi mowami. Po obiedzie, a raczéj wieczerzy nastąpiły tańce, które przeciągnęły się do dnia białego.

Dnia następnego, około południa, po sutém śniadaniu spożytém u pana leśniczego, ruszyliśmy w dalszą drogę, a jadąc wciąż po nad Granem, minąwszy Polomkę-Renyus, późno już w noc zatrzymaliśmy się w Briesen (Brezno-Banya), małém górniczém miasteczku, liczącém przeszło 4000 mieszkańców, i celującém z wyrobu znakomitych sérów i przepysznéj bryndzy. Nazajutrz wyśmienicie przespawszy się we wcale porządnie urządzonéj gospodzie, ruszyliśmy drogą po nad Granem do Bestercze Banya (Neusohl). W pobliżu Tót-Lipecs przejeżdżaliśmy tak ściśnionym wą-

wozem, że drogę musiano w tém miejscu wykuć w skale, po pod którą przepływają jak kryształ czyste wody Granu. W miejscu tém ponad rzéką skały tworzą rodzaj bramy naturalnéj.

Bestercze-Banya, stolica bystrzyckiego komitatu, leży w obszérnéj kotlinie gór przy ujściu Bystrzycy do Granu (Hron) i dziwne robi wrażenie na przybyszu. Domy wszystkie, aczkolwiek piętrowe tylko, wydają się być dwupiętrowemi i, co dziwniejsza że bez dachów, a to pochodzi stąd, że ściany frontowe dachy połowicznie budowane przewyższają i są ślepemi ozdobione oknami. Drugą osobliwością jest to, że rynek jest otoczony 32 domami zajezdnemi wyłącznie, posiadającemi prawo szynkowania. Miasto otaczają mury. Po nad miastem wznosi się starożytny zamek, który niegdyś był obronny. Piękne kościoły, pałac biskupi i komitatowy niemało przyczyniają się do ozdoby miasta. Kopalnie miedzi, źródła szczawowe i handel drzewa dają dosyć zajęcia mieszkańcom. Tutejsze kopalnie wydawały tygodniowo po 100 funtów mieszaniny złota ze srébrem. Zwiédziwszy to co tylko zwiédzić się dało, ruszyliśmy do Körmöcbanya (Krzemnice, Kremnitz), dokąd przez Radvany i Laurin około południa zdążyliśmy. Między siédmioma wysokiemi górami rozsiadło się ślicznie położone miasteczko, należące do wolnych miast królewskich i będące zarazem stolicą komitatu bacskiego. Wgłębi kotliny rozrzucone domy i domki malowniczy widok przedstawiają od romantycznie dzikiéj doliny Hermaneckiéj, przez którą jak i przez góry tejże nazwy wjazd nasz do Körmöcbanya odbyliśmy.

Najdawniejsze to miasto Węgier, bo, jak kroniki miejscowe i tradycya utrzymują, założone zostało 750 roku. Stare miasto otoczone jest murami i z zamkiem, starożytną wielce budowlą, liczy tylko 40 domów; przedmieścia czyli dzisiejsze miasto otaczają centrum, i liczą przeszło 6000 mieszkańców,. Starożytny kościół, zdobny w malowidła al-fresco, ze złotemi tłami (styl bizantyjski), ma dwie wysokie wieże, pokryte grubo złoconemi dachami. Na rynku wznosi się kolosalny lecz wcale nie gustowny posąg St. Teresy, którego postawienie r. 1769 kosztowało 20,000 guldenów. Są tu także piękne gmachy jak menniczy, gdzie biją tak zwane kremnickie dukaty, daléj ratusz i pałac komitatu. Prześliczny wodociąg zaopatruje miasto w wodę; wodociąg ten sprowadza wodę z rzeki Turocz o $2^1/_2$ mili położonéj od miasta. Tutejsze kopalnie złota zasługują na szczególną uwagę, témbardziéj, że w nich znajduje się i ruda srébrna. Kopalnie te za czasów méj bytności zatrudniały tylko 900 ludzi. Tak tu jak i wszędzie indziéj nad kopalniami dyrekcyą ma kamera królewska. Prywatni przedsiębiercy obrabiają trzy cechy, w których wiele sztolni ma po sześć stęp kruszcowych, poruszanych za pomocą wody lub koni. Królewski cech Leopolda jest najgłębszy, i tu kruszce wydobywane w dużych bryłach, jakby ponakrapiane złotem i srébrem, są rozbijane, tłuczone na proch i za pomocą szlamowania i

płukania szlachetny kruszec z kwarcu wydzielany. Kruszenia wydobytych brył kwarcowych dopełniają stępy olbrzymiéj wielkości, które bryły wrzucone do koryta żelaznemi blachami wyłożonego, do którego ciągle sączy się woda, rozbijają i miażdzą na drobniuchne kawałki i pył. Tak potłuczone bryły kwarcowe, zamienione na błotnistą miazgę, przedostają się z owego koryta do płuczkarni, gdzie z wielką skrzętnością, pod dozorem urzędników, każde ziarnko złota i srébra wydobywane zostaje. W tutejszéj hucie srébrnéj obrabiają także i surowe bryły kruszcu srébrnego, który co miesiąc przywożą ze Szczawnicy węgierskiéj (Schemnitz). Rozdzielacz, czyli jak go tu zowią szajdownik, ciągle jest zajęty rozdzielaniem złota właściwego od kwarcu, w którym tak złoto jak i srébro pomięszane i złączone, które zwożą z hut srébrnych w Żarnowicach i Bestercze-Banya. Mennica kremnicka wybija wszelkie szlachetne metale na monetę i tylko 267 grzywien złota i 17,812 srébra odstawia rocznie do Wiednia do cesarskiéj fabryki ciągnienia drutów telegraficznych. Wody gromadzące się w tutejszych kopalniach zawiérają w sobie wiele siarczanu żelaza; dlatego téż wydobywają z nich rocznie przeszło 406 cetnarów witryolu żelaznego. Zwiédzenie kopalni, mennicy i prześlicznie zbudowanego wodociągu, którym przeszło 2½ mili sprowadzaną jest woda do warsztatów z rzéki Turocz, zajęło nam sporo czasu, i gdyby nie okoliczność, że niebawem mój urlop już się kończył, niewątpliwie bylibyśmy tu dłużéj zabawili, aby dokładniéj poznać tak eksplotacyą kruszców szlachetnych jako téż i życie tutejszych górników. Nie zatrzymując się téż nigdzie po drodze, podążyliśmy przez Heiligen-Kreutz i Żernowice do Uj-Banya (Königsberg), jadąc ciągle po nad malowniczemi brzegami Granu. Uj-Banya leży na prawym brzegu rzéki, w miejscu ściśnionem i nadzwyczaj ponurem. Niegdyś były tu źródła złotodajne tak obfite, że robotnicy jako wynagrodzenie za swą pracę otrzymywali pył złoty, który osiadał na ich sukniach; dziś źródła te żadnéj już prawie korzyści nie przynoszą, i hamernia żelaza oraz kopalnia kamieni młyńskich o wiele więcéj procentuje. W sąsiedztwie Uj-Banyi, śród gór, znajduje się mała wioseczka, słynna gorącemi siarczanemi źródłami. Położenie téj wioski, *Szkleno* zwanéj, jest prześliczne. Otóż oprócz źródeł siarczanych jest tu na wzgórzu naturalna grota, która służy za łaźnię. Na ławkach, podobnie jak w Monsumano, wykutych w skale, dwadzieścia osób razem może używać kąpieli; lecz gorąco wywiązujące się w téj grocie jest tak silne, iż kąpiący się mogą tu zaledwo parę minut przebywać.

Z Uj-Banya, na Sz.-Benedek, małą mieścinę, ruszyliśmy do Aranyos-Maroth, miasteczka położonego nad Żitvą (Zsitva), skąd po parugodzinnym odpoczynku podążyliśmy daléj, górską drożyną, do Nitry, stolicy komitatu nitrzańskiego.

Nitra leży w prześlicznéj okolicy nad brzegami rzéki téj saméj nazwy i u krańców gór nitrzańskich.

Miasto jest rozdzielone rzéką na dwie części, górne i dolne miasto, razem przeszło 5000 mieszkańców. Zamek na skale tuż nad rzéką się wznoszący otoczony jest murami, wałami i basztami. Niegdyś był bardzo obronny. Tu jest rezydencya biskupa katolickiego. Katedra składa się z dwu części, starego i nowego kościoła, które 24 stopniami są od siebie oddzielone co na zwiédzającym dziwne sprawia wrażenie. Do katedry przytyka pałac biskupi, a domy kanoników leżą u spodu góry. Całość tego gmachu wraz z przytykającemi budowlami przedstawia się jak jakie zamczysko i wcale nie jest pozbawione pewnéj oryginalnéj malowniczości. Zwiédziwszy miasto i katedrę pośpieszyliśmy na szczyt góry *Zabor*, wznoszącéj się opodal od miasta. Po blisko trzygodzinnym pochodzie wydostaliśmy się na wiérzchołek góry, gdzie stérczą jeszcze ruiny klasztoru kamedułów i ich kościoła, pełne różnych pięknych rzeźb i szczątek z pomników. Z ruin tych przecudowny rozwija się widok na wyspę Csalloköz, aż po za Dunaj w góry Bakońskiego lasu. Surany nad Nitrą, Neuhäusel, Guta, Komorn a daléj jeszcze Igmand, wszystko to widać jak na dłoni pośród okiem nieprzejrzanéj zieleni pól i pastwisk, przerzniętych wodami Wagu, Nitry i Dunaju.

Tuż pod samym szczytem Zaboru, cóśkolwiek wyżéj od ruin klasztornych, pokazują pieczarę, w któréj zamieszkiwał niegdyś pustelnik Gerard (Zoerarda), który r. 1010 zmarł jako święty. Góra ta bierze nazwisko od księcia morawskiego *Zabora* (?). który

przez Madjarów w czasie ich najścia był schwytany i na téj górze powieszony.

Pod wieczór opuszczając Nitrę podążyliśmy na noc do Galgocz (Freistadt), miasteczka położonego nad Wagiem, i liczącego do 4000 mieszkańców, gdzie znaleźliśmy gościnne przyjęcie w zamku hrabiego Erdödy. Hrabia podonczas był u wód za granicą, ale ponieważ był powiadomiony iż mamy przybyć, przeto przed odjazdem swoim zarządził, iż przyjęci byliśmy tak, jakby on sam w zamku przebywał. Wspaniały zamek hrabiego, zbudowany z ciosu, w przepysznem położeniu, otoczony wspaniałemi ogrodami, stanowi prawdziwie pańską rezydencyą, tém cenniejszą, że jest jedną z najdawniejszych w całym kraju. Wyborowa biblioteka, pełna przepysznych i cennych dzieł, odnoszących się do historyi Węgier, kronik, herbarzy, rozmaitych starożytnych manuskryptów i t. d., daléj nader bogaty zbiór numizmatów, medali, pięknych dzieł sztuki, jak rzeźb i obrazów, jest niezaprzeczenie cenną ozdobą tego zamku. Nadto jest tu teatr bardzo pięknie urządzony, i w ogrodach wcale piękna menażerya. Zamek ten, jak niesie tradycya, był zbudowany przez Morawian, jeszcze przed przybyciami Madjarów w te strony, i był zawsze upragnioną zdobyczą wszystkich wojowników, przebywających dolinę Wagu, do któréj jest kluczem. Podczas zaburzeń Rakoczego był punktem środkowym wszystkich wojennych przedsięwzięć. Głównym obronnym punktem tego zamku była wieża, mająca sześć sążni średnicy, i dziś na jéj miejscu wznosi się altana, skąd roz-

tacza się prawdziwie czarujący widok na dolinę Wagu i całą zachodnią część nitrzańskiego komitatu. Na prawym brzegu rzéki, naprzeciw Galgocz, już na równinie, wznosi się forteczka Leopoldstadt, zamieszkała przez mały oddział wojska wysyłanego tu na załogę z twierdzy Komorna. W forteczce téj pomieszczone więzienie karne cywilno-wojskowe, i tu zasądzoną karę odsiadywali także przestępcy polityczni z r. 1848—1849 i lat późniejszych. Galgocz z Leopoldstadtem połączony mostem 400 stóp długości. Zabawiwszy dwa dni w Galgocz i odwiédziwszy podporucznika Lubojemskiego, komendanta oddziału forteczki i mego kolegę pułkowego, ruszyliśmy z niemałym żalem w dalszą drogę przez Szered, Selye i Farkasd do Guty, skąd dnia następnego pod wieczór już stanęliśmy w murach komorniańskiéj twierdzy. Towarzysz méj podróży we dwa dni późniéj statkiem parowym podążył w dół Dunaju, śpiesząc do zagrody rodzinnéj, ja zaś po trzymiesięcznéj swobodzie zaprzągnąłem się do zmudnéj i nużącéj służby garnizonowéj, rozweselając sobie powolnie upływający czas wspomnieniami z téj pięknej podróży.

W kraju tak bogatym w rozmaite płody natury a ubogim w przemysł, zdawaćby się należało, iż handel winien być bardzo rozwinięty; jednak tak nie jest i ogranicza się on jedynie na wywozie zboża, wina i bydła rogatego; pomimo tego ubóstwa tu nie znać; od zagrodnika począwszy a skończywszy na magnacie, wszyscy są zamożni i na biédę wcale nie narzekają.

Walka, jaką Węgry za czasów mojéj bytności w ich kraju prowadziły z Austryą, udowodniła wysoką polityczną dojrzałość tego narodu, co téż i rezultaty téj walki wykazały, dały bowiem Węgrom to, czego r. 1848 i 1849 z bronią w ręku zdobyć sobie nie mogli. W przeprowadzeniu téj systematycznéj walki, tego biernego oporu, jaki na każdym kroku napotykał w Węgrzech rząd wiedeński, uwydatniała się solidarność wszystkich stanów.

Węgier, aczkolwiek dumny i niechętnie przyjmujący oświatę płynącą z zachodu, bo przyczyniającą się do jego wynarodowienia, to jednak w obejściu jest giętki i uprzejmy. Rubaszność Węgrów, rażąca mieszkańców zachodu i dająca powód do licznych przypowieści i anegdot, nie pochodzi bynajmniéj z braku oświaty; nie! jest ona wynikiem prostoduszności i nieskażonych obyczajów, któremi Węgrzy się odznaczają. W ciągu mego paroletniego pobytu w kraju Arpada, w czasie moich licznych wycieczek po kraju całym, ocierając się o wszystkie warstwy społeczeństwa, miałem sposobność poznać kraj i ludzi zamieszkujących go, a w miarę poznawania ich, coraz więcéj uczyłem się ich szanować, i coraz więcéj przychodziłem do tego przekonania, że lud ten, tak dziki i nieucywilizowany na pozór, w łonie swojém kryje przymioty, któremi niejeden naród mógłby się poszczycić. Węgier obłudy nie zna, a wróg najzaciętszy, przeszedłszy próg jego domu i żądający gościnności, staje się dlań zesłańcem Bożym, i może być pewien, że ani słowem ani

czynem znieważony nie będzie. Osoba gościa dla Węgra jest świętą i nietykalną. Otóż pamięć téj gościnności natchnęła mnie chęcią nakreślenia tych wspomnień z wycieczek moich po Węgrzech. A pragnę by rodacy moi z Węgrów pod każdym względem przykład brać chcieli.

KONIEC.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

LĄD AFRYKAŃSKI.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEM.EŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Дня 13 Сентября 1882 года.

Drukiem „Wieku.“
Nowy Świat Nr. 59.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

WSTĘP.

Opowiadają, że cesarza Nerona wielce zajmowało pytanie, gdzie bierze Nil początek; w tym celu miał wysłać dwu setników, którzy wyruszyli w podróż w kierunku przeciwnym biegowi rzéki i posuwali się dotąd, póki im nie stanęły na zawadzie obszerne błota. Powróciwszy, opowiadali o nich, że nawet krajowcy nie znają ich rozległości, i że trudno będzie je zbadać, gdyż żegludze stoją na drodze nieprzezwyciężone przeszkody. W piérwszym wieku po Chrystusie Arabowie z Aden, którzy żeglowali wzdłuż brzegu wschodniego aż do krain koło przylądka Delgado (10° szér. półn.), poznali Nil biały; karawany arabskie zapuszczały się lądem zapewne aż do obszernych jezior Nilowych, w pobliżu których i Ptolemeusz zna „góry księżycowe“, gdzie mieści źródła Nilu. Były to okolice najdaléj na południe posunięte, z tych o których wiedzieli starożytni geografowie, ograniczający się na znajomości Egiptu i wybrzeży północnych Afryki. W ciągu wieków średnich nawet potężne państwo arabskie nie rozszérzyło zakresu tych wiado-

mości. Dopiéro na początku wieku XV książę portugalski Henryk Żeglarz rozpoczął szereg wypraw naukowych po oceanie Atlantyckim, których następstwem było odkrycie licznych archipelagów koło brzegów Afryki północno-zachodniéj, oraz wybrzeża Gwinei Górnéj. Za panowania Jana II przekroczono już równik, a Bartłomiéj Diaz dotarł do krańcowego punktu na południu lądu afrykańskiego, do przylądka Dobréj Nadziei; poczém, za Emanuela Wielkiego, przedsiębierczy i śmiały Vasco de Gama, opłynął całe wybrzeże wschodnie i przez ocean Indyjski dostał się na wybrzeże Malabarskie (1498). Portugalczycy pozakładali wiele osad handlowych na wybrzeżach Afryki, lecz nie odważali się z początku zapuszczać się daleko w głąb lądu; dopiéro w czasach późniejszych Holendrzy, zamieszkali koło przylądka Dobréj Nadziei, i Francuzi w Senegambii, a w końcu Portugalczycy, zapuszczając się dość daleko do środka lądu, rozszérzyli, wprawdzie tylko częściowo, skąpe dotychczas wiadomości o Afryce. Wiadomości te mogły były być o wiele dokładniejszemi i obfitszemi, gdyby właśnie ukrywanie ich i milczenie nie leżało było w interesie osadników, prowadzących korzystny handel. Założenie towarzystwa afrykańskiego w Londynie w r. 1788 nadało téj kwestyi stanowczy obrót; od tego czasu poczęto urządzać wyprawy do Afryki głównie z trzech stron: z Trypolidy, z Nubii i z Senegambii. Wyprawy takie w ciągu piérwszéj połowy bieżącego wieku stawały się coraz częstszemi, rozszérzyły swój zakres do zbadania całéj Afryki i doprowadziły za naszych czasów do nadspodziewanie pomyślnych wyników, któremi umiejętność geografii, słusznie za dni obecnych tak ulubiona, prawdziwie szczycić się ma prawo.

LĄD AFRYKAŃSKI

w świetle najnowszych badań.

NAPISAŁ

Dr. Jarosław Vlach.

Przekład z czeskiego.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

WARSZAWA.
Nakład Filipa Sulimierskiego. Ś.-Krzyska Nr. 17.

1883.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

I. Afryka północna.

W piérwszéj połowie bieżącego stulecia urządzono trzy wielkie wyprawy do Afryki północnéj. Jeszcze w r. 1823 udało się H. Claperton'owi, oficerowi marynarki, rodem ze Szkocyi, odkryć jezioro Czad. Wraz z dwoma towarzyszami wyruszył on w drogę z Trypoli i doszedł do Bornu, na południo-zachód od rzeczonego jeziora. Czad w porze suchéj o jednę trzecią przewyższa rozległością królestwo czeskie, a w porze dészczów o wiele rozleglejszém się staje. Liczne wyspy jeziora zamieszkuje szczep Yedina, głośny z rozbojów. W lat pięć potém przedsięwziął nową, niemniéj niebezpieczną wyprawę podróżnik francuski Réné Caillié, który, przebrany za kupca arabskiego, piérwszy z europejczyków zwiédził miasto Timbuktu nad Nigrem. Jest to nader ważny punkt handlowy; ludności stałéj liczy tylko około 13,000, liczba ta jednakże wzrasta co najmniéj o połowę w czasie jarmarków, które przypadają na miesiąc listopad, grudzień i styczeń. Najwięcéj sprzedaje się tu złota, soli i orzechów, zwanych „kola“, które, zawierając znaczny procent teiny, zastępują ludności kawę. Materye bawełniane i sukno czerwone są jedynemi wyrobami, w które handel europejski zaopatruje targi tutejsze; samo miasto i okolica produkuje tylko wyroby skórzane, bardzo piękne i zręcznie sporządzone. Przez dłuższy czas potém nie słychać o większych wyprawach aż do chwili, kiedy Francuzi, podbiwszy Algier, zatknęli swe sztandary na Saharze. Współzawodnicy Francuzów, Anglicy nie chcieli téż pozostać w tyle i starali się zjednać sobie niespokojne plemiona arabskie, które niechętném okiem patrzyły na wzrost potęgi Francyi. W tym celu miał być wysłany J. Richardson, który odbywał podróże po Saharze północnéj w r. 1845—46, do Sudanu, aby zawrzéć z tamtejszemi plemionami umowę korzystną dla Anglii. Pośredniém zadaniem wyprawy miały téż być badania naukowe; na wniosek Bunsena, posła niemieckiego przy dworze londyńskim, towarzystwo geograficzne w Berlinie powołało na jéj kierowników dwóch Hamburczyków, Henryka Barth'a i Adolfa Overweg'a. Wyprawa ruszyła z Trypoli przez oazę Fezzan do ziemi Asben na północo-zachód od jez. Czad. W podróży téj przekonali się nasi badacze, że Sahara nie jest niziną, lecz raczéj wyżyną, przerzniętą licznemi dolinami i pokrytą wieloma olbrzymiemi pagórkami piasku. Po trzymiesięcznym pobycie w krainie Asben wyruszyli podróżnicy z karawaną, wiozącą sól, na południe, ku miastu Kuka w Bornu. W drodze zmarł, w skutek

gorąca i nadmiernych trudów, w nocy z 3 na 4 marca r. 1851, Richardson, tak że tylko Barth i Overweg przybyli do celu podróży. Obaj na statku, który byli przywieźli z Malty, uskutecznili wycieczkę po jeziorze Czad; poczém Barth skierował się na południe od jeziora do ziemi Adamana, kiedy tymczasem Overweg pozostał nad jeziorem. Po dmumiesięcznéj podróży przybył Barth do stołecznego miasta Joli (Yola), przekroczywszy na drodze rzékę Benue, która wpada z lewéj strony do dolnego Nigru. Po powrocie Barth'a, obaj podróżnicy zbadali kraje naokoło jeziora Czad, mianowicie Kanemu (na północo-wschodzie) i Bagirmi (na południo-wschodzie). Mieli następnie zamiar zapuścić się w kraje, położone między jeziorem a Nilem; lecz na nieszczęście Overweg, zapadłszy na febrę, umarł 27 września 1852; poczém Barth puścił się drogą na zachód ku Nigrowi i dotarł do miasta Saa na granicy między środkowym i dolnym brzegiem téj rzéki. Ma ona w tém miejscu do 1000 kroków szérokości, a płynie z szybkością 20 kilometrów na godzinę. Barth nie szedł wzdłuż rzéki, ponieważ Niger od Timbuktu zatacza łuk na południe, lecz w kierunku prostym i przybył do rzeczonego miasta 7 września r. 1853. Po siédmiomiesięcznym tamże pobycie, podczas którego nieustannie musiał się miéć na baczności i nie mógł się do łóżka położyć bez broni, powrócił znów do m. Kuka. Nim jeszcze dosięgnął celu, spotkał się z E. Voglem z Lipska, którego w lutym r. 1853 wysłano z Anglii, aby ze stanowiska astronomicznego oznaczył kraje odkryte przez obu badaczów.

Spotkanie nastąpiło między Kano a Kuka; poczém Barth udał się do tego ostatniego miasta, stamtąd dotarł do Murzuku na Fezzanie i dnia 8 września r. 1855 wylądował w Marsylii. Vogel zamierzał przedrzéć się od jeziora Czad ku Nilowi, lecz na rozkaz sułtana Wadaj'u (na wschód od jeziora) został zamordowany. Na odszukanie podróżnika wyprawiono aż 7 ekspedycyj; z nich dopiéro ta, którą dowodził K. Beurmann cel osiągnęła, lecz i ten podróżnik śmiercią przypłacił swą odwagę (w styczniu r. 1863).

W tym samym czasie kiedy badano Saharę środkową i wschodnią, rozszérzał się zakres wiadomośc, o zachodniéj jéj części, która dotychczas mało była znaną. Już w r. 1852 podróżnik francuski L. Panet przebył ją w kierunku od St. Louis, osady francuskiéj przy ujściu rz. Senegalu, do miasta portowego Magadoru na terytoryum marokańskiém. Jego następcą był również Francuz, Vincent (r. 1860). Ludność tych okolic składa się z pasterzy berberyjskich, którzy w krajach, leżących bliżéj Senegalu, znajdują dość pastwisk dla stad swoich. Płeć ich jest brunatna; z oczu patrzy bystrość; włosy mają kędzierzawe. Kobiéty nie zakrywają twarzy, lecz noszą długie szaty, odziewające całe ciało. Berberowie tutejsi nie kochają się wprawdzie w wielożeństwie, lecz za to w rzeczy rozwodu nie szukają ważnych przyczyn Między 21—23° szér. półn. ma swe siedziby plemię „Uled-Delim", którego niewiasty słyną z wdzięków. Włosy mają gładkie, oczy wielkie, nos grecki, zęby białe wysmukła kibić, oraz zgrabne ręce i nogi dopełniają

powabnéj całości. Z miast zasługuje na wzmiankę Szyngit, którego mieszkańcy trudnią się głównie kopaniem soli w pobliskich kopalniach i rozwożeniem; znajduje się ono w krainie Aderer, którą z północy odgradzają olbrzymie wzgórza piasku. Stąd prowadzi droga koło innego pasma, bardziéj na północ położonego, Tiris, do Tafiletu, głównéj oazy zpomiędzy południowych marokańskich. Na wschód od drogi karawanowéj, prowadzącéj z Tafiletu do Timbuktu, leży kraj Tuaregów, którzy zamieszkują Saharę środkową. Kraje te przebył w r. 1859 podróżnik francuski J. Duveyrier; zwiédził on naprzód Tuggurt, główne miasto Vad Rhir'u, następnie oazę Ghardaja, zwłaszcza stołeczne jéj miasto Gerara, zbudowane na pagórku i dość dobrze obwarowane. Mieszkańcy wyznają wiarę mahometańską w formie piérwotniejszéj niż inni muzułmanie, choć ci ostatni mają ich za kacerzy. Stamtąd podążył Duveyrier ku oazie El-Golea, na południo-zachód od Ghardaja, i po sześciu dniach przybył do niéj piérwszy z Europejczyków. Miasteczko na owéj oazie liczy 1300 głów i dzieli się na dwie części: górną, zbudowaną na skale i opasaną wysokim murem, tudzież dolną między piérwszym pagórkiem i na pochyłości drugiego mniejszego. Domy składają się poprostu z cztérech ścian glinianych, pokrytych gałęźmi palmowemi; zawierają 2—3 izdebek i małe podwórko. Od téj oazy, znajdującéj się na południowéj granicy Algieru, prowadzi droga daléj w kierunku południowo-zachodnim ku całéj grupie oaz, zwanéj Tuat; głównem miastem jest tu Salah, któ-

rego ludność pośredniczy w handlu między Afryką północną a środkową. Na wschód od rzeczonéj miejscowości, nad granicą algierską lecz już w państwie trypolitańskiém, znajduje się ważna oaza Ghadames. Ludność, według relacyi Duveyrier'a, należy do szczepu berberyjskiego, różni się wszakże od Tuaregów pochodzeniem, mową a zwłaszcza zręcznością w przemyśle i handlu. Na południe od krajów, o których była mowa, leżą siedziby potężnych Tuaregów, koczowników berberyjskich, które sięgają na wschodzie aż do Tuat'u, na południu do Timbuktu, a na północy do południowych oaz algierskich. Postawy kształtnéj i wzrostu dobrego, uchodzą za najpiękniejszy typ Afrykańczyków. Ubiérają się całkowicie, po największéj części w materyą bawełnianą barwy ciemnoniebieskiéj twarz zasłaniają dwa razy obwiniętą chustką „litham" w ten sposób, że tylko środkowa część oblicza i koniec nosa wygląda, a oczy i nos są zabezpieczone od piasku. Dzielą się na wiele pokoleń, z których liczne z powodu usposobienia wojowniczego nieustannie toczą z sobą walki.

Wschód Sahary zajmują przeważnie Tibbuowie; kluczem do ich krajów jest Trypolis, skąd też po większéj części puszczają się podróżnicy po tych krainach. Stąd także wyruszył w pamiętną trzecią podróż po Afryce północnéj sławny podróżnik niemiecki Gerard Rohlfs, rodem z Bremy (1865). Już w r. 1861 wyprawił się był Rohlfs w piérwszą podróż do Marokko, gdzie, zyskawszy względy osób u steru rządu będących, przebył rok cały, spędzając czas na licznych i dalekich

wycieczkach po kraju. Według poglądu Rohlfs'a, łańcuch Atlasu ciągnie się tylko w Marokko, daléj zaś na wschód położone pasmo algierskie inny już nosi charakter, składając się z obszernych wyżyn, przed któremi wznoszą się grzbiety górskie. Właściwy Atlas ma kształt podkowy, zwróconéj ku północo-zachodowi i kończącéj się z jednéj strony przylądkiem El-Deir nad morzem Śródziemném, z drugiéj zaś przylądkiem Ghir nad oceanem Atlantyckim. Ku północo-zachodowi pasmo przechodzi w nizinę stopniami; na południo-wschodzie zaś spuszcza się spadzisto, wysyłając przytém (pod 31° szer. półn. a 5° dług. zach.) na południo-zachód obszerne pasmo, biegnące równolegle do Atlasu. Niedaleko znajduje się właściwy węzeł górski, z którego biegnie więcéj odnóg na wschód i południe; zarazem wyniosłość traci w tych stronach charakter łańcucha górskiego, zachowując go tylko w kierunku północnym aż do swego krańca nad morzem Śródziemném. Wyniosłość Atlasu zwiédził w późniejszym czasie (na wiosnę r. 1871) botanik angielski J. Hooker; zatrzymał się on najdłużéj w części zachodniéj i zauważył, że suchość powietrza, płynącego od strony Sahary, którego nawet śniég obficie w górach leżący (choć jeszcze w miesiącu kwietniu trzymał się na wysokości 2400 metrów) i tający w lecie nie jest w stanie wilgocią nasycić, jakoteż nadzwyczajna stromość skał stoi na zawadzie rozwojowi roślinności.

Ludność marokańska jest mięszaniną Arabów, Berberów, Żydów i Murzynów; główną wszakże klasą

są Berberowie, posiadający $^4/_5$ wszystkich gruntów; kiedy tymczasem $^1/_5$ tylko należy do Arabów, jakkolwiek ci ostatni składają $^2/_3$ wszystkiéj ludności. Berberowie mówią narzeczem „szellah", które téż stanowi właściwie cechę odróżniającą ich od Arabów; zresztą bowiem z powiérzchowności i innych cech cielesnych są do siebie podobni. Kobiéty, tak Berberów jak i Arabów, dojrzéwają szybko, odznaczając się w młodości piękną powiérzchownością i po większéj części przyjemną twarzą; lecz, dorósłszy, z wiekiem szybko się starzeją, a przy niedostatecznem pożywieniu chudną i w saméj starości wstrętnemi się stają z powodu licznych zmarszczek. Życie rodzinne nosi charakter patryarchalny. Nazwisk rodowych nie używają; mają tylko imiona: Arabowie, biblijne lub z koranu wzięte, Berberowie, berberyjskie i pogańskie. Dzieci nie wychowują starannie; przez piérwsze dwa lata matka nosi dziecko na plecach i karmi je piersią; późniéj oddają chłopca na naukę do taleba lub do fakima; tam wielu z trudnością do tego dochodzi, że się nauczą na pamięć kilku rozdziałów z koranu, których potrzeba do codziennych modłów. Dorósłszy, córki pomagają matce w gospodarstwie domowém, synowie pasą stada, uprawiają rolę i trawią pozostałą część roku w bezczynności. Żydzi marokańscy mieszkają po miastach w osobnych dzielnicach; liczą ich do 200,000. Mężczyźni słyną ze strasznego niechlujstwa i zaniedbanéj odzieży; za to żydówki odznaczają się kształtném ciałem i powabném obliczem. Napotykamy również w Maroko wielu Murzynów, przeważnie

z krajów nad górnym Nigrem; położenie ich jest znośne, gdyż, po większéj części, będąc z początku niewolnikami, otrzymują później wolność.

W następnym (1862) roku udał się G. Rohlfs w drugą podróż, z Tangeru (nad cieśniną gibraltarską) przez oazę Tuat do Trypolidy; a zaledwie wrócił z téj wyprawy do Europy, pośpieszył znów w marcu r. 1865 do Trypoli, by po raz trzeci puścić się w wędrówkę po Saharze. Pierwotnie miał on zamiar skierować się prosto ku Timbuktu; atoli po dłuższym pobycie w Ghadames zmuszony został przez Tuaregów zawrócić do Misdy. Stamtąd skierował się do Murzuku, którego mieszkańcy trudnią się przeważnie handlem niewolnikami, tudzież różnemi wyrobami, sprowadzanemi tutaj z wnętrza Afryki. W dalszym ciągu zwiédził oazę Bilmu, leżącą na drodze ku jezioru Czad. Przybywszy do Kuka, stolicy Bornu, doznał uprzejmego przyjęcia ze strony sułtana Omara. Według opisu Rohlfs'a miasto samo, położone na brzegu zachodnim jeziora, składa się z dwóch dzielnic, przegrodzonych szeroką przestrzenią; obie dzielnice są ufortyfikowane i otoczone dokoła małemi wioskami i gromadkami domków. Prócz głównéj ulicy „Dendal", na któréj ustawicznie panuje ruch ożywiony, jest tu cicho; najruchliwszém staje się miasto wtedy, gdy 15—20,000 ludzi ze wszystkich niemal krajów przybywa na jarmark.

Na południo-zachodzie im daléj, tém więcéj lasów się napotyka: rosną one na gruncie płaskim,

miejscami falistym, w ogóle wzniesionym, gdy tymczasem na południu rozciąga się bagnista kraina Ulandala.

Rohlfs zamierzał puścić się stamtąd do państwa Wadaj'u; zważywszy jednak niebezpieczeństwo takiego przedsięwzięcia i widząc brak potrzebnych środków, postanowił wyruszyć w kierunku południowo-zachodnim ku wybrzeżu gwinejskiemu. Tą drogą doszedł do wielkiego miasta Jakoba w państwie Bauczy, które, zajmując przestrzeń górzystą, cieszy się klimatem umiarkowanym; prócz tego bliskość rzéki Benue, która stąd toczy swe fale na południe, ułatwia komunikacyą handlową z przystaniami w Gwinei. Wędrując daléj, doszedł 19 marca r. 1867 do rz. Benue, po któréj płynąc w łodzi z pnia wydrążonego, przybył 28 marca do osady angielskiéj Lokoja. Po krótkiéj żegludze w górę Nigru, udał się znów przez lesistą krainę Joruba, leżącą na północ od zatoki Benin; tu znowu dosięgnął miasta portowego angielskiego Lagos, ważnéj osady handlowéj, skąd już na okręcie angielskim popłynął do Liverpool'u.

Na zimę r. 1874 Rohlfs wyruszył w nową podróż po Saharze, zamierzając zwiédzić część jéj najdaléj na wschód posuniętą, mianowicie pustynię Libijską. Według jego sprawozdań, kraj ten należy do najstraszniejszych pustyń i zupełnie da się porównać do morza piasków. Już na samém wybrzeżu, wylądowawszy w pobliżu zatoki Wielkiéj Syrty, przekonywamy się, że to pustynia; aczkolwiek nieco bardziéj na wschód, gdzie się wznosi wyniosłość wapnista, spotykają się

pojedyńcze miejscowości urodzajne, jak naprzykład kraina między miastami Benghasi a Dernet. Posuwając się na południe, spostrzegamy, iż wyniosłość stromo przechodzi w głęboką wklęsłość, w któréj znajdują się dwie oazy: Andżyla i daléj na wschód Sivah; ta ostatnia ze swemi jeziorkami, bujnemi lasami palmowemi i gajami pomarańczowemi, figowemi i oliwnemi, podobną jest do małego raju. Daléj ku stronie południowéj pustynia wznosi się bardzo nieznacznie, poczém spadzisto spuszcza się na wschodzie ku krajom nad Nilem; granice zaś południowe i zachodnie są zupełnie nieznane. W jesieni r. 1878 puścił się tenże podróżnik na nową wyprawę po Afryce północnéj, mianowicie w towarzystwie czecha d-ra Steckra.

Do najgodniejszych uwagi podróży po Afryce północnéj należy w najnowszych czasach (1869—74) podróż niemca dr. Gustawa Nachtigal'a. Podróżnik ten, zawiózłszy sułtanowi Bornu podarki od króla pruskiego, zwiédził, po sprawieniu swego poselstwa, ziemię naokoło jeziora Czad, zwłaszcza państwo Wadaj, skąd przez Darfur, Kordofan i Egipt powrócił do Europy. Wyruszył w połowie lutego r. 1869 z Trypoli do Murzuku, dokąd przybył po 36 dniach podróży; z Murzuku udał się do Tybesty, oazy leżącéj na południo-wschodzie. Był to piérwszy europejczyk, który się odważył wkroczyć do środka ludności, głośnéj po całym obszarze Sahary z chciwości, chytrości i okrucieństw, mianowicie: plemienia „Reszadów.“ Kiedy w lipcu przybył do piérwszéj wioski Tao, która właściwie z kilku tylko rozwalonych chat się składa, nie

zastał tam żadnego mieszkańca; brak żywności zmusił jéj ludność, zamieszkałą na równinie, albo się usunąć w góry Tarso, które wzdłuż Tibesti z północy na południe się ciągną, lub przesiedlić się do Bardaju, stolicy kraju, leżącéj na wschodnich stokach łańcucha. Stamtąd udał się Nachtigal doliną Zuarską na południe; wody tam większa obfitość, roślinność bujniejsza, i kraj cały przedstawia się bardziéj malowniczo. Ponieważ jednak ludność stawiała mu na drodze przeszkody, musiał powrócić do Tao. Za to przedsięwziął podróż do miasta Bardaj'u. Droga prowadziła przez pagórki piaszczyste, kamieniem wapiennym pokryte; przekroczywszy łańcuch w pobliżu najwyższego szczytu Tusidda (2400 metrów) i spuściwszy się ze stoków gór znalazł się w Bardaju, gdzie go bardzo niegościnnie przyjęto. Jeszcze na drodze był w niebezpieczeństwie, aby ludność, podniecona przez fanatyków muzułmańskich, krzywdy jakiéj mu nie wyrządziła; z trudnością dostał się do domu naczelnika Arami'ego, który mu schronienia użyczył. Sułtan nie chciał go do siebie przypuścić; to téż Nachtigal, miejscowości nawet w ogólnych zarysach nie poznawszy, rad był, że przy pomocy swego opiekuna szczęśliwie powrócił do Murzuku.

W roku 1872 powziął Nachtigal zamiar zbadać ziemię Bagirmi, na południo-wschód od Bornu. W kraju tym i w ziemi niżéj na południe położonéj mieszkają murzyni, zwani „Sonrhaj“, wzrostu średniego i dość przyjemnéj twarzy. Odzienie ich składa się ze skór kóz, gazeli lub dzikich kotów, któremi przepasują bio-

dra; włosy pielęgnują z wielką starannością i splatają je w warkocze grzebieniaste lub skręcone w kształcie rogów. Uzbrojeni dzidami i nożami harcują zręcznie na małych konikach bez siodła. Wierzą w Najwyższą Istotę, która przemawia do nich gromem a objawia się drzewem; z tego drzewa naokoło obłupują korę, i trzymają je w małéj chałupce w pobliżu swych mieszkań. W czary najmocniéj wierzą; śmierć naczelnika albo ulubionego konia przypisują sprawie czarownika. Są pilnemi rolnikami, a płody rolnictwa wymieniają na tytuń, perły i muszle „kauri"; prócz tego hodują także kozy, owce, a zwłaszcza psy dla mięsa.

W następnym roku wyruszywszy z Kuki, udał się Nachtigal na południe od jeziora Czad, przez Fittri do Abeszr'u, stołecznego miasta Wadaju. Tutaj doznał bardzo łaskawego przyjęcia od szeika Alego i mógł swobodnie prowadzić swe badania. Ludność, odznaczająca się usposobieniem swarliwém i okrutném w skutek nadmiernego picia „melissy", nie posiada zdolności do przemysłu, jak o tém świadczą bardzo biédne chaty, niepozorne sprzęty domowe i tkaniny bardzo niezręcznie wyrobione. Prócz tego cierpi wiele miejscowości brak wody. Handel niezbyt kwitnie. Pod rządami Alego wiele rzeczy się polepszyło; głównie dba on o to, ażeby każdy płacił długi, nie pożądał cudzego dobra, w boju był waleczny, i aby handel się wzmagał.

Na wschód od Wadaju znajduje się kraina Darfur, w Sudanie wschodnim, wcielona od r. 1874 do

państwa egipskiego; tę także zbadał Nachtigal. Podróżnik nasz przekonał się, że ziemia jest nieurodzajna z powodu braku wody; napotykamy wprawdzie potężne drzewa, lecz w ich cieniu nie można używać chłodu dla mnóstwa ostu. Zwiédził też Nachtigal sąsiedni Kordofan. Kraj ten sięga na wschodzie aż do Białego Nilu i zajmuje już część wielkiéj doliny Nilowéj, gdy tymczasem na zachód od głównego miasta El-Obeid ma charakter bardzo jednostajny. Przewędrowawszy tę ziemię, udał się Nachtigal z powrotem przez Egipt do Europy.

Zwiédziwszy z naszemi podróżnikami Saharę, Sudan środkowy i wschodni, zwróćimy teraz uwagę na badanie tych ziem, które do dziś dnia bardzo mało są znane, mianowicie w Sudanie zachodnim. Piérwszym podróżnikiem europejskim po tych krajach był Mungo Park, który właśnie zagaił szereg najnowszych badań w tym kierunku. Piérwsza jego wyprawa odnosi się do lat 1795—97, kiedy go towarzystwo londyńskie wysłało w celu, ażeby od strony Gambii dostał się do wnętrza lądu stałego. Ujście téj rzéki należy do Anglików, również jak kilka osad okolicznych, między któremi główną jest Bathurst. Na południe od téj rzéki leżą na wybrzeżu siedziby Mandyngów, a sięgają aż do zachodnich i północnych stoków łańcucha, z którego wypływają: Senegal, Gambia i Niger. Przez terytoryum owych Mandyngów posuwał się Mungo-Park do wnętrza. O Mandyngach podaje bardzo zajmujące wiadomości, z których przytaczamy następujące. Mężczyźni są wzrostu średniego, dobrze zbudo-

wani i silni; kobiéty łączą z piękną powierzchownością żywość i dobroć. Ciekawość, łatwowierność, zamiłowanie w ozdobach są powszechnemi rysami. Mężczyźni okazywali wielką chęć okraść podróżnika, o czém stąd wnosił, iż rzeczy jego miały dla nich wielką wartość. Stosownie do usposobienia osobistego to okazywali chciwość, to znów przez gorliwość w wierze byli mu nieprzyjaźni; za to kobiéty okazywały mu zawsze współczucie, a w chorobach serdecznie go pielęgnowały. Wielożeństwo jest u nich zwyczajem. Młodzieniec, upatrzywszy sobie dziewczynę po swéj myśli, stara się zawrzéć z rodzicami umowę o wynagrodzenie, przyczém jako zadatek daje im kilka orzechów, które z nim spożywają; zezwolenie dziewczyny na związek nie jest koniecznem. W dzień wesela zabijają barana lub wołu; wieczorem starsze niewiasty ubiérają pannę młodą w szatę weselną z białéj bawełny, sadzają pośrodku chaty i udzielają jéj rad, a młode dziewczęta kołem tańczą i śpiewają. Tymczasem pan młody bawi swych gości przed chatą i ugaszcza ich przy odgłosie śpiéwów i tańców, które zazwyczaj przez całą noc trwają. O północy starsze niewiasty odprowadzają pannę młodą do chaty, która ma jéj służyć odtąd za mieszkanie, i pan młody na dany znak oddala się. Zrana kobiéty wypuszczają nowozaślubionych, oglądają łoże i tańczą naokoło niego; inaczéj związek byłby nieważny. Dzieci karmią do trzeciego roku; ledwie że dziécię zacznie chodzić, pozostawia mu się zupełna swoboda i tym sposobem zmucza się, aby się samo wystrzegało niebezpieczeństw.

Doszedłszy do lat, dziewczęta przędą bawełnę i wykonywają różne prace domowe; synowie pomagają w pracy na polu. Mieszkania są to niewielkie, niewygodne chatki; pewna liczba chatek, w których najczęściéj pojedyńczo mieszkają żony, ogrodzona jest płotem i tworzy siedzibę jednéj rodziny. Więcéj rodzin tak społem mieszkających w sąsiedztwie stanowi wioskę.

Lata liczą podług deszczów, rok dzielą na miesiące, a dnie oznaczają podług słońca. Gdy się pokaże księżyc po nowiu, sądzą, że nanowo powstał i modlą się, dziękując Najwyższemu; po takiéj modlitwie plują sobie naręce i myją twarz.

Mungo Park szedł z początku przez posiadłości Mandyngów, aż przybył do miasta Mediny, na pograniczu między środkowym i dolnym biegiem Gambii; tam spotkał się z królem téj krainy, który mu udzielił pozwolenia na przejście przez jego ziemię. Przeprawiwszy się na prawy brzeg Gambii, dostał się do państwa Bondu, a 21 grudnia r. 1795 do miasta stołecznego, Fattekondy. Tutaj podobnież miał posłuchanie u króla, któremu tak się spodobał niebieski surdut naszego podróżnika, iż tenże musiał monarsze darować swe ubranie. Odwiédził także żony królewskie, które najbardziéj podziwiały jego białą cerę i kształt nosa. Przebywszy Senegal w górnym biegu skierował się Mungo Park ku północo-wschodowi do państwa Kaarty. Król tamtejszy radził mu, ażeby nie szedł daléj, z powodu wojny z sąsiedniém państwem Bamba-

ra; lecz Mungo Park nie usłuchał rady i został wzięty do niewoli przez Alego w Sudamarze. Uciekłszy z niewoli, udał się daléj w kierunku południowowschodnim. W pobliżu miasta Segu dosięgnął, piérwszy z Europejczyków, rzéki Nigru, a po krótkiéj podróży w kierunku wschodnim dostał się aż do miasta Silli; tu postanowił wrócić.

W drugiéj podróży (1805 r.) doszedł aż za Medinę piérwszą drogą; potém skierował się ku rzéce Nigrowi przez łańcuch Tambaurski, Koinę i Maniakorro do miasta Bangassi, skąd, dla braku ryżu, pośpieszył ku granicy Bambarskiéj. Koło Bammaku dosięgnął Nigru i popłynął aż do Sansadingu, bardzo ożywionego miasta handlowego. Mansong, władca Segu, obiecał dać naszemu podróżnikowi za hojne podarunki łodzie do dalszéj wyprawy, posłał mu wszakże po długiéj zwłoce tylko trzy, po większéj części niezdatne do użycia, z których dopiéro nową trzeba było zrobić. Dnia 16 listopada ukończył Mungo Park swój dziennik i posłał go przez tłumacza Izaaka do Gambii, jakby przeczuwając bliski koniec życia; rzeczywiście téż, w czasie dalszéj żeglugi po Nigrze, do ujścia którego chciał się dostać, spotkała go śmierć koło Bussy między nieprzyjaznemi murzynami.

Zamiar Mungo Parka podjął znów w r. 1818 podróżnik francuski Mollien. Jak wiadomo, kraj od ujścia Senegalu aż do wybrzeża Sierra-Leone, pod nazwą Senegambii, pozostaje w posiadaniu Francuzów; wpływ ich rozciąga się po części i daléj od brzegu na

plemiona murzyńskie. Mollien oznaczył najpiérw źródła Senegalu, jak również Gambii i Rio-Grande. Przez długi czas nic w tych stronach nie przedsiębrano w tym kierunku; aż dopiéro niedawno, za rządów generała Faidherbe'a, ówczesnego gubernatora Senegambii, udali się oficerowie marynarki francuskiéj w podróż po Sudanie górnym. Zasługuje zwłaszcza na uwagę wyprawa oficera E. Mage'a i dr. Quintin'a w latach 1863—66. Puścili się naprzód w górę Senegalu, przyczém ci, co nie mogli płynąć w łodziach, szli wzdłuż rzéki; tak dostali się do Medyny, najdaléj na wschód w tych stronach położonéj osady francuskiéj. Stamtąd posuwali się wzdłuż rzéki, aż dosięgnęli mocnéj warowni Kundian; poczém, po trzech dniach podróży przez pustynię, oddalili się od Senegalu i skierowali się więcéj ku wschodowi, do państwa Segu, którego stolicę również zwiédzili.

Na południe od Senegambii leży niewielka osada angielska Sierra-Leone, któréj ludność składa się z murzynów „Gallinas“. Charakteru są oni bojaźliwego i grze namiętnie się oddają; odznaczają się zręcznością w stawianiu warowni, w wyrzynaniu z drzewa i obrabianiu żelaza. Jeszcze daléj na południe graniczy z tą krainą niezależne państwo murzyńskie Liberia, skąd w. r. 1868 murzyn Benjamin Anderson przedsięwziął podróż do Musardu w ziemi Mandyngów; podróż ta zasługuję na uwagę przez to, iż wtedy po raz piérwszy w tych stronach przekroczono łańcuch i dowiedziono, że ów system gór nie jest bynajmniéj nieprzerwaném pasmem.

W końcu wypada nam zwrócić uwagę na badania, dokonane na wschodzie Afryki północnéj, a tyczące się Egiptu i krajów nad morzem Czerwoném. Pomijając zmiany, przez które przechodził Egipt właściwy w najnowszych czasach, ograniczymy się na badaniach nad górnym Nilem. Nubia zwiedził jeszcze w latach 1812—14 podróżnik szwajcarski J. L. Burckhardt; w krótce po nim, w r. 1819—22, Francuz Fran. Calliaud zapuścił się Nubią górną aż do 10° szér. półn. Źródła Nilu niebieskiego oznaczył jeszcze w końcu zeszłego wieku podróżnik angielski J. Bruce; jego porzecze i układ pionowy tych krajów zbadali dwaj podróżnicy francuscy: K. Lefebvre w l. 1839—43 i G. Lejean w latach między 1862—64. Dwie wyprawy Mehemeda Alego, z których piérwsza doszła wzdłuż Nilu do 6° szer. półn. (1839), a druga (1842) aż do miasta Gondokoro, jak również podróże w tym samym czasie Austryaka Józ. Rusegerra po krajach na południe od Kordofanu, rozszérzyly znajomość krain nad górnym Nilem. Znajomość takowa z biegiem czasu coraz rosła, gdyż wice królowie Egiptu, postępując w podbojach, rozszérzali swą władzę na południu. W téj epoce miasto Chartum, leżące przy zbiegu Nilu niebieskiego z białym, stało się punktem środkowym dla wszystkich podróżników, którzy zamierzali dostać się z północy wzdłuż rzéki Nilu do wnętrza Afryki. W tém piérwszém mieście handlowém nad górnym Nilem schodzą się wszystkie ważniejsze drogi karawanowe.

Na południe od Chartum a na wschód od Kordofanu, o którym jużeśmy wspominali, znajduje się między obu Nilami kraina Sennaar. W północnéj swej części jest ona zasiana miastami i wioskami, zamieszkanemi przez ludność bardzo mięszaną; kiedy tymczasem środkową część stepową zaludniają koczujący Arabowie, na południe zaś mieszkają murzyni, zwani Hammedżowie, stanowiący przejście do murzynów Afryki środkowéj. Idąc ku wschodowi przybywamy do Abisynii, ktora przez góry różni się zasadniczo od sąsiednich krajów zwrotnikowych. Południowe prowincye téj ziemi zwiédził w r. 1872 austryak A. Marno, który posunął się téż daléj na południe do kraju Gallaów. Abisynia (czyli Habesz) jest to kraj górzysty, do którego prowadzi mało przesmyków górskich i to bardzo niewygodnych; wyniosłość wznosi się stopniami, przecięta jest licznemi pasmami, które otaczają główną wyniosłość, wysoką na 2200 metrów; na niéj leży piękne jezioro Cana, w którém początek bierze Nil niebieski.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

CZYTELNIA
bezpłatna
RZEMIEŚLNIKÓW
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

II. Afryka południowa.

Ze wszystkich podróżników, którzy się poświęcili badaniu Afryki południowéj, najwięcéj zasług położył Szkot Dawid Livingstone. Był on synem biédnego ojca, piérwotnie zajmującego się sprzedażą herbaty, potém dyakona przy kościele independentów w Hamiltonie. W dziesiątym roku swego życia musiał Dawidek chodzić na zarobek do przędzalni; za piérwsze zarobione piéniądze kupił sobie gramatykę łacińską, a niezależnie od tego uczęszczał pilnie do szkoły wieczornéj. Z zamiłowaniem czytywał podróże i nareszcie postanowił udać się jako misyonarz do Chin. Zostawszy licencyatem medycyny, już zamierzył tam wyruszyć, kiedy (r. 1840) wybuchła wojna między Anglią i Chinami. Udał się wtedy do Afryki południowéj, gdzie przez lat 16 pracował jako nauczyciel i lekarz, między półdzikiemi, lecz spokojnemi plemionami, odbywając zarazem podróże, które mu zjednały imię sławnego. Piérwszém jego dziełem było przejście

pustyni Kalahari, która się uważała za szaniec między północą a południem. Kraj ten leży na północ od środkowego biegu rzéki Pomarańczowéj, aż do jeziora Ngami; słynie jako pustynia, dlatego że nie ma wody bieżącéj ani studni, jakkolwiek posiada dość trawy i żywi sporo ludności; rośnie tam wiele traw i niskich krzaków, a nawet drzewa; pustynia jest równiną, choć przerzniętą wyschłemi łożyskami rzék. Sprzeczne napozór zjawiska powyższe Livingstone objaśnia w tén sposób, że położone na krańcach pustyni pagórki i skały dostarczają jéj wody, która biegnie podziemnemi żyłami. Okolicę tę zamieszkują Bakalaharyowie, plemie betszuańskie, lud charakteru łagodnego, spokojny, utrzymujący się z chowu kóz, oraz z hodowli tykw i melonów. Oprócz nich mieszkańcami pustyni są Buszmanowie, lud koczowniczy, żywiący się zwierzętami upolowanemi, jakotéż korzonkami i jagodami, które im żony zbiérają.

Za pustynią doszedł Livingstone do ważnéj rzéki Zouga, któréj brzegiem się posuwając dosięgnął jeziora Ngami. W Kapsztadzie wiedziano o niém przedtém z opowiadań krajowców; po raz piérwszy wtedy (1 sierpnia 1849) ujrzał jezioro to Europejczyk. Zajmując znaczną przestrzeń, nie ma ono jednakże znaczenia dla żeglugi, gdyż brzegi są piaszczyste, porosłe trzciną i bagniste, woda zaś bardzo płytka; tak że łodzie trzeba drągami popychać. W porze dészczowéj za to przybywa mu znacznie wody, przez co rozmiary jego są znów o wiele poważniejsze.

W drugiéj podróży (1850) umyślił Livingstone założyć osadę handlową i misyą; zabrał téż z sobą żonę i dzieci. Droga prowadziła brzegiem rzéki Zougi; jednakże, z jednéj strony mucha „cece“, z drugiéj choroby dzieci zmusiły naszych podróżnych do rychłego powrotu. Zaraz wszakże na wiosnę roku następnego (1851) wyruszył Livingstone w nową podróż. Przebywszy Zougę, skierował się na północ do ziemi plemienia Makololo nad rzéką Czobi. Rządził tam naczelnik Sebituane, który, rad będąc zawiązać stosunki z białemi i dowiedziawszy się o zamiarach Livingstone'a, polecił innym naczelnikom, aby naszemu podróżnikowi przychodzili w pomoc w czasie wyprawy. Droga prowadziła przez kraj z bagnami solankowemi, następnie przez pustynię do ziemi plemienia „Banajoaa,“ które, mieszkając w pobliżu bagien, cierpi wiele od komarów; stamtąd po dłuższéj podróży dosięgnął Livingstone brzegów rzéki Czobi, która graniczy z państwem Sebituana. Ponieważ na brzegu południowym dokuczały muchy „cece“, przeprawił się Livingstone na brzeg północny, gdzie ich już niéma; jednakże w drodze 43 woły padły ofiarą. Mucha cece (glossinia morsitans) nie większa od naszéj muchy, barwy brunatnéj jak pszczoła, ze 3—4 żółtemi prążkami na tyle. Za pomocą długich skrzydeł lata bardzo zwinnie, wydając sobie właściwe brzęczenie. Ukąszenie jéj jest niebezpieczne dla wołów, koni i psów; lecz ludzie, zwierzęta dzikie i ssące cielęta są od ukąszeń wolne. Jad dostaje się nie przez żądło, ani przez zniesione pod skórą jajeczka; można widzieć, jak mu-

szka przy ssaniu wpuszcza pod skórę ryjek i znów go wyciąga, przyczém staje się koloru czerwonawego, a odwłok jéj się nadyma. Zwierzę ukąszone czuje swędzenie, jakby od komara; po niejakim czasie z uszu i oczu poczyna płynąć materya, sierść się najeża, stworzenie nagle chudnie, muskuły tracą sprężystość, aż nakoniec biédne zwierze zdycha. Silne woły chudną szybko po ukąszeniu; jeżeli zrobić sekcyą na zdechłem zwierzęciu, pod skórą znajdujemy sieć komórek podobnych razem do mydlin, tłuszcz staje się zielonożółtym i oleistym, trzewia są blade i puste, pęcherz żółciowy nadęty, a zwierzę tak mało krwi posiada, że ledwie rękę możnaby w niej powalać. Osłom, kozom, antylopom, bawołom mucha ta nie szkodzi, choć ich pokrewieństwo z wyżéj rzeczonemi jest dość bliskie. Nie znosi zapachu gnoju; dlatego téż lekarze krajowcy mięszają łajno z mlékiem ludzkiém i ziołami i tą mięszaniną pociérają zwierzęta; środek taki pomaga w każdym razie tylko chwilowo.

Po krótkiéj żegludze na Czobi spotkał się Livingstone z naczelnikiem Sebituanem na wyspie, dokąd tenże podążył na wieść o przybyciu białych. Serdecznie powitany, zyskawszy zapewnienie swobodnego podróżowania po krajach sąsiednich, przybył Livingstone do głównéj osady Linyanti w towarzystwie Sebituana. Na nieszczęście, ten ostatni wkrótce potém zakończył życie; jednakże i następczyni jego, córka, zostawiła naszemu podróżnikowi zupełną wolność, z któréj on korzystając udał się w kierunku północnozachodnim, i w koncu lipca r. 1851 doszedł do rzéki

Zambezi, największéj w Afryce południowéj. Ponieważ te kraje były niezdrowe, a Livingstone podróżował z rodziną; postanowił zatém wrócić do Kolobengu, stamtąd wyprawić rodzinę z powrotem do Anglii i wtedy przedsięwziąć nową wielką wyprawę. Była to trzecia w ogóle podróż jego, a piérwsza z szeregu wielkich. W lipcu r. 1852 opuścił Kapsztad i przebywszy rzékę Pomarańczową wkroczył na terytoryum plemienia „Griqua", pochodzacego od krajowców pomieszanych z Europejczykami; stąd ruszył daléj w kierunku północnym ku rzéce Czobi do miasta Linyanti, do którego zawitał 23 kwietnia 1853 r. Tutaj, po krótkiém panowaniu starszéj siostry, rządził syn Sebituana, ośmnastoletni Sekeletu; który, podobnież jak niegdyś ojciec, przyjął Livingstone'a bardzo gościnnie.

Plemię panujące, Makololo, rozproszone jest po różnych okolicach; główne zaś jądro ludności tworzy plemię niewolnicze, zwane Makalaka tj. słudzy. Zajmują się uprawą pól i hodowlą dobytku, któremu wiele starań poświęcają; dopóki rogi rosną, zeskrobują je z jednéj strony, żeby róg w tę stronę się zakręcał; rozgrzanemi nożami wypalają pręgi na ciele, żeby ostatecznie inne przybrało zabarwienie. Dla Livingstone'a już byli przygotowali pole zasiane kukurydzą; naczelnik podarował mu woły i krowy, lecz o nauce chrześciańskiéj długo słyszeć nie chciał. Przecież udało się naszemu misyonarzowi nauczyć kilku mężczyzn abecadła. Pobywszy tam kilka tygodni, udał się

Livingstone w dalszą drogę na północ ku rz. Zambezi i na 33 łodziach popłynął w górę doliną Barocu, którą, podobnie jak dolinę Egiptu, zalewa woda, tak iż wioski tylko stérczą nad powiérzchnią wód, niby wysepki. Nie znalazłszy ani tutaj miejsca dogodnego na osadę, postanowił znów wrócić; w mieście Narżele rozłączył się z naczelnikiem i płynął rzéką aż do miasta Seszeke, skąd powrócił do Linyanti. Z Linyanti powziął zamiar udać się na wybrzeże zachodnie, do osady portugalskiéj Loandy. Naczelnik dał mu 27 krajowców za przewodników; między niemi było dwóch Makololo, reszta z plemienia niewolniczego. Dnia 11 listopada wyruszyła wyprawa rzéką Czobi z Linyanti do Zambezi, płynąc potém w górę rzeki doszła do miasta Seszeke, a 9 grudnia zdążyła znów do Narżele. Dalsza podróż prowadziła przez kraj Balondaów, piérwszych bałwochwalców we właściwém znaczeniu, których spotkał nasz misyonarz. Nigdy oni jeszcze nie widzieli białego, choć już wiedzieli od kupców, że na wybrzeżu morskiém mieszkają biali ludzie. Często rządzą tu plemionami i kobiéty. Na propozycyą dwóch takich monarchiń zdecydował się Livingstone odwiédzić ich krewnego, potężnego naczelnika Szinti. Opuścił więc rzékę Libę, dopływ górnéj Zambezi, i skierował się ku stolicy owego naczelnika. Miasto leży na niewielkiém wzgórzu, pośród malowniczéj doliny; szczyci się regularnemi ulicami, złożonemi z czworokątnych domków; każdy domek ozdabiają podwórka lub małe ogródki, opatrzone pię-

knemi płotkami, ocienione drzewami figowemi i trzciną cukrową. Nazajutrz po przybyciu zaprowadzono Livingstone'a do naczelnika Szintego na audyencyą; monarcha siedział pod drzewem na stołku, okrytym skórą lamparcią; za nim w postawie ku ziemi schylonéj znajdowało się aż sto kobiét, daléj widać było lud i wojsko. Po dłuższéj mowie męża Manonki (Manonko nazywała się najmłodsza z rządczyń) i innych, którzy opowiadali co słyszeli o naszym podróżniku, wstał Szinti, słuchający dotąd wszystkich mów w milczeniu, i ogłosił posłuchanie za skończone. Późniéj często rozmawiał Livingstone ze Szintim. Ten ostatni klaskaniem rąk zwykle mu przyświadczał, kiedy podróżnik opowiadał; wogóle okazywał się ludzkim i uprzejmym. Na dalszą podróż dodał Livingstone'owi jednego głównego przewodnika i ośmiu nosicieli, aby go do morza odprowadzili. Przeprawiwszy się przez rz. Libę w kierunku północno-zachodnim, szli obszérnemi łąkami, które wówczas były zalane w skutek wielkich deszczów, około jeziora Dilola i daléj na zachód przez terytoryum Cziboków. Naczelnik ich chciał gwałtem wymódz na Livingstonie albo którego człowieka za niewolnika, albo dar jaki z broni lub dobytku. Za pomocą wojowników Makololo udało się podróżnikowi naszemu zmiękczyć naczelnika, tak iż poprzestał na jednym wole. W czasie dalszéj podróży ludność wiejska nie stawiała przeszkód; mieszkańcy przypatrywali się z podziwem nietyle białemu człowiekowi ile wołom, gdyż w całéj téj krainie, zwanéj Londa, brakuje zwierząt, a ludność żywi się wyłącznie rośli-

nami. W końcu dosięgnął Livingstone osady portugalskiéj Kasandże, najdaléj na wschód położonéj (9° 37' szér. połud. i 17° 49' dług. wsch. podług południka Greenwich), przebywszy wprzód rzékę Quango. Osada leży na wyniosłości i składa się z 30—40 domów kupieckich, ozdobionych ładnemi ogrodami. Podróżnika przyjęli mieszkańcy tamtejsi serdecznie, zaopatrzyli w nową odzież i przez cały tydzień z drużyną jego podejmowali. Pod przewodnictwem murzyna dziesiętnika i z listami polecającemi do kupców w Loandzie, szedł daléj na zachód przez kraj coraz piękniejszy i 31 kwietnia 1854 przybył do miasta Loandy. Schorzały, wycieńczony, znalazł piérwszy przytułek w łóżku u swego rodaka, uprzejmego agenta Gabriela; pomimo troskliwéj pieczy i spokoju, jakich doznawał, cierpiał kilka tygodni na straszną febrę. Jakkolwiek oficerowie marynarki z okrętów, które przybiły do lądu w Loandzie, zobowiązali się przewieść Liwingstone'a do Anglii; on jednak odrzucił ich propozycye, uważając swe zadanie za spełnione dopiéro w połowie. Nie znalazłszy téż dróg z wnętrza Afryki, dogodnych dla komunikacyi wozowéj, ani wogóle porządnych dróg handlowych, prowadzących ku wybrzeżu zachodniemu, postanowił wróeić do Linyanti i stamtąd ruszyć w kierunku wschodnim ku brzegowi wschodniemu; nie chciał téż opuścić swéj gromadki, która znosiła z nim wiernie trudy i niewygody. W końcu więc września wyruszyła nasza wyprawa z powrotem, po większéj części tą samą drogą, zbaczając wszakże dość często, aby Livingstone mógł

poznać sąsiednie kraje; gdy przybyli do Linyanti, lud wszystek powitał ich z radością, a zwłaszcza naczelnik, wielce ucieszony z darów, które mu przysłali Portugalczycy. Po dłuższych przygotowaniach udał się Livingstone (3 listop. 1855 r.) z liczną drużyną w podróż ku wschodowi. Droga szła brzegiem rz. Zambezi. W miejscu, gdzie rzéka ta dosięga w swym biegu punktu, najdaléj na południu leżącego, podróżnik nasz spostrzegł potężny wodospad, zwany przez krajowców Szongwel, przez niego zaś wodospadem Wiktoryi nazwany. Już zdaleka widać parę wznoszącą się słupami; zbliżywszy się spostrzegamy pięć słupów, u dołu białych, u góry ciemnych. Na wyspach i brzegach bujna roślinność; potężny baobab obok palm powiewnych, srébrny „mohonono“ podobny do cedru libańskiego i drzewa, przypominające nasze dęby i wiązy, ozdabiają krainę. Livingstone piérwszy z Europejczyków przedarł się do tego kraju; wodospad obserwował z wyspy, leżącéj na krańcu przepaści, do któréj toczy się woda. Przepaść tę tworzy olbrzymia rozpadlina w twardym bazalcie, która się ciągnie od brzegu prawego do lewego i daléj jeszcze w głąb kraju na 60 kilometrów. Do niéj wpadają wody rzéki, która przed wodospadem ma do 900 metrów szérokości, z wysokości 30 metrów, w łożysko tylko 20 metrów szérokie; w skutek wielkiego spadku i siły uderzenia, strzela w górę olbrzymim słupem na 100 metrów wysokim i spada na ziemię w postaci gęstego dészczu. Piękne to zjawisko zyskało jeszcze więcéj na krasie, w czasie pobytu tam Livingstone'a, przez

to, że dwie tęcze zdobiły widok. Droga prowadziła daléj przez żyzny kraj Batoków. Krajowcy tamtejsi oddają się namiętnie paleniu konopi, który to nałóg zgubne pociąga następstwa. Kraj jest pagórkowaty i obfity w piękne widoki. Przebywszy rzékę Kafui, wpadającą do Zambezi, zbliżył się Livingstone znów do téj ostatniéj i postępował daléj jéj brzegiem; ale częste opłaty, których wymagali oddzielni naczelnicy, zmusiły go oddalić się od rzéki; omijał więc wioski i krążąc manowcami dotarł nareszcie do Tete, osady portugalskiéj, 3 marca. Gościnnie przyjęty przez gubernatora, zabawił tam przez miesiąc, poczém na łódkach udał się do Quilimane, miasta niedaleko od ujścia Zambezi do morza. Pokrzepiwszy swe siły na wyspie S. Maurycego, wyprawił się do Anglii i przybył tam w grudniu r. 1856.

W tym samym czasie kiedy Livingstone próbował przebyć przez północną część Afryki południowéj aż do wybrzeża morskiego, szwedzki naturalista K. J. Anderson postępował odwrotną drogą, od morza do wnętrza Afryki południowéj. Wyruszywszy w r. 1850 w podróż z wybrzeża zachodniego koło zatoki Wielorybiéj, przez ziemię Namaqua dotarł do wyschłego jeziora Omanbonde, stamtad zaś, dowiedziawszy się o plemieniu Ovampo, które, jak mówiono, daleko na północy mieszka, udał się w kierunku północnym. Droga prowadziła naszego podróżnika przez terytoryum Damarów, plemienia odznaczającego się rosłą i silną postawą, a dość spokojnego. Ciało nacierają tłustością i olejem, okrywają zaś w części skórami i niezli-

czoną ilością rzemieni, koło pasa okręconych. Główną ich bronią jest włócznia, zwana „kirie“, którą nader zręcznie władają. Przyłączywszy się do karawany kupieckiéj, która z ziemi Ovampo do Damarów była przyszła, a wtedy właśnie do domu wracała, podróżnik nasz, po ośmiodniowéj podróży, po większéj części przez kraje puste, dosięgnął piérwszych pastwisk w ziemi Ovampo. Stosownie do zwyczaju miejscowego, nowemu przybyszowi nasmarowano twarz olejem, a wyprawieni posłowie oznajmili królowi Nangara przybycie cudzoziemca. Po dłuższéj podróży przez bagna solankowe i okolice stepowe doszła nareszcie karawana do urodzajnych prowincyj właściwéj ziemi Ovampo. Wiosek tu niéma, każda rodzina mieszka w osobnym dworku, zbudowanym pośród pola. Kiedy nazajutrz po przybyciu udali się do miejscowości, gdzie miał swą rezydencyą naczelnik, nie przyjęto ich odrazu; dopiéro trzeciego dnia udzielono audyencyą. Na przemowę cudzoziemców, król nieco tylko przez nos zagadał. O broni palnéj nie miał pojęcia, a dowiedziawszy się o jéj użytku, żądał od cudzoziemców, aby dla niego słonie strzelali; wędrowcy jednak odmówili, obawiając się, aby ich nie zatrzymał u siebie, dopóki mu nie wytępią wszystkich słoni. Pomimo to król ich podejmował i wyprawiał dla nich uczty. Gdy jednakże podróżnicy nasi chcieli się udać daléj na północ, dowiedziawszy się o pięknéj rzéce, która tam miała płynąć, naczelnik zabronił im tego za to, że nie chcieli dla niego polować na słonie. Wróciła więc wyprawa nasza znowu do kraju Damarów. Anderson postanowił teraz iść na wschód i rzeczywiście dotarł aż do miejscowości Tunobis, położonéj na południo-zachód od jeziora Ngami; zamiaru ażeby posunąć się daléj musiał się zrzec z powodu braku wody i powrócił na wybrzeże. Dopiéro w następnym roku wyruszywszy w drogę, doszedł do Tunobis i stamtąd, krążąc w około, po wielu trudach i przygodach, do jeziora Ngami.

Przed upływem jeszcze tego dziesiątka lat, w którym odbył piérwszą wielką podróż po Afryce południowéj, wyruszył znów Livingstone na nową wyprawę, chcąc zbadać porzecze rz. Zambezi. Wylądowawszy w kwietniu r. 1858 na wybrzeżu wschodniém puścił się parostatkiem, który był z sobą z Anglii sprowadził, po rzéce Zambezi i dotarł do miejscowości Tete. Tutaj spotkał się ze staremi znajomemi z plemienia Makololo, którzy wielką radość z jego przybycia okazywali. Płynąc daléj, napotkał (9 listopada) wir zwany „kebra-basa“, gdzie pasmo stożkowatych pagórków przecina łożysko rzéki i tworzy wąską a głęboką przepaść, pełną głazów syenitowych i granitowych. Przy wysokim stanie wody przepaść bywa zalaną, a zwierciadło wody zdaje się zupełnie gładkiém korytem. Nie mogąc jechać daléj statkiem parowym, zażądał Livingstone od władz angielskich, aby mu przysłały inny wygodniejszy parostatek; nim zaś takowy miał nadejść, chciał zbadać bieg rzeki Szíry, która płynie z północy i niedaleko od delty Zambezi wpada do téj ostatniéj. Żeglując po Szirze, napotkał pod 15° 55' szer. południ. prześliczny wodospad

dał mu nazwę „wodospadu Murchisona“, od imienia sławnego geologa angielskiego; krajowcy zowią go „Mamwira“. Powyżéj tego wodospadu znajduje się cały szereg innych, jeszcze bardziéj spadzistych od tamtego. Stamtąd wrócił Livingstone do Tete i dopiéro w marcu r. 1859 udał się na poszukiwanie jeziora „Szirwu“; dotarł do niego d. 18 kwietnia tegoż roku. O tém jeziorze dowiedział się, że z północy oddziela je pewna przestrzeń od innego wielkiego jeziora; mowa tu była o jez. Nyassa. Livingstone dotarł do niego, piérwszy z europejczyków, dnia 16 września 1859 r. Na drodze do niego musiał przebywać górzystą krainę, zamieszkaną przez plemię Mangandya. Lud tego plemienia odznacza się piękną powiérzchownością, jeżeli umyślnie nie szpeci sobie oblicza i ciała, tak sądzi o nich dobrze powiadomiony misyonarz Rowley; podług Livingstonea zaś uchodzić ma za prawdziwy typ murzyński. Nie mają nosa zadartego, to téż mniemanie powszechne każe ich zaliczyć do kafrów. Co ich szpeci, to obrzydliwy układ ust. W ogóle są dobrego wzrostu i pięknéj postawy. Zadziwiająco rozwinięte mają muskuły i dla tego wyglądają na bardzo silnych, chociaż w istocie takiemi nie są; wpływa na to pokarm roślinny. Mężczyźni nadzwyczaj starannie pielęgnują swe włosy: jedni tak je długo skręcają, że włosy zwijają się nakształt rogów; drudzy znów je wiążą w gruby warkocz, który niby ogon wisi im z tyłu; jedni wcale włosów nie czeszą i pozwalają im swobodnie spływać po ramionach; inni zaś albo się strzygą całkowicie albo wystrzygują sobie na

głowie rozmaite figury. Położenie kobiét jest dość dobre, gdyż uprawą ziemi trudnią się sami mężczyźni. Jako ozdobę, noszą kobiéty pierścienie mosiężne, miedziane lub żelazne na palcach, szyi, ramionach i nogach; najważniejszą ozdobą jest „pelele“, kółko przewleczone przez górną wargę. Dziéwczętom już przebijają górną wargę mocną igłą, a wkładając na jéj miejsce stopniowo coraz grubszą, rozszérzają otwór tak, iż może nakoniec objąć grube kółko. Wszystkie kobiéty noszą tę ozdobę, rozstając się z nią tylko na znak smutku. Szczególnie wstrętnym jest widok śmiejącéj się kobiéty: nos wygląda wtedy z kółka do góry podniesionego, a z ogromnych ust, podobnych do paszczęki kociéj, pokazują się przypiłowane zęby. Gdy się Livingstone jednego z naczelników o ten zwyczaj wypytywał, otrzymał odpowiédź, że „pelele“ wynagradza kobiécie brak wąsów. Prócz tego szpecą się kobiéty szramami, które sobie na różnych częściach ciała robią. Każdy z Mangandyów ma osobne nazwisko od miejsca zamieszkania. Trudnią się przeważnie wyrabianiem rzeczy z żelaza, przędzeniem bawełny, wyplataniem koszów i uprawą roli. Piwo namiętnie piją; ponieważ nie mają chmielu, ani innych ingredyencyj, żeby dłużéj przechowywać piwo, zmuszeni są prędko spożywać zapasy tego napoju; czynią téż to znakomicie. Wynikają stąd wielkie nieporządki. Handel niewolnikami u nich kwitnie; naczelnicy sprzedają w niewolę ludzi z najniższych i zepsutych klas, albowiem jest to jedyny środek do nabycia cudzego majątku.

Livingstone przybył potém do tego miejsca nad jeziorem, gdzie rzéka Szire z niego wypływa (14° 25' szer. połud. i 35° 30' dług. wsch. Gr.); tam spotkał się z pewnym naczelnikiem, imieniem Mosanka, który go uprzejmie do siebie zaprosił, ugościł i opowiadał o wielkiej karawanie niewolników, przechodzącéj przez te okolice pod przewodnictwem kupców arabskich. Wistocie zgłosiło się wkrótce potém do naszego podróżnika kilku uzbrojonych arabów, propononując mu nabycie kilkorga dzieci; jednakże coprędzéj go opuścili dowiedziawszy się, że Livingstone i jego towarzysze są Anglikami. Po krótkim tam pobycie Livingstone wrócił znów do miasta Tete. Z wszelką słusznością uchodzi on za piérwszego europejczyka, który rozpoczął naukowe badanie jeziora Nyassa, jakkolwiek geografowie portugalscy dowodzą, że statki portugalczyków już w wieku XVII pływały po tém jeziorze.

W miesiąc po Livingstonie, podróżnik niemiecki Albert Roscher, rodem z Hamburga, dotarł również do tego jeziora, mianowicie do jego wybrzeża wschodniego. Wyszedł on z Quiloa na brzegu wschodnim Afryki (9° szér. połud.) i przyłączywszy się do wielkiéj karawany pewnego Araba dostał się po wielu trudnościach do jeziora; odbył liczne podróże wzdłuż brzegu wschodniego i w jednéj z nich przez chciwych krajowców został zamordowany (19 marca 1860). Powróciwszy do Tete, przygotował Livingstone nową wyprawę rzeką Zambezi do kraju plemienia Makololo, strawił na niéj sześć miesięcy i w końcu listopada po-

dążył znów do Tete. Rok następny poświęcił przeważnie badaniu jeziora Nyassy. Burze, które wówczas srożyły się na jeziorze, przeszkodziły Livingstoneowi zbliżyć się do brzegów wschodnich, a tumany mgły nie pozwalały lepiéj poznać samego jeziora. Zdaje się, iż je otaczają ze wszystkich stron wyniosłości; jak zaś przekonała o tém samego badacza żegluga wzdłuż brzegu zachodniego, są owe wyniosłości na zachodzie stokami jednéj wielkiéj wyżyny, obfitującéj w lasy. Brzegi są gęsto zaludnione, wioski ciągną się w niewielkiéj odległości jedna za drugą, zwłaszcza na wybrzeżu południowém. Wybiegali z nich gromadami mieszkańcy, podziwiając statek z żaglami lub przypatrując się z ciekawością, jak jedzą biali. Wszędzie jednak trzymali się przed linią, którą nasi podróżnicy zakreślali na piasku, a tylko dwa razy ośmielili się poruszyć żagiel, z którego namiot był zrobiony, aby się przypatrzéć wnętrzu. Podróżników nazywali stale „czirombo“ tj. „dziki zwierz“, nie przypuszczając, aby ci rozumieli ów niepochlebny tytuł. Ziemia na brzegach jest dość uprawna; mieszkańcy uprawiają obficie ryż, kukurydzę, proso. Dla mieszkańców brzegów północnych szczególnym przysmakiem, oprócz zgniłych ryb, są kołacze przyrządzone z komarów, grube na 3 centymetry a jak talérz wielkie. Nad jeziorem mianowicie unoszą się gęste chmury much, zwanych „kungo“, napełniając powietrze do znacznéj wysokości i nad wodą latając; w nocy mieszkańcy łowią je masami i pieką z nich kołacze, podobne w smaku do kawioru lub palonéj szarańczy. Ryb

wybornych ma jezioro pod dostatkiem; szczególnie smakowała naszym podróżnikom „mpasa“, gatunek karpia. Lud tamtejszy jest brzydki, zwłaszcza kobiéty, które się szpecą jeszcze bardziéj, nosząc „pelele“. Za najpiękniejszą ozdobę domu uważają misę cynową; również wysoką cenę mają naczynia z białego krzemienia lub z gliny czerwonéj. Wszyscy krajowcy tatuują się obficie od stóp do głowy, w desenie właściwe każdemu plemieniu. Szczególniejszą pieczę roztaczają nad grobami; sypią je na brzegu w kierunku północno-południowym, ocieniają drzewami figowemi i oddzielają starannie dróżkami. Grób mężczyzny można odróżnić od grobu kobiéty przez różne narzędzia, które popsute leżą na grobach; tak naprzykład kawałek siéci i złamane wiosło oznacza grób rybaka; drewniany moździerz, stłuczone garnki i kosze, grób kobiéty.

Pobywszy czas dłuższy nad jeziorem, powrócił Livingstone na początku listopada r. 1861 do Szupangi przy ujściu rzéki Zambezi, gdzie zajął się składaniem trzeciego statku, który mu z Anglii przysłano. Piérwotnie zamierzał żeglować po rz. Szira i zbadać północny brzeg Nyassy, dotąd nieznany; wszelako, z powodu niskiego stanu wody w rzéce, musiał się zrzec powziętego zamiaru. Postanowił tedy dopłynąć morzem do przylądka Delgado i rzéką Rufuma, która na północ od niego wpada do morza, próbować się dostać do wnętrza lądu. Żeglując po téj rzéce, dostał się jednak prędko na mielizny, tak że musiał opuścić parowiec i starał się daléj posuwać na zwy-

czajnych łodziach. Zapuściwszy się 250 kilom. wgłąb lasu, przekonał się, że daléj płynąć niepodobna, musiał więc znów powrócić. Postanowił wtedy rz. Szirą dostać się do jez. Nyassy. Zastał tam wielką zmianę: kraj po obu stronach rzéki był spustoszony, wioski popalone, ziemia ogołocona z ludzi. Klęskę tę sprowadził na kraj polujący na niewolników niejaki Mariano. Dotarłszy do jeziora, zwiédził Livingstone kraje zachodnie; wrócił zaś poczęści dla téj przyczyny, że jego spółtowarzysze podróży, nieprzyzwyczajeni do ostrych wiatrów panujących na wyżynie, coraz więcéj zapadali na zdrowiu, a niektórzy nawet poumierali; poczęści znów dla braku żywności. Prócz tego, na rozkaz ministeryum spraw zagranicznych, miał statek Livingstona co prędzéj na morze wypłynąć. Przystąpił więc do powrotu, a płynąc rzéką Szirą i Zambezi dostał się do ujścia téj ostatniéj 13 lutego r. 1862. Dnia 30 kwietnia tegoż roku opuścił ląd Afrykański, wsiadłszy na okręt w Zanzibarze, dokąd przyprowadził oba parostatki, i udał się po sześcioletnich podróżach z powrotem do Anglii. Podróże Livingstona miały na celu zbadanie północnéj części Afryki południowéj; równocześnie prawie Mauch Karol, rodem z Wirtembergii, badał część południowowschodnią. W latach 1865—66 zwiédził on dokładnie rzeczpospolitę Transwaalską i wydał jéj mapę. Kraina ta co do obszaru przewyższa nieco królestwo pruskie, leży nad rzeką Waal i liczy do 250000 mieszkańców pochodzenia holenderskiego; w ostatnich czasach sąsiedni Anglicy wcielili ją do swego

państwa. Podróżnik nasz przekonał się, iż ziemia jest wcale żyzna; w miejscowościach niżéj położonych można korzystnie uprawiać trzcinę cukrową, kawę, bawełnę i tytuń, w miejscowościach zaś wyżéj wzniesionych hodować zwierzęta, zwłaszcza owce. Że pomimo to kraj nie cieszy się większym rozwojem, winni są temu w części rolnicy tamtejsi, bardzo leniwi, w części zaś brak sił roboczych. Zwierząt jest tu wielka obfitość, jak również owoców w każdéj porze roku; znajdują także różne metale, szczególniéj złoto. To ostatnie niedawno dopiéro odkryto w części północnéj bliżéj Lydenburga; nasz zaś podróżnik w czasie drugiéj podróży do krajów na południe od dolnego biegu rzéki Zambezi leżących, znalazł w państwie Mosili Kaciho, nad górnym brzegiem rzéki Umfuli, pokłady złotodajne, które jednakże nie okazały się bardzo wydajnemi i omyliły nadzieje górników, co się na wieść o odkryciu z wielu okolic byli zbiegli. W trzeciéj podróży swéj (od maja 1868 aż do stycznia 1869 trwającéj) szedł Mauch przez Lydenburg, przebył rzékę Limpopo, która łukiem opływa z północy rzeczpospolitę a wpada do oceanu na północ od zatoki Delagoa, i zwiédził prowincye plemienia Matebele, ciągnące się od wspomnianéj rzéki aż do środkowego biegu Zambezi.

Te same kraje zwiédził w roku następnym (1870) inny podróżnik niemiecki Ed. Mohr, rodem z Bremy. Od pól złotych w rzeczypospolitéj Transwalskiéj puścił się na północ ku wodospadowi Wiktoryi i po drodze zwiédził miasto Szoszong, leżące nieco na północ

od Kolobengu, znanego nam z podróży Livingstona. Szoszong jest to jedno z najludniejszych miast w Afryce południowéj, a trudni się handlem piórami strusiemi. Ponieważ leży ono około 1000 metrów nad poziomem morza, a więc ma klimat dość zimny; mieszkańcy zatém okrywają się przynajmniéj na noc futrami. Idąc daléj ku rzéce Szasza, wpadającéj do Limpopo, napotkał okolicę jednostajną. Doszedłszy do ziemi Matebele, udał się drogą, prowadzącą na rozgraniczu wód, spływających z jednéj strony w kierunku północno-zachodnim do rz. Zambezi, z drugiéj strony na południo-wschód do Limpopo; tu zaczynała się ziemia urodzajniejsza. Daléj kraj jest lesisty i przechodzi jakby w morze głazów granitowych, które, jak okiem zasięgnąć, pokrywają ziemię. Dnia 30 marca dotarł nasz podróżnik do gęstych osad plemienia Makalaka, trudniącego się głównie uprawą ryżu i prosa „durra“; prócz tego hodują tam z zamiłowaniem melony, tytuń i konopie. Bardzo zręcznie wyrabiają z żelaza broń „assagai“ i motyki, któremi kobiéty uprawiają rolę. Dążąc daléj przez kraj na północ od powyższego leżący, musiał Mohr pod 19° szer. połud. zostawić wszystkie zwierzęta z powodu prześladowania muchy „cece“ i potém z 26 murzynami szedł daléj przez kraj pagórkowaty, bujną trawą porosły. W ogóle okolice były coraz górzystsze i bardziéj malownicze. Przebywszy rzéki „Guaa“ i „Dak“, dotarł Mohr 12 czerwca r. 1870 do brzegów Zambezi w pobliżu wioski Vanki. Do wodospadu Wiktoryi przybył 19 czerwca; a zwiédziwszy go i sprawdziwszy

wszystko, co o nim napisał Livingstone, zwrócił się w kierunku wybrzeża d. 8 lipca i na początku grudnia stanął w D'Urban, mieście portowém w Natalu. W następnym roku puścił się Mauch rzéką Walem ku polom dyamentowym. W podróży téj znalazł koło Zimbaoe (pod 20 szer. połud, i 32 dług. wsch.) godne podziwu zwaliska, których pochodzenie przypisuje jakiemuś narodowi ucywilizowanemu, kiedyś tam przebywającemu.

Rzeczpospolitę Transwalską jak również sąsiednią rzeczpospolitę rzeki Pomarańczowéj zbadał jeszcze w latach 1864—66 podróżnik niemiecki dr. G. Fritsche, przeważnie poświęcający się etnografii ludów południowo-afrykańskich. Do nich należą Kafrowie i Hotentoci. Nazwa piérwszych pochodzi od słowa arabskiego „kafir" niewierny. Kafrowie mają skórę ciemną, włos wełnisty, różnéj długości i własności. Kolor skóry jest również bardzo rozmaity, od ciemnosepiowego do granatowo-czarnego. Ciało mają dobrze zbudowane, czaszkę długą, wysoką. Dzielą się na 3 grupy: wschodnią, do któréj należy plemię Zulu i Ksosao (właściwi Kafrowie), środkową (Beczuanie) i zachodnią tj. Damara. Ksosaowie są, według G. Fritschego, ludźmi charakteru wesołego, uprzejmi, gościnni i usłużni; dbają tylko o dziś, nie troszcząc się o jutro. Jeżeli się zejdą razem, bawią się nawzajem opowiadaniem, a dzban z piwem krąży przytém w około. Rozdrażnieni łatwo się roznamiętniają i w gniewie dopuszczają się najwstrętniejszych czynów; zapominają jednak prędko obrazy i nie są mściwi.

Pojęcia religijne bardzo mają słabo rozwinięte; ograniczają się w tym względzie niejasném przeczuciem życia pozagrobowego, gdzie dusze zmarłych przodków wspaniałe uczty pożywają. Przedmiotem szczególnych starań są dla nich stada, które nawet w pieśniach opiewają.

Hotentoci mają kolor skóry żółto-brunatny, włos kędzierzawy, czoło wąskie, brodę śpiczastą; są wzrostu średniego, ręce i nogi mają stosunkowo krótkie. Kobiéty odznaczają się otyłością. Dzielą się na trzy gromady: właściwych Hotentotów w ziemi Przylądkowéj, Koranów nad górnym biegiem rzéki Pomarańczowéj i Namakuów od rz. Pomarańczowéj aż do zatoki Wielorybiéj. Przy całém swém lenistwie są żywsi i ruchliwsi od Kafrów. Wielka lekkomyślność, obżarstwo i zmysłowość przyczyniają się do ich upadku.

Niezmordowany po krótkim wypoczynku wyruszył Livingstone z Anglii do Afryki na trzecią wielką wyprawę. Na ten raz postanowił iść brzegiem rzéki Rufumy do jeziora Nyassy, zbadać dział wodny między głównemi rzékami Afryki: Zambezi, Nilem i Kongo, sprawdzić jak daleko sięga ich związek z ogromnemi jeziorami równikowemi, nakoniec rozstrzygnąć niepewność co do źródeł Nilu. W styczniu r. 1866 widzimy naszego podróżnika w Zanzibarze, skąd wyruszył do ujścia Rufumy i daléj do zatoki Mikindany, o 40 kilometrów wyżéj na północ; znalazł tam dobrą przystań i punkt oparcia do dalszéj podróży w kierunku południowo-zachodnim. Towarzyszy-

ło mu 30 ludzi uzbrojonych, między niemi kilku tragarzy z wysp Komorskich. W drugiej połowie lipca dotarł do jeziora Nyassy i szedł wzdłuż brzegu południowego. Tymczasem opuścili go wzmiankowani tragarze i powróciwszy do Zanzibaru rozgłosili, że Livingstona zamordowali drapieżni Masitowie. Gdy ta smutna wiadomość, której powszechnie wierzono, doszła do Anglii, opinia publiczna, nie tracąc nadziei, że Livingstone może jeszcze żyje, domagała się pewności co do jego skonu. Staraniem towarzystwa geograficznego w Londynie wyprawiono ekspedycyą pod dowództwem E. D. Young'a, naczelnika drugiéj wyprawy Livingstona. W końcu lipca roku 1866 był Young przy ujściu Zambezi, a rzéką Szirą dostał się aż do wodospadu Murchisona; daléj szedł drogą ladową; 150 najętych tragarzy miało przenieść łódź, rozłożoną na części, oraz inne pakunki koło wiru. Po cztérodniowéj podróży obeszli wir i statek nanowo złożyli. Pracy téj przyglądało się wielu krajowców z plemienia Ajawów i Mangandyów, Od jednego z nich dowiedział się Young, że w téj okolicy przed niejakim czasem widzieli jakiegoś białego; ani więc przypuszczając otrzymał piérwszą wiadomość o Livingstonie. Jakkolwiek żeglując daléj po rzéce Szirze znów otrzymał wiadomość, ze widziano pewnego białego bliżéj jeziora Pamalombe, nie chciał jednakże wierzyć aby nim miał być Livingstone, choć go murzyni „anglesi“ nazywali; wiedział bowiem, iż zamiarem Livingstona było zwiédzić tylko brzeg północny. Wyprawa, przepłynąwszy Pamalombe i tę część Sziry, która łączy

powyższe jezioro z Nyassą, przybiła w d. 7 września do brzegu wschodniego. Był to piérwszy statek europejski przy tym brzegu. Znalazł tu u murzynów nasz podróżnik potwierdzenie poprzednio otrzymanych wiadomości i przyszedł do tego przekonania, że owym białym był rzeczywiście Livingstone, który, odstąpiwszy od swego piérwotnego zamiaru, zapuścił się daléj w te okolice. Potwierdzili to tragarze, którzy pomagali przy transportowaniu rzeczy Livingstona, potwierdziły daléj opowiadania naczelnika Marengi, i wykryło się w jaki sposób opuszczono naszego podróżnika. Mianowicie, podczas kiedy Livingstone na łodziach przeprawiał się przez jezioro, tragarze mieli iść daléj lądem; tymczasem w dwa dni po wyruszeniu wrócił nagle arab Musa z tragarzami, twierdząc, że będąc Arabem, dotąd tylko towarzyszył podróżnikom, a obecnie znowu ku brzegom powraca. Osiągnąwszy pożądany rezultat, Young wrócił do ujścia Zambezi, a stamtąd na okręcie wojennym dostał się do Europy. Wkrótce potém doszły wiadomości od samego Livingstona. Dowiedziano się z nich, że, po opuszczeniu go przez Musę, Livingstone przebył Loangwę, dostał się do ziemi plemienia Babisa, następnie musiał się przedzierać przez pasmo gór bardzo lesiste, przeprawił się przez rzékę Czambezi, wypływającą z łańcucha Urungu a wpadającą do jeziora Bangweolo, i nareszcie dotarł do rzeczonego jeziora. Wspomniana rzéka wypływa znów z jeziora w kącie zachodnim pod imieniem „Luapula“ i wpada po krótkim biegu do innego jeziora, daléj na północy leżącego, Moero, skąd

dalej jeszcze na północ płynie jako Lualaba. Według wszelkich wskazówek jest to górny bieg potężnéj rzéki Afryki środkowéj, Kongo. Zwiédziwszy kraje na północ od jeziora Moero, w których znalazł plemię mieszkające w ziemi, w jaskiniach, przybył Livingstone w grudniu r. 1867 do stolicy naczelnika Muata, Kazembe, władcy wschodniéj części potężnego państwa „Lunda“. W kraju tym, który jeszcze w r. 1798 zwiédził był portugalczyk Fr. de Lacerda, a w trzecim lat dziesiątku bieżącego wieku za cel sobie wybrała inna wyprawa portugalska, spędził Livingstone dni cztérdzieści. Udał się następnie do jeziora Tanganiki, lecz z powodu wylewu wód musiał wrócić na brzegi jez. Bangweolo i tam w lipcu r. 1868 pisał dziennik swéj podróży. W roku następnym dostał się do jeziora Tanganiki, zwiédził jego brzegi i odkrył w dalszym ciągu cały szereg rzék i jezior, które poczytywał za górny bieg Nilu (1869—71). Tu spotkał się z podróżnikiem H. Stanley'em. Ponieważ przez dłuższy czas nie było w Europie żadnych wiadomości o Livingstonie i nowe powstały obawy co do jego losów, towarzystwo geograficzne w Londynie urządziło w r. 1872 ekspedycyą, chcąc dostarczyć pewnych wskazówek w tym względzie. Okręt pod dowództwem porucznika L. Dawsona odpłynął z Anglii do Zanzibaru na początku lutego; tymczasem, kiedy już w Bagamoyo gotowano się do wyprawy, przyszła równocześnie wiadomość, że Livingstone się znalazł, że jest zdrów, silny i zaopatrzony w co potrzeba. Sprawcą tego był korespondent dziennika amerykańskiego

„New-York-Herald,“ H. Stanley, którego właściciel pisma J. Gordon Bennet wyprawił był w tajemnicy. Stanley wyruszył był 21 marca r. 1871 z Bagamoyo i podążył nasamprzód do miasta Unyamyembe (pod 5° szer. połud. a 33° dłg. wsch. Green.), gdzie spotkał karawanę, która niosła naszemu podróżnikowi zapasy i listy od konsula angielskiego w Zanzibarze dra Kirka, a zatrzymać się musiała z powodu rozruchów. Dopiéro w końcu września udał się Stanley w dalszą drogę rzéką Gombe, głównym dopływem rz. Malagarasi, wpadającéj do jeziora Tanganiki w pobliżu miasta Udżidżi. Przebywszy po długiém krążeniu Malagarasi, dowiedział się od jednéj karawany, że w Udżidż przebywa mąż biały z siwemi wąsami, który już raz był przez czas dłuższy nad jeziorem, a obecnie niedawno powrócił z ziemi Manyuemy, leżącéj na północo-zachód od jeziora. Z wielką niecierpliwością pośpieszał teraz Stanley, chcąc się dowiedzieć prawdy, i 10 listopada dotarł już do Udżidżi. Nim wstąpił do miasta, uszykował swą karawanę i z wielką okazałością, śród huku strzelb, odprawił wjazd do Udżidżi; śród radosnéj wrzawy poznał zaraz po powitaniu angielskiém sługę Livingstona, Susi'ego, a pomiędzy tłumem Arabów ujrzał nakoniec owego białego z siwym wąsem, samego Livingstona. Po bliższém poznaniu rozpoczęli obaj podróżnicy badanie brzegu północnego jeziora Tanganiki. Żeglując trzy dni, przybyli do ujścia rzéki Sassi, gdzie znaleźli gęste osady; następnie dotarłszy do kraju Urundi który leży na północ od jeziora żeglowali kilka dni wzdłuż brzegu, aż się dostali do

miasta Magala, gdzie ich bardzo uprzejmie powitano. Potém przebyli jezioro aż do ujścia rz. Rusisi, wpadającéj z północy. Powrotu dokonali koło brzegu zachodniego, do którego jeszcze w r. 1858 doszli byli Burton i Speke, niedaleko gromadki wysepek, nazwanych „New-York-Herald.“ Brzeg ten okalają pasma gór wysokich do 1000 metrów; gdzie rzéka wpada do jeziora, tworzy się obszerna ława, pokryta bujną roślinnością zwrotnikową. Gromadki pięknych palm ocieniają szare chatki wieśniacze; na białém wybrzeżu w łodziach lub w cieniu drzew spoczywają wygodnie rybacy. Od przylądka Lavumba, gdzie opuścili wybrzeża Uvira, droga prowadziła koło przylądka Pansa; lecz nasi żeglarze wprost przez jezioro popłynęli ku wybrzeżu wschodniemu i niedługo potém przybyli do portu Udżidżi. Wówczas umówili się, że Livingstone odprowadzi Stanleya do m. Unyamyembe, gdzie odbierze pakunki dla niego przysłane, i zorganizuje nową wyprawę w głąb Afryki, aby ostatecznie rozwiązać zagadkę co do działu wodnego jéj wnętrza. Kilka tygodni spędzili badacze we wzmiankowanéj miejscowości; Livingstone użył tego czasu na napisanie listów do swéj rodziny i dokończył dziennika, powierzywszy go Stanleyowi. Poczém Stanley udał się do Zanzibaru, a stamtąd do Europy. Livingstone skierował się wzdłuż wybrzeża wschodniego i południowego Tanganiki, dążąc do jeziora Bangweolo; lecz w drodze na brzegu południowym zakończył w d. 4 maja r. 1873 życie, uległszy chorobie któréj się nabawił przez pobyt w kraju bagnistym. Towarzysze jego naradzali się co

zrobić ze zwłokami; po naradzie otworzyli ciało, wyjęli wnętrzności i włożywszy je w puszkę cynową, pochowali pod wielkiém drzewem; same zwłoki włożyli do soli, a po dwunastu dniach wydobywszy wysuszyli na słońcu. Jeden ze sług Livingstona, J. Wainright, stanął na czele gromadki, która, walcząc z głodem, chorobami i dzikością mieszkańców, postanowiła zanieść zwłoki przez ziemię nieprzyjacielską aż do Zanzibaru. W początkach listopada 1873 r. przybyła wyprawa do m. Unyamyembe, gdzie właśnie w tym czasie bawił podróżnik angielski Cameron; on też odebrał śmiertelne szczątki Liwingstona i przesłał je do Zanzibaru. Tak skończył życie, po trzydziestotrzechletniéj działalności, poświęconéj badaniu długo w zaniedbaniu będącego lądu Afryki, mąż, któremu równego niéma między podróżnikami wszystkich narodów. Imię jego po wsze czasy przyświécać będzie blaskiem w historyi.

Ukończywszy przegląd najważniejszych podróży po Afryce południowéj, musimy też wspomnieć o podróżach Czecha, Emila Holuba. Ujrzał on światło dzienne w Holicach dnia 7 października 1847 r.; odbywszy studya gimnazyalne w Żatcu (Saaz), poświęcił się medycynie w Pradze, zajmując się równocześnie naukami przyrodniczemi i geografią, które sobie szczególnie upodobał. W r. 1872, otrzymawszy stopień doktora, postanowił puścić się w podróż naukową po Afryce i rzeczywiście wyruszył w końcu maja 1872. Na początku lipca był już w Elisabeth-porcie w Afryce południowéj a za wstawieniem się konsula austryackiego otrzymał od gubernatora Ziemi przylądkowéj

prawo praktyki lekarskiéj we wszystkich prowincyach, podległych Anglii. Praktyka ta dostarczyła mu środków materyalnych do podróży, którą przedsięwziął do Dutoispan w rzplitéj transwalskiéj. Stamtąd odbywał dalsze podróże po Afryce południowéj aż do krajów nad środkowym biegiem rz. Zambezi. Zbiory, które w czasie podróży nagromadził, znajdują się po większéj części w rękach znakomitego miłośnika geografii Wojc. Naprstka.

Piękny zaiste szereg mężów, którzy swe życie poświęcili poznaniu téj części Afryki. Zawdzięczamy im prawie dokładne zbadanie Afryki pod względem jéj warunków przyrodzonych i etnograficznych. Wszakże ze wszystkich imion tu przytoczonych z największą czcią wspominać będą imię podróżnika, który piérwszy przeszedł całą Afrykę południową z północy na południe, z zachodu na wschód, imię D. Livingstona.

III. Afryka środkowa.

Trzy zadania, tyczące się Afryki środkowéj, mieli w ostatnich czasach geografowie do rozstrzygnięcia; mianowicie: znaléźć źródła Nilu, zbadać biég rzéki Kongo i przejść Afrykę środkową ze wschodu na zachód albo naodwrót.

O tych trzech zatém rzeczach pomówić mamy.

A. Źródła Nilu.

Na tę kwestyą zwrócili po raz piérwszy uwagę dwaj misyonarze niemieccy, Rebmann i J. Krapf, gdyż przebywając w Afryce wschodniéj między r. 1848—49 słyszeli o ogromném jeziorze „Ukerewe,“ które podobno sięga aż do 4° szer. połud. i daje początek rzéce Nilowi. Do jeziora się wszakże nie dostali, bo ich zatrzymało znaczne pasmo gór śniegiem pokrytych. Rebmann mianowicie dotarł w swéj podróży do olbrzy-

miéj góry Kilimandżaro, najwyższego szczytu afrykańskiego; wznosi się ona niedaleko wybrzeża wschodniego, prawie pod samym równikiem, a jednak, jak to z podziwieniem ujrzał podróżnik, pokryta jest śniegiem, kiedy tymczasem stoki jej zdobi bujna roślinność zwrotnikowa, przerznięta licznemi potokami. Na północ od Kilimandżaro ciągnie się całe pasmo gór śnieżnych, aż za równik; między niemi potężny szczyt Kenia, który zbadał spółtowarzysz Rebmanna J. Krapf. Wiadomość o wielkiém jeziorze była podnietą do dalszych poszukiwań, które obiecywały płodne wyniki. I rzeczywiście, już następcom piérwszych dwóch podróżników, oficerom angielskim R. Burton'owi i J. Speke'owi udało się cel osiągnąć. Piérwszy z nich dał się był już poznać z podróży po Arabii (r. 1853) i ziemi Somalów; w r. 1856, będąc wysłanym na wybrzeże mozambickie, aby szukać źródeł Nilowych, połączył się ze Speke'iem. W r. 1857 wyszedłszy z miasta Bagamoyo naprzeciwko wyspy Zanzibaru, udali się obaj przez Kidundu i Zungomero brzegiem rz. Kingani. Idąc tak doszli do krainy górzystéj Usagar, przekroczyli południowe jéj pasmo Kiringavan i dotarli na wyżynie do krainy Ugogo. Mieszkańcy tego kraju, Wagogowie, mieszkają w biédnych chatach wespół z owcami, kozami i ptastwem domowém. Grunt nieurodzajny z powodu suchości, którą zawdzięcza łańcuchowi, zatrzymującemu wilgotne pasaty południowo-wschodnie, wymaga starannéj uprawy, aby wydać co najpilniejsze, najniezbędniejsze. Za to nie-

zwykłą żyznością obdarzona jest falowata wyniosłość Unyamue, podług Burton'a ogród Afryki zwrotnikowéj. Przebywszy te kraje, dostali się nasi podróżnicy po ośmiodniowéj podróży do jeziora Tanganiki (pod 30° dług. wsch, między 3—9° szer. połud.) w lutym r. 1858. Wielka rozległość jeziora zrodziła w Burton'ie domniemanie, że ma ono zapewne jaki odpływ; utrzymywał téż, że szukać takowego należy na północy. Przeciwnie Speke, jak się zdaje przez zazdrość, żeby Burtonowi nie dostała się sława odkrywcy źródeł Nilu, twierdził, że jezioro jest zamknięte i odpływu nie ma żadnego. Takie usposobienie Speke'a okazało się w czasie powrotu; korzystając bowiem z tego, że Burton uległ niemocy w Kase, sam pragnął zyskać sławę odkrywcy i postanowił zbadać jez. Ukerewe, o którém jeszcze w czasie piérwszéj podróży im opowiadano, że snadniéj daleko można do niego się dostać, niż do jez. Tanganiki. Droga wiodła przez północne prowincye Unyamue, bogate w bydło i bawełnę. W Uumba ziemia już nie tak była urodzajna, kraj przybierał cechy właściwie afrykańskie, szczególniéj w Ukwimbie. Postępując wzdłuż biegu rzeki tu płynącej dotarł Speke wbrew oczekiwaniu prędko do upragnionego jeziora (31 lipca 1858). Jezioro to zajmuje przestrzeń 800 mil kw. między 0°45'— 2°50' szer. połud. i 31°40'—35° dług. wsch. Gr. — i jak obecnie sprawdzono, jest głównym rezerwoarem rzeki Nilu, który z północy wypływa z jeziora; leży na wyżynie pagórkowatej, na 1250 metr. nad poziomem oceanu; a jeżeli spojrzéć na jego dość gładkie zwierciadło, podobne jest do prądu wiel-

kiego, rozlanego po szérokiéj równinie. Brzegi są gęsto zaludnione, z prawdziwie zwrotnikową fauną i florą; na jeziorze znajdują się liczne wyspy, jak Usuguru, Ujuma, w pobliżu któréj Nil wypływa, Sasse, największa na północy, daléj na południe Ukara, Ukerewe i Bumbirereh. Wzdłuż brzegu zachodniego ciągnie się potężne pasmo gór z najwyższym szczytem Gambaragarą (4500 metr. wysokości); na południowschodzie nad brzegiem wznosi się znów góra Madżita na 2000 metrów. Z południa wpada do jeziora rzéka Szimiju, ze wschodu rz. Ruana i Gori, z północowschodu Jagama, z północo-zachodu Katongo, z zachodu Kagera. W podróży téj nie dotarł Speke nawet do wyspy Ukerewe, gdyż nie miał w pogotowiu łodzi, a prócz tego przeszkodziły mu waśnie tamtejszych plemion. Udał się więc w drogę z powrotem 6 sierpnia i ku końcowi tego miesiąca dostał się szczęśliwie do Kase. Kiedy odkrycie Speke'a doznało potém zaprzeczenia, głównie ze strony byłego spółtowarzysza jego, Burton'a, Speke przyjął z radością propozycyą, uczynioną mu przez prezesa towarzystwa geograficznego londyńskiego, Murchison'a, aby się znów udał do Afryki i sprawdził dokładnie, czy Ukerewe należy do systemu Nilu. Dnia 27 kwietnia 1860 opuścił, w towarzystwie kapitana J. A. Grant'a, Anglią i w połowie sierpnia tegoż roku przybił do brzegu zanzibarskiego. Ostatnie miesiące tego roku zeszły im w części na podróży do Kase, dokąd karawana przybyła 24 stycznia 1861. Tu napotkali wielkie trudności: Arabowie zamieszkali w Kase doznali po-

rażki w walkach z Wagogami i Wahumbami; nikt więc z pomiędzy nich nie chciał się odważyć poprowadzić daléj karawany. Dwa miesiące strawili nasi podróżnicy na próżném oczekiwaniu, aż nareszcie postanowili z resztą drużyny udać się do Unyamyembe drogą na zachód od téj, którą szedł był kiedyś Speke z Burtonem. Tak doszli do Miningi, skąd dopiéro po dłuższéj zwłoce, gdy chory Grant przyszedł do zdrowia, nająwszy z wielką trudnością nowych tragarzy, wyruszyli w kierunku północnym. Droga prowadziła przez kraj lesisty, w dolinach gęsto zaludniony, brzegiem rzéki Ukuni. Kiedy Grant w Phunse powtórnie zapadł na zdrowiu, Speke wkroczył do kraju Usinsy, zostającego pod władzą wielu naczelników; prawo przejścia opłacić musiał licznemi podarunkami. Niezadługo potém Grant wyzdrowiał; lecz w kraju Usui zatrzymał obu podróżników naczelnik Suwarora i wypuścił ich dopiéro, otrzymawszy znaczny okup. Tém milsze było dla nich uprzejme przyjęcie, jakiego doznali od króla Rumaniki, władzcy państwa Karagwe, położonego na zachód od jez. Ukerewe. Tam oczekiwali na poselstwo, które im zjednać miało wstęp do państwa Ugandy, leżącego na północo-zachód od Ukerewe, a zostającego pod despotycznemi rządami Mtesy. Nareszcie w początkach stycznia 1862 poseł królewski oznajmił podróżnikom, że władca oczekuje ich w swéj stolicy. Na ten raz wypadło także Speke'owi iść samemu. Przeprawiwszy się przez rz. Kagerę, która ma 80 kroków szérokości i wije się bardzo głębokiem łożyskiem, szedł okolicą pagórkowatą z bujnemi pa-

stwiskami, dostał się do szérokiéj doliny Katongi, a w 10 dni późniéj, 18 lutego 1862, dotarł do stolicy króla Mtesy w prowincyi Bandawarogo. Państwo Uganda jest to kraj pagórkowaty, porosły gęstemi lasami bananowemi, obfitujący w kawę, która tu dziko rośnie, w wyborny tytuń, kukurydzę, trzcinę cukrową i doskonałe banany. Doliny pełne są bagien, po których wałęsają się stada słoni i bawołów; z powodu wyziewów febra jest tam stałym gościem, bardzo niebezpiecznym zwłaszcza dla europejczyków. Ludność spokojna i zabobonna ze strachem ulega swemu królowi, który będąc władcą nieograniczonym postępuje zupełnie samowolnie z życiem swych poddanych. Rezydencya jego leży na pagórku, którego cały obszar zajmują ogromne budynki. Tutaj przyjął król naszego podróżnika na uroczystéj audyencyi. Speke umiał zręcznem postępowaniem zjednać sobie jego szacunek. Już miał być przypuszczony przed oblicze królewskie, gdy piérwszeństwo dano jakiemuś posłowi, przynoszącemu daninę; prócz tego musiał Speke czekać na upale; powrócił więc zaraz do siebie, a kiedy go wezwał umyślny poseł, przybył dopiéro wtedy, gdy się napił kawy i fajkę wypalił. Zaprowadzono go przed króla, który siedział na koszu, wypchanym słomą i przykrytym czerwoną oponą; miał na sobie pełno łańcuchów i pierścieni, włosy zaś uczesane nakształt grzebienia; z boku leżał biały pies, stała włócznia i tarcza. Ponieważ Speke nie znał tamtejszego języka, a żaden z tłumaczy nie śmiał się odezwać bez rozkazu króla; powitanie więc odbyło się bez mowy. Po godzinie kazał

król zapytać się podróżnika, czy widział króla, poczém skokiem lwa się oddalił. Ze wszystkich podarunków najlepiéj mu się podobała broń palna; widząc, że kula przeszyła 16 tarcz za sobą ustawionych, zawołał: „Cóż pomogą wszelkie włócznie i wszelkie łuki? Niech wszystkie moje oręże będą odtąd palnemi.“ Z podziwem przypatrywał się jak Speke strzelał do krów i ptaków, i stał się odtąd namiętnym myśliwym, bez względu na to, że strzelając nieuważnie i ludzi zabijał. W końcu maja przybył nareszcie i Grant do stolicy Mtesy, a na początku lipca udali się obaj w podróż, chcąc zbadać Nil Biały; musieli się wszakże znowu rozłączyć. Grant, trapiony długotrwałą chorobą, miał się udać do Unyoro, królestwa położonego daléj na północ, a Speke zamierzał dostać się tam Nilem. Już 21 lipca stanął Speke sam na brzegu Nilu, który tam przepływał okolicę malowniczą, z bujną roślinnością, a miał w tém miejscu do 700 kroków szérokości. Idąc przeciw prądowi dostał się po kilku dniach do „kamieni,“ jak nazywają krajowcy wodospad, którym rzéka z jeziora odpływa; Speke nazwał go wodospadem Ripon'a. Życzył on sobie dokładniéj zbadać okolicę, lecz nie pozwolił na to urzędnik królewski, który go odprowadzał; tym sposobem nie mogło dojść do skutku stanowcze rozstrzygnięcie kwestyi Nilowéj, gdyż nie była wyłączona możliwość, że Speke się mylił. Przezwyciężywszy rozmaite przeszkody, tyczy się to szczególniéj Granta, udali się podróżnicy, spotkawszy się znowu, do Unyoro. Lecz i teraz znosić musieli wiele przykrości ze strony władzcy Wanyo-

rów: to im się kazał w drodze zatrzymywać, to znów puszczał, tak że dopiéro po dwóch miesiącach, przebywszy zaledwie 150 kilom., stanęli w stolicy Karamsi'ego, zbudowanéj na prawym brzegu rz. Kafu, dopływu Nilu. Tutaj na powitanie cudzoziemców kazano wystawić osobną chatę i w niéj „król wszystkich królów“ przyjmował cudzoziemców, siedząc na stołku, okrytym skórą lamparcią, pod rodzajem baldachimu ze skóry krowiéj, który się zwieszał z dachu. Mniéj potężny od Mtesy, wyglądał na łagodniejszego władzcę swego narodu. Dopiéro po upływie tygodnia pozwolił król ruszyć daléj cudzoziemcom. Dopłynąwszy rzéką Kafu aż do jéj ujścia, ujrzeli znów nasi podróżnicy Nil, wzdłuż którego szli daléj aż do wodospadu Karumy, gdzie potężna rzéka z trzymetrowéj wysokości rzuca się stromym spadkiem w zagłębienie ziemi. Przebywszy znów rzékę, udali się do ziemi Kidi; leży ona na prawym brzegu Nilu, obfituje w lasy, lecz mało ma mieszkańców.

Przez to że Nil opuścili, pozbawili się sławy odkrycia drugiego wielkiego jeziora Nilowego; udało się to podróżnikowi angielskiemu S. W. Bakerowi. Znając trudności i niebezpieczeństwa, na które narażoną jest każda większa wyprawa wskutek przyrody zwrotnikowéj, nieprzyjaznego usposobienia plemion tamecznych i wewnętrznych zaburzeń, Baker spuścił się na własne siły; w niebezpiecznéj podróży miała mu towarzyszyć jedynie małżonka. Spodziewał się on spotkać się ze Speke'iem i Grant'em, i rzeczywiście spotkanie nastąpiło w Gondokoro, dokąd dwaj ostatni

dostali się po wielu trudach 23 lutego r. 1863. Gondokoro, położone nad górnym Nilem Białym, znajduje się w ziemi Barów, najbardziéj wojowniczego szczepu z mieszkających koło Nilu; nie jest to typ czysto murzyński, gdyż nie mają warg wywiniętych, ani płaskich nosów; tylko gęsty włos wełnisty stanowi rys podobieństwa z murzynami. Zamieszkują chatki, plecione robotą koszykowa, a spoczywające na palach do 60 centym. wysokich; dziedziniec otaczający chatkę pokrywają mięszaniną z nawozu krowiego i piasku, a utrzymują go w wielkiéj czystości. Do boju używają dzid, maczug, łuków i strzał; te ostatnie nacierają trucizną roślinną. Ciało zranione taką strzałą bardzo prędko gnić poczyna. Na wschodzie graniczą Barowie z Latukami, pięknem plemieniem murzyńskiém. Wzrost ich przecięciowo wynosi 1,68 m.; odznaczają się wielką muskularnością, kształtnemi ramionami i nogami, wielkiemi oczami i umiarkowanemi usty z grubemi wargami. Mężczyźni wiele czasu poświęcają strojowi. Włosy przeplatają niémi, tak iż tworzy się rodzaj pilśni włósianéj, która ciągle się powiększa z przyrostem włosów i dochodzi do kilku centymetrów grubości. To znów stroją się w rodzaj przyłbicy: czoło ozdabiają błyszczącą opaską miedzianą, ciemię grzebieniem z tegoż materyału, a na tém przymocowują kilka piór strusich; kto jest bogaty, ubiera ową pilśń włosianą szklanemi paciorkami, muszlami i innemi fraszkami. Wyrabiają wiele przedmiotów żelaznych, które za granicę wywożą; broń, mianowicie

sztylety, krótkie miecze i włócznie robią sobie sami; w urządzeniu swych mieszkań okazują też zręczność do rzemiosł. Zmarłych chowają z wielką czcią, przy odgłosie wielkich bębnów i rogów, tańcząc przytém pięknie w malowniczych strojach; po niejakim czasie wykopują kości pochowane, zbiérają je w gliniane naczynia i stawiają w miejscu wspólném, gdzie przechowują kości wszystkich umarłych. Przebywszy potężny łańcuch górski, który się ciągnął na południe od tamtego kraju, dostał się Baker do ziemi Obbów, bardzo żyznéj krainy, rodzącéj wiele trawy, dzikiego wina i tytuniu. Ludność tamtejsza różni się od Latuków i mową i powiérzchownością. Idąc daléj, dotarł do kraju Karamsi'ego, przez który już przedzierał się Speke z Grant'em; a przeszedłszy głęboką dolinę i i przekroczywszy nowe pasmo gór, znalazł się w połowie marca r. 1864, po cztérnastodniowéj podróży, nad upragnioném jeziorem. Ciągnie się ono u stóp owego pasma, na południe i południo-zachód od niego. Uradowany dążył Baker wązką ścieżką ku jezioru, na co potrzebował całych dwóch godzin, z powodu niemocy cielesnéj. Droga prowadziła go przez łąki i pastwiska, między pochyłością góry a jeziorem leżące. Spragniony, napoły zemdlały, rzucił się Baker z chciwością i napił się dosyta źródlanéj wody Nilowéj; odpoczął zaś w sąsiedniéj wiosce Wakowii. Jestto osada rybacka, mało zaludniona, gdyż z powodu solankowego gruntu nie można się zajmować uprawą roli; oprócz rybołówstwa ludność trudni się dostarczaniem soli, którą stamtąd daleko rozwożą. Podróżnik nasz

musiał się 8 dni zatrzymać, nim sobie z pomocą rybaków przygotował dwie łodzie i kilku wioślarzy. Żeglował po jeziorze około potężnego wodospadu rzéki Kaigiri, która z wysokości 300 metr. rzuca się do jeziora, i koło małych biédnych wiosek. Po cztérnastodniowéj żegludze zbadał, że jezioro wypełnia głęboką kotlinę wyżyny środkowoafrykańskiéj i że dokoła otoczone jest spadzistemi stokami gór okolicznych. Odkryte jezioro nazwał Baker „Albert-Nyanza," sąsiednia zaś ludność zowie je „Mwutan". Dopłynąwszy do krańca północnego przekonał się podróżnik, że pasmo pobrzeżne się zniża; żeglując napotkał też wielką odnogę wodną, ujście Karuma-Nilu. Popłynął nią daléj i spostrzegł, iż rzéka, dotąd na 500 metrów széroka, nagle się zwęża na 180 metr. Okrążywszy wystającą skałę, znalazł się przed wodospadem, gdzie rzéka, zwężona do 40 m., z wysokości 50 m. prostopadle między skały spada. Wodospad ten otrzymał nazwę od Murchison'a, b. prezesa towarzystwa geograficznego w Londynie. Wielką miał ochotę Baker dostać się do wodospadu Karumskiego, lecz mnóstwo wirów na rzéce i niepokoje polityczne stanęły mu na zawadzie; prócz tego dészcz nieustanny i febra przyprowadziły podróżnika do takiego stanu, iż nic nie mógł przedsięwziąć. Sąsiedni naczelnik Karamsi obiecał mu swą pomoc dopiéro pod tym warunkiem, żeby mu Baker pomagał w wojnie z okolicznemi plemionami; ostatecznością zmuszony zobowiązał się nareszcie Baker do tego, i wtedy odprowadzono go do rezydencyi Karamsi'ego, Kisuny. Kiedy wkrótce po-

tém nieprzyjaciele zrobili napad, podróżnik nasz zatknął na swéj chacie chorągiew angielską i rozkazał, aby przed upływem dnia cofnęli się za Nil; środek ten pomógł w istocie, gdyż murzyni bardzo się bali sądu Chartumskiego. Na szczęście dla Baker'a, w jesieni r. 1864 zjawił się Turek Ibrahim nad Nilem i powracając zabrał z sobą podróżnika do Szoi, prowincyi wysoko położonéj i daleko zdrowszéj. Tam zatrzymał się Baker aż do lutego r. 1865, następnie brzegiem rzéczki Unuame ruszył daléj, doszedł znów do Nilu Białego i jego brzegiem powracał.

Jakkolwiek podróż Baker'a uczyniła bardzo prawdopodobném zdanie, że Nil Biały wypływa z jez. Mwutanu, sprawdziła to dopiéro dokładnie podróż Włocha R. Gessi'ego w roku 1876. Badacz ten, wyruszywszy z Dufili nad Bahr-el-Dżebel'em, popłynął częścią Nilu, dotąd nieznaną, aż do jeziora Mwutanu, żeglował po niém, a ostatniego marca r. 1876 przybił do lądu w Magunga, na brzegu północno-wschodnim. Nie udało mu się wprawdzie opłynąć dokoła całego jeziora, sądzi jednak, że ma ono do 240 kil. długości a 100 szérokości; jest zatém daleko mniejsze od Ukerewe i Tanganiki. Na północo-zachód od Mwutanu leży porzecze bardzo rozgałęzione, którego wszystkie wody spływają z lewéj strony do Nilu Białego. Największą rzéką jest tu Bahr-el-Ghasal, która pod 9° szér. półn. wpada do właściwego Nilu, Bahr-el-Dżebelu; z jéj dopływów zasługuje na wzmiankę Bahr-el-Homr z zachodu i Bahr-el-Djur z całym szeregiem równolegle do niéj płynących z południa. W tych

okolicach przez długie lata odbywał podróże konsul. angielski J. Petherick. Jeszcze w r. 1858 wzdłuż rz. Djur'u dostał się on do górzystéj prowincyi Mundo; w podróży r. 1862 zamierzał spotkać się ze Speke'iem i dotarł aż do Waja, skąd osobny oddział jego ludzi pod dowództwem Musada ruszył do Wanii, bardzo blisko od Mwutanu; Petherick zaś pociągnął bardziéj na wschód do Gondokoro i przyszedł tam tylko o pięć dni późniéj od Speke'a i Grant'a. W r. 1860 dolny bieg Djuru zbadał margrabia włoski Antinori; w latach 1863—65 K. Piaggia, również Włoch rodem. Z kraju nad Djurem kupiec koptyjski Ghattas zaprowadził go do naczelnika, rządzącego ziemią Niam-Niam; w téj wyprawie Piaggia spotkał się z T. Heuglin'em i Steudner'em. Z ziemi Niam-Niam robił częste wycieczki, w których dotarł aż do Kify w ziemi Monbuttu (1° szer. półn.); tam dowiedział się o wielkiém jeziorze równikowém, znajdującém się niedaleko; zadowolnił się wszelako widokiem wysokiego łańcucha, chmurami osłoniętego, a jeziora nie zobaczył.

Najlepszych jak dotąd wiadomości o téj krainie dostarczył nam podróżnik niemiecki, Dr. J. Schweinfurth. Zahartowawszy się w piérwszéj podróży, którą odbywał po Egipcie i Nubii w r. 1863—66, zbadawszy tam góry nadbrzeżne nad morzem Czerwoném, ziemię plemienia Biszarin i północne stoki wyżyny abissyńskiéj, udał się zaraz w r. 1868 z powrotem w podróż do Afryki środkowéj. Podróżując miał sposobność doskonale przekonać się o pożytku z osad handlowych ufortyfikowanych, które w krajach rów-

nikowych pozakładali kupcy z Chartumu; idąc drogami uczęszczanemi przez nich i pod ich opieką, dotarł najdaléj ze wszystkich dotychczasowych podróżników niemieckich w głąb krajów środkowo-afrykańskich. Kupcy chartumscy pourządzali sobie w prowincyach, sąsiadujących z krajami, skąd wywożą kość słoniową, tudzież między przychylnemi sobie plemionami, składy swych towarów, które zostają pod strażą uzbrojonych najemników; prócz tego składy takie służą im za punkt oparcia w podróżach do wnętrza tych krajów i utrzymują komunikacyą z drogami wodnemi porzecza Nilowego. Takie składy kości słoniowéj, amunicyi i innych towarów do wymiany na płody naturalne zowią się „seriba“; są to właściwie niewielkie wioski, otoczone palisadą. Każdy taki kupiec ma w różnych miejscowościach rządcę swego z pewną liczbą agentów; ci dowodzą oddziałami zbrojnych, ściągają od krajowców żywność, dostarczają tragarzy w czasie pojedyńczych wypraw, stanowią między plemionami spokojnemi starostów, walczą z nieprzyjaznemi, zawiérają umowy z naczelnikami prowincyj bogatych w kość słoniową i raz do roku ekspedyują nagromadzone zapasy do Chartum. Towary przewożą rzékami Bahr-el-Ghasal i Bahr-el-Dżebel. Ponieważ z prowincyi Niam-Niam dowożą bardzo wiele rzeczy, udał się tam Schweinfurth rzeką Gazel i dnia 22 lutego r. 1869 przybył do miejscowości, gdzie potężna rzéka pozornie ginie nagle w labiryncie kanałów między małemi wyspami. Tam znalazł nasz podróżnik 18 łodzi, do połowy zagrzebanych w błocie i glinie. W sąsiedztwie są osady plemienia Lao. Rządziła niém wonczas sędziwa niewiasta Szol, która, posiadając liczne stada, żyła w zgodzie z cudzoziemcami; oni zaś oszczędzali jéj posiadłości, aby można było zatrzymać się tam bez przeszkód. W dalszéj podróży nad rzéką Gazel, dążył Schweinfurth przez terytoryum Dinków, którzy zamieszkują całą prawie nizinę na prawym brzegu; jestto rozległa przestrzeń pochodzenia napływowego, którą miejscami tylko urozmaicają gaje. Mieszkańcy mają płeć bardzo ciemną, lecz kiedy oczyszczą się z popiołu, którym ciało pocierają, skóra przybiéra barwę jaśniejszą. Mężczyźni są przystojniejsi od kobiét, choć wiele twarzy ma rysy małpie; wzrost wynosi przeciętnie 1.74 metra; szczególnemi znamionami ich typu są ramiona poziome i ostro wklęsłe, długa szyja i głowa w tylnéj części śpiczasta. Włosy noszą po większéj części krótkie, na ciemieniu kitę ozdobioną piórami strusiemi. W uszach mają pierścienie żelazne; kobiéty przebijają sobie także górną wargę i zakładają pręciki żelazne lub podługowate paciorki szklane. Tatuowanie lubią tylko mężczyźni i różnią się niém od innych plemion; 10 pręg w kształcie promieni idzie od nosa przez czoło i skronie. Mężczyźni odzieży nie noszą, kobiéty zaś używają z przodu i z tyłu dwóch zasłon skórzanych, z brzegami ozdobionemi paciorkami szklanemi i dzwoneczkami. Żelazo cieszy się tam wielkiém znaczeniem; niekiedy kobiéty mają na sobie ozdób żelaznych do 20 kilogr.; mężczyźni znowu przekładają pierścienie z kości słoniowéj, któremi ozdabiają sobie ramiona. Oryginal-

ny mają sposób okazywania smutku: zawieszają sobie na szyi powróz. Stada bydła rogatego, kóz i owiec składają ich główne bogactwo; trzymają je w oddzielnych budynkach, daleko od siebie leżących; to też wiosek tam niéma. Również niéma między niemi żadnéj łączności politycznéj; jakkolwiek w obyczajach i zwyczajach, oraz w pochodzeniu, wspólność jest widoczna. W sąsiedztwie z niemi mieszkają Djurowie, jaśniejszéj cery od tamtych; w podobny sposób jak i tamci, ozdabiają dolną część ramienia kółkami żelaznemi, lecz nigdy się nie tatuują; właściwą im ozdobą są ciężkie kółka mosiężne, z różnemi wyrytemi na nich rysunkami. W marcu opuszczają zwykłe siedziby i łowią ryby lub wytapiają rudę w lasach i wyrabiają rzeczy żelazne; uprawą ziemi, jak również wyrobem przedmiotów glinianych, zajmują się kobiéty. Na południe od nich, między 6-8° szer. półn., leżą siedziby Bongów, którzy graniczą na północo-wschodzie z Dinkami, na południo-wschodzie z plemieniem Mittu, na zachodzie z plemieniem Golo, na południu zaś z ziemią plemienia Niam-Niam. Kolor skóry mają Bongowie czerwono-brunatny, jakby w zgodzie z czerwonym gruntem ich kraju. Wzrostu są średniego, muskuły mają silnie rozwinięte, górna część ciała posiada rozmiary stosunkowo wielkie; oprócz tego odznaczają się u nich szérokie czaszki. Po większéj części trudnią się uprawą roli, choć też nie pogardzają rybołówstwem i myśliwstwem. Ze szczególną troskliwością budują swe mieszkania; stawiają je w kształcie ostrokręgu, a na dachu zaopatrują w okrągłą słomianą po-

duszkę, zwaną „goń,“ z któréj obserwują swe pola. Wiele starań poświęcają też na wyrabianie przedmiotów z żelaza. Za najpiękniejszą ozdobę dla mężczyzn uchodzi rzęd złączonych kółek żelaznych, „dangabor“; każde kółko ściśle przystaje do sąsiednich i jest jakby przykute do ciała tak, iż ramię w niższéj części okrywa się całkowicie niby pancerzem. Bongowie miłują wielce muzykę; małe flety lub monochordy są zwyczajnemi, w czasie zaś uroczystości, aby szumniejszą muzykę sprawić, biją w kotły i trąbią na drewnianych trąbach; wrzawę taką powiększają kobiéty i dzieci, uderzając dyniami pełnemi kamyków lub kijmi o kije. Mężczyźni odziéwają się skórzaneni fartuchami, które koło pasa zawiązują, kobiéty gęstemi gałązkami; reszta ciała pozostaje nagą. Brak odzieży wynagradzają sobie licznemi ozdobami; kobiéty zamężne przebijają wargę dolną i wkładając coraz grubszy kawałek drewna, starają się stopniowo rozszerzyć otwór; warga górna dźwiga mosiężną igłę lub kółko. Oryginalnie odbywają się u Bongów pogrzeby. Zaraz po śmierci układają ciało w ten sposób, że kolana dotykają brody, szyję wiążą z udami, potém wkładają trupa do worka skórzanego i spuszczają do grobu na metr głębokiego; żeby zaś ziemia nie gniotła nieboszczyka, wsuwają ów worek do niszy na boku grobu zrobionéj. Mężczyzn kładą twarzą ku północy, kobiéty twarzą ku południowi; na grobie rozkładają kamienie i zatykają w około pale, tak iż mogiła ma kształt cylindra.

W dalszéj podróży po porzeczu djurskiém (wody jego spływają w kierunku północnym ku rzéce Gazel) przekonał się Schweinfurth, że kraj stopniowo się wznosi; na wysokości 900 metrów otworzył się oczu jego widok na nową dolinę, przez która przepływa w kierunku zachodnim rzéka należąca już do porzecza Nilu. Schweinfurth był piérwszym z Europejczyków w tych okolicach. Daléj na południe dążył przez ziemię Niam-Niam; nazwa ta wzięta z narzecza Dinków oznacza „żarłoka"; miejscowa zaś nazwa brzmi „Sandeh." Oblicze mieszkańców wyraża dzikość i stanowczość, lecz zarazem i prostotę; na okrągłéj i szérokiéj głowie, z oczami nakształt migdałów, wisi długi warkocz: twarz odznacza się foremnym nosem, wielkiemi wargami, okrągłym podbródkiem i pełnemi policzkami. Kolor skóry ten sam jak u Bongów; oznaką plemienną, różniącą ich od tych ostatnich, są 3—4 kresy oznaczone na czole, skroniach i policzkach, oraz figura kształtu X na dołku piersiowym, jako téż różne desenie na piersiach i górnéj części ramion. Mężczyźni nadzwyczaj dbają o włosy; rozdzielają je przedziałem na środku głowy na dwie strony, na podziale idzie od czoła w tył zarzucony cienki warkocz, a naprawo i na lewo od niego rzęd warkoczyków, podobnych do żeber melona i na skroniach w węzeł powiązanych; z węzłów tych spuszczają się oddzielne loki, z których 2—3 najdłuższe wolno na ramię są zarzucone. Znani są jako ludożercy: zjadają ciała poległych w boju, a i w czasie pokoju spożywają zwłoki tych, co zmarli nagle, nie pozostawiw-

szy krewnych; zęby spożytych noszą na sznurkach, a czaszkami na palach zatkniętemi ozdabiają swe mieszkania. Jednak na ich korzyść powiedzieć trzeba, że tylko niektóre ich plemiona hołdują ludożerstwu.

Droga prowadziła daléj przez kraj nierówny, porosły lasem dziewiczym i przerznięty licznemi rzékami. Wkrótce stanął Schweinfurth nad potężną rzéką, wijącą się w kierunku zachodnim; szérokość jéj wynosiła 250 metr., głębokość przy najniższym stanie wody 8 metr.; tworzy się ona o 8 kilom. od miejsca, gdzie się zatrzymał podróżnik po raz piérwszy, ze zbiegu dwóch rzék: Gaddy i Kibali, które, jak mniemał badacz, wznosząc z cech rzéki górskiéj, mają niedaleko stamtąd swe źródła w górach Niebieskich na północo-zachód od jez. Mwutanu. Południową część ziemi Niam-Niam przerzyna rz. Uelle, do któréj wpada wiele dopływów z południa; według zdania Schweinfurth'a jest to wschodnia odnoga z pomiędzy dwóch, które w kraju Bagirmi łączą się w jednę rzékę, Szari, i głównie zasilają jezioro Czad. Południowe jéj dopływy dążą z kraju zamieszkanego przez plemię Monbuttu, który możnaby nazwać rajem. Z niewielkich pochyłości patrzą na podróżnika obszerne lasy bananowe, siéć rzék i potoków żywi piękne gaje palmowe. Nic dziwnego, że owoce stanowią główne pożywienie mieszkańców. Zwierząt domowych nie chowają; mięsa dostarczają słonie, bawoły, dzikie świnie i antylopy. Tylko kobiéty uprawiają rolę, zbierają płody i wyrabiają naczynia gliniane; mężczyźni znają jedynie polowanie i wojnę, choć niektórzy z nich

poświęcają się kowalstwu. O przyprawy do potraw bardzo dbają; między niemi ważną gra rolę tłuszcz ludzki, bo też ludożerstwo jest tu jeszcze bardziéj rozpowszechnione niż między plemieniem Niam-Niam. Mieszkając w sąsiedztwie z całym szeregiem plemion zupełnie dzikich, któremi pogardzają i z któremi częste walki toczą, mają Monbuttowie obfitéj zdobyczy poddostatkiem; ciała poległych w bitwie dzielą zaraz na pobojowisku, jeńców zaś pędzą do domu, gdzie ich zabijają i spożywają; dzieci zdobyte dostają się, jako najsmaczniejszy kąsek, na stół królewski. Monbuttowie mają płeć jaśniejszą od innych narodów środkowo-afrykańskich; zasadnicza barwa zbliża się do koloru kawy mielonéj; u wielu napotykamy włosy jasne, a dłuższy i mniéj zadarty nos różni ich dostatecznie od plemion murzyńskich. Od Niam-Niam różnią się odzieżą, którą sobie przyrządzają z łyka figowego, tudzież strojem włosów: w tyle robią z nich walcowaty lok, na przodzie zaś plotą w cienkie warkocze, idące od skroni do skroni przez czoło. Na kowalstwie znają się bardzo dobrze; Schweinfurth widział misternie ukute cienkie łańcuszki żelazne, używane za ozdobę; oprócz tego uprawiają snycerstwo. Wiosek tam niéma; większą wsią jest tylko rezydencya króla Munsy, którą zwiédził podróżnik. Daléj na południe od téj miejscowości (3—4° szer. półn.) już się nie posunął, lecz zwrócił się na północ. W drodze z powrotem robił też Schweinfurth dalsze wycieczki. Zwiédził łańcuch Baginze we wschodniéj części ziemi Niam-Niam, a stamtąd w kierunku zachodnim udał się do kraju

Golów i do pustyń Dar-Fertit, gdzie mają źródła rzéki Dembo i Biry, płynące ztąd na północ do Bahr-el-Arabu. Powróciwszy do rzéki Gazel dostał się do Nilu, a z jego biegiem udał się daléj.

Ze wskazówek dotąd podanych wypada, że Nil Biały wypływa z jeziora Mwutanu, w północnéj jego części, i przez kraj wzniesiony dąży w kierunku północnym ku nizinom daléj położonym; pod dziewiątym równoleżnikiem północnym przyjmuje w siebie wielki dopływ „rzekę gazell“, przez którą spływają do Nilu wody z rozległéj siéci rzék, biorących początek na północo-zachód od Mwutanu i płynących przez czas dłuższy równolegle do Nilu; dopływ Bahr-el-Arab prowadzi znów wody z zachodu, W miejscu, gdzie się łączy z rzéką Gazel, zwraca się Nil, do pewnego stopnia zmuszony silnym prądem, płynącym z zachodu, w kierunku wschodnim; niedaleko stamtąd, przybrawszy z południo-wschodu rzekę Sobat, znów się kieruje ku północy i pod Chartum łączy się z Nilem Niebieskim. Wielka odnoga, łącząca jezioro Mwutan z jez. Ukerewe, uważa się obecnie także za część Nilu Białego; zatém kolebką Nilu jest Ukerewe. Do tego ostatniego toczy swe wody wiele rzék z południa i zachodu; otóż, którą z nich uważać należy za właściwy początek Nilu, jest rzeczą całkiem podrzędną, zwłaszcza jeżeli zważymy, że sami krajowcy na kwestyą tę wcale uwagi nie zwracają; że więc rozstrzygnięcie pytania, nie mając podstawy w miejscowéj nazwie, zależy od określenia któregokolwiek podróżnika i od

uznania jego poglądu przez ogół. Niechże zatem za kolébkę Nilu uważa się jezioro Ukerewe.

B. Podróże po właściwéj Afryce środkowej.

Rzéka Kongo i kwestye z nią związane. Piérwszych wiadomości o właściwéj Afryce środkowéj dostarczyli nam Portugalczycy; były one jednak bardzo skąpe, albowiem, szczególniéj od czasu, kiedy zaprowadzono handel niewolnikami, zależało Portugalczykom wiele na tém, ażeby owe kraje pozostały dla innych narodów europejskich zakryte mgłą tajemniczości. Grabieże i morderstwa, które panowały na wybrzeżach, doskonale podtrzymywały takie dążenia. Dopiéro na schyłku zeszłego stulecia nastąpiła zmiana: Portugalczycy sami jęli podróżować po swych posiadłościach i szerzyć o nich wiadomości. Najpiérwszy wspomina się tu F. J. de Lacerda, który w r. 1798 przedsięwziął podróż z Mozambiku do Kasembe (położonego na północ od jez. Bangweolo), lecz wkrótce zmarł w czasie wyprawy. Lepiéj się powodziło wyprawie, którą urządził do tegoż kraju chorąży Monteiro z kapitanem Gamittem, kiedy pewna liczba mieszkańców z Kasembe pokazała się w osadzie portugalskiéj Tete (nad dolną Zambezi) z kością słoniową na sprzedaż. Gubernator portugalski skorzystał z okoliczności, wysyłając do owego kraju poselstwo dla zawiązania stosunków handlowych. Celu tego wprawdzie nie osiągnięto, lecz zdobyto wiele ciekawych wiadomości geograficznych. Wyprawa ruszyła z Tete 1 czerwca r. 1831 przez kraj Marawów w kierunku północno-zachodnim. Marawowie trudnią się uprawą ziemi na dość széroką skalę: skopawszy żelaznemi motykami rolę i oczyściwszy ją z chwastów, sieją rośliny strączkowe, melony i dynie. Z powodu ciągłych wojen stawiają swe okrągłe chaty w pobliżu gór i lasów. Religia ich jest bardzo mało rozwinięta, jakkolwiek wierzą w istotę niewidzialną i w wędrówkę dusz; wiara jest zanieczyszczona wielu zabobonami, jak naprzykład, że wszelkie złe pochodzi od dusz zmarłych lub od czarownic; w czasie niepogody przywołują czarownika, żeby wskazał winnego i sądzą. Bóstwami domowemi są u nich małe węże, które wielką czcią otaczają; w razie walki przedewszystkiém starają się dla nich o bezpieczeństwo i za nie się poświęcają. Nie zatrzymując się tam dłużéj, udali się nasi podróżnicy przez posiadłości Czewów i Tambuków, którzy zajmują obszerne równiny i stepy. Dnia 8 sierpnia przybyli do stolicy Mukandy, głównego naczelnika; otrzymawszy podaruuki, złożone z różnych materyj bawełnianych, sukna czerwonego, paciorków i soli, Mukanda sam przyszedł do obozu, powitał ich uprzejmie i uczęstował. Ziemia Czewów jest jeszcze lepiéj uprawna i zaludniona niż kraj Marawów, lecz nie obfituje w lasy. Kiedy następnie dostali się na terytoryum Muembów, przekonali się, że kraj, wskutek wojen, zupełnie był zniszczony; cierpieli téż wielki głód, aż po wielu przeszkodach spotkali jednego poddanego Muaty Kasembe, który się zobowiązał po-

prowadzić ich przez kraj zaludniony. Gdy się reszta zapasów żywności wyczerpała, nie chcieli osłabieni murzyni iść daléj i powstał bunt ogólny; uśmierzywszy burzę i ukarawszy głównych przywódzców, posuwał się Monteiro daléj i dotarł do łańcucha Tjimpire, gdzie się zatrzymał, oczekując na pozwolenie Muaty do dalszéj podróży. Na drugi dzień zjawili się w obozie Europejczyków posłowie Muaty, przynosząc dary, jakoto: skóry lamparcie, suszone mięso, ryby, a żądając w imieniu władcy fuzyj, prochu, krzemieni i flaszek. Na dowód, że dozwolono im wstępu do państwa Kazembe, dostali Europejczycy kości słoniowéj i kilku niewolników. W drugiéj połowie listopada przyszli do stołecznego miasta Kazembe. Jesto ulica, $^3/_4$ godziny drogi długa, ogrodzona z obu stron wysokiemi płotami, w których są małe drzwiczki otwarte. Na końcu ulicy znajdowała się chata, otwarta od strony zachodniéj, z drewnianym posągiem podobnym do człowieka; przed nią ciągnął się plac wielki czworokątny. Na końcu placu stały cztéry liche chatki, które dostali podróżnicy na mieszkanie. Wkrótce zaprowadzono ich przed króla, który powitał ich, otoczony całem swém wojskiem, mając po bokach dwie główne żony, harem z 400 kobiét i najważniejszych dostojników. Zaraz na drugi dzień wyprawił Muata posłańca po dary, których żądał nader wiele; obdarowany, jeszcze się tém nie zadowolnił, lecz żądał coraz więcéj i tak trapił Europejczyków umyślnie przez sześć miesięcy. Portugalczycy starali się nabyć od niego miedzi kości słoniowéj i niewolników

nie chcąc bez żadnego zysku powracać. Ostatecznie puszczono ich spokojnie z niewolnikami, kiedy w końcu kwietnia 1832 r. zaczęła grasować ospa.

Monteiro, jakeśmy widzieli, przedzierał się w głąb Afryki ze wschodu; węgierski zaś podróżnik L. Magyar próbował dojść tam ze strony zachodniéj. Służąc w marynarce austryackiéj, odbywał on podróże zamorskie; dostawszy się do Ameryki południowéj, wstąpił do służby w rzplitéj argentyńskiéj, stamtąd przeszedł do Brazylii i znów służył na różnych okrętach. Poznał wtedy brzeg zachodni Afryki, a w r. 1849 wyruszył z Bengueli w podróż do wnętrza. Przybywszy do miasta Bihe, zaślubił jednę księżniczkę murzyńską i na stałe tam pozostał, robiąc częste wycieczki do sąsiednich krajów. Liczne plemiona murzyńskie, które tam zamieszkują, nazwał Magyar ogólném imieniem Kimbundów. Punktem środkowym u nich jest miasto Bihe, do którego prowadzi droga z Bengueli prosto na wschód. Brzegiem rzéki Katumbelli dostał się do wulkanicznego pasma Bimby, w którém powyższa rzéka bierze początek; przekroczywszy takowe, przybył do kraju rozbójniczych Kisandżów; stamtąd zaś doliną Kubal do [illegible] Lingi i nareszcie do kraju Hambo. Od miasta Bihe oddzielało go jeszcze pasmo Diamba. Ludność tego kraju zachowuje wiele zwyczajów dzikich, jak naprzykład, że w czasie większych uroczystości narodowych spożywają mięso ludzkie razem z bawołem i [illegible] przypuszczają bowiem, iż jedząc ciało walecznych

CZYTELNIA [illegible] m. Radomia.

nieprzyjaciół, poległych w boju, sami staną się nadzwyczaj mężnemi. Chaty mieszkańców bywają duże, starannie zbudowane, ze ścian na trzy metry wysokich, ze słomianemi strzechami; na ścianach pomalowanych białą lub czerwoną glinką są różne ozdoby, przedstawiające zwierzęta. Zboże przechowują w licznych stodołach; są one okrągłe, wzniesione na metr, a pokryte strzechą słomianą, którą się zawsze podnosi, kiedy wypada wziąć zboża.

Podczas dalszych podróży, Magyar, przebywszy rzékę Kwansę, dostał się do kraju Kibokoów. Jest to kraina górzysta, którą możnaby porównać do Szwajcaryi, gdyby posiadała lodowce i nagie skały; szczyty ma po większéj części zaokrąglone; w wąskich dolinach biegnie niezliczone mnóstwo strumieni. Leży między 10—13° szer. połud. i 20—22° dł. wschod. (Gr.). Ludność gęsta, mieszka w chatach, oddzielnie lub gromadkami leżących; koło chat znajdują się pola, na których uprawiają wiele manioku i kukurydzy, proso, fasolę i tytuń. Skutkiem częstych dészczów powietrze jest przeważnie chłodne, bywa nawet zimne w lipcu, w nocy woda w naczyniach glinianych pokryła się Magyar'owi cienkim lodem, a ziemia w około bieliła się od szronu. Wody, których tu mają obfitość, tworzą wiele rzék; z nich najważniejsze są: Kassabi, Lunge-bungo, Lu-medżi i Lu-ena. W porzeczu piérwszéj z tych rzék głównie bawił Magyar podczas podróży. Na południe od jéj źródeł leży granica wschodnia państwa Kibokoów, do któréj przylega górzysta wyżyna, obszerna i gęstymi lasami porosła; w

lasach tych mieszkają Mukanlalowie, których, według zdania Magyar'a policzyć trzeba do najnędzniejszych ze wszystkich, jakie gdziekolwiek istnieją. Wzrostu są małego, nieco wyżsi nad 1 metr, koloru czarno-brunatnego; cała postać nadzwyczaj dziwaczna: ciało spoczywa na cieniutkich nogach, jest chude choć dosyć muskularne; na cienkiéj szyi opiéra się wielka głowa z zupełnie równą twarzą, na której widać nos tępy, szérokie usta z grubemi wargami i małe oczy; uszy mają wielkie, włosy wełniste, krótkie. Usposobienia są spokojnego, dla obcych także uprzejmi. Za tytuń i fraszki szklane może podróżnik dostać kości słoniowéj, wosku, miodu i suszonego mięsa. Usposobieniu miłującemu spokój zawdzięczają Mukanlolowie to, iż plemiona sąsiednie uważają ich za zwierzęta dwunogie, chwytają i do niewoli sprzedają. Magyar kupił téż sobie dorosłego młodzieńca i dwie dziewczyny z tego plemienia, a opowiada o nich, że mu służyli wiernie i poczciwie. Z rzék, które spływają z przytoczonéj wyżyny, zasługują na wzmiankę: z pomiędzy płynących na zachód Kuango, należąca do systematu rzéki Kongo; oraz płynąca daléj na wschodzie, wspomniana już Kassabi. Cały górny bieg téj ostatniéj zbadał już Magyar. Wogóle podróżnik ten zapuścił się najdaléj w głąb lądu w owych okolicach.

Ponieważ wszystkie próby, które czyniono na wybrzeżu północném od Bengueli, głównie w pobliżu saméj rzéki Kongo, w celu zbadania jéj biegu, nie przyniosły z téj strony pożądanego rezultatu; wypadło więc rozstrzygnięcia zagadki szukać, idąc nie od ujścia

ku źródłom, lecz naodwrót. Jakkolwiek rzeka Kongo przy ujściu znaną była już w końcu w. XV; jednakże o tém jak płynie nie wiedziano wcale w ciągu następnych stuleci, a to z powodu licznych wodospadów, w które dolny jéj bieg obfituje, tudzież z powodu nieprzystępnych brzegów. Dopiéro na początku bieżącego wieku kapitan angielski Tuckey dotarł (r. 1816) nkjdaléj w stronę przeciwną prądowi rzéki, aż za wodospad Jellala (14° i pół dł. wsch. Gr.). Przykład jego nie znajdował aż do naszych czasów naśladowców, głównie wskutek trudności, które każdemu badaniu na przeszkodzie stawały. Stosownie do wskazówek podanych przez Tuckey'a, możliwą rzeczą było sądzić, że środkowego biegu Kongo należało szukać aż pod samym równikiem; domniemanie takie znalazło potwierdzenie, kiedy podróżnicy po Sudanie podali wiadomości o wielkiéj rzéce, która przepływa kraje równikowe. Jeszcze w r. 1852 H. Barth słyszał o potężnéj rzéce, do któréj nawet arabscy kupcy oddawna podróże odbywają; za rzékę tę nie mogą jakoby się dostać, ponieważ szérokość jéj w tém miejscu jest taka, że z jednego brzegu nie widać drugiego. W r. 1870 dotarł Schweinfurth do wielkiéj rzéki Uelle, która płynie na zachód, a jak już wspomniano wyżéj, według jego zdania, należy do systemu jeziora Czad. Równocześnie z tém Livingstone odkrył na południe od równika, a na zachód od jez. Tanganiki, całą sieć rzék, nienależących do systemu jezior równikowych Nilu, lecz do rzéki, która bierze początek pod 10° szer. połud., przepływa jeziora Bangweolo i Moero,

a pod 4° szer. połud. dosięga miejscowości Niangwe, gdzie (przepłynąwszy zaledwie 1800 kilom.) wielkością już Nil przewyższa. W jakim kierunku płynie daléj, było tajemnicą; to téż Livingstone kusił się posunąć daléj rzéką, lecz próby jego zniweczył brak dostatecznéj pomocy. Bardzo niechętnie powracał, będąc przekonanym, że odkrył źródła Nilu; aczkolwiek inny charakter kraju i całkiem nowe zjawiska w królestwie zwierząt i roślin mogły go były upewnić, że ma do czynienia z odrębnem systemem rzecznym. Kiedy następnie G. Schweinfurth odkrył bardzo blisko od okolic, zbadanych przez Livingstona, wielki strumień płynący na zachód, można już było bezpiecznie sądzić, iż rzéki i jeziora odkryte przez Livingstona nie pozostają w związku z Nilem, że raczéj zasłużony podróżnik znalazł górny bieg rzéki zachodnioafrykańskiéj, w któréj powszechne zdanie geografów widziéć chciało Kongo. Poczém zawyrokowali geografowie, że badania nieznanéj dotąd części Afryki można dokonać jedynie z zachodu, oraz że podstawą takowego ma być oznaczenie całego biegu rzéki Kongo. Powstał wielki ruch w kołach geografów w Anglii, we Francyi i w Niemczech. Anglicy spodziewali się spotkać na połowie drogi Livingstona, wiedziano bowiem, że podróżnik będzie bawił w tymże czasie na zachód od jez. Tanganiki. Już ku schyłkowi r. 1872 wyruszyła wyprawa głównie na koszt Young'a, do brzegu zachodniego Afryki; na czele stał porucznik Grandy. Zamiarem jego było ominąć dolny bieg rzéki Kongo, gdzie klimat jest nader niebezpie-

czny dla Europejczyków, dosięgnąć rzéki powyżéj wodospadów i postępować daléj wzdłuż jéj brzegów. Dnia 20 stycznia r. 1873 wylądował Grandy w mieście portowém portugalskiém Loandzie. Stamtąd skierował się przez Ambriz do pogranicznéj osady portugalskiéj Bembe, w okolicach któréj znajdują się kopalnie miedzi i kwitnie hodowla owiec. Nie mogąc tam znaléźć tragarzy, zwrócił się na północ do kraju Kongo, którego władca Totala powitał podróżnika z czcią wielką. Kraj jest dość urodzajny; przeważnie hodują tu kukurydzę, groch i trzcinę cukrową. Zajmują się tém kobiéty, mężczyźni zaś oddają się próżniactwu. Miasto stołeczne Ambassi leży na wyniosłości, około 500 m. wysokości mającéj; kiedyś było warownią; od r. 1870, kiedy je opuścili portugalczycy, porzucając fortyfikacye przez siebie wzniesione, wszystkie budowle leżą w ruinach; widzieć téż można szczątki kościoła. Władzca Kongo panuje nad głównym gościńcem, wiodącym ze środka lądu ku wybrzeżu, i pobiéra cło za przewóz; dawniéj, pod opieką portugalczyków, posiadał znaczną potęgę, która jednak w ostatnich czasach upadła. W dalszą podróż ruszył nasz porucznik w drugiéj połowie czerwca w kierunku północnym, ku miastu Kile-Inbele. Upały były straszne. Kiedy przybył do rzeczonego miasta, władzca tameczny, będąc pijanym, zaczął tańczyć jak obłąkany naokoło cudzoziemców, wywijał rdzawym mieczem i zakazał pod karą śmierci wychodzić z miasta; w skutek tego uciekli wszyscy tragarze, czego téż właśnie pragnął naczelnik. Zaopatrzywszy się w nowych tragarzy, szedł Grandy daléj przez gęste lasy za rzékę Quiloa; ziemia tam pokryta skałami wapiennemi; dopiéro daléj ukazują się równiny trawą porosłe. Powtórnie opuszczony od tragarzy, z jednym tylko człowiekiem, dostał się Grandy do Tungwy, dość ludnéj osady. Ludność tamtejsza prowadzi rozległy handel kością słoniową i cieszy się znacznym dobrobytem. Naczelnik ma w swym domu europejskie stoły i krzesła, a żyje z przepychem; dlatego téż podarunki Grandy'ego wydały mu się lichemi, a wszystkie umowy z nim do celu nie doprowadziły: zabronił iść daléj i odmówił tragarzy. Skutkiem tego musiał Grandy ruszyć w drogę z powrotem. Tragarze często go opuszczali, tak iż zmuszony był najmować innych; ostatecznie odwołał się do księcia Kongskiego, aby mu podążył z pomocą. Otrzymawszy wiadomość, że Ambassi w skutek grasującéj ospy jest prawie wyludnione, a sam książę chory, postanowił Grandy wrócić do Ambassi, gdzie się przekonał o prawdziwości powyższych doniesień. Zatrzymawszy się tam siédem tygodni dla najęcia tragarzy, udał się znów na wyprawę w kierunku północno-zachodnim, i doszedł do Lukangi nad rz. Kongo, gdzie doznał gościnnego przyjęcia w faktoryi p. Parda. Ponieważ wkrótce potém nastąpiła pora dészczowa, zatrzymał się tam aż do połowy grudnia; daléj szedł wzdłuż rzeki aż do Mussaka, gdzie go podejmował wspomniany Parda (do kwietnia 1874). Czyniąc przygotowania do dalszéj wyprawy, otrzymał od kapitana Hopkins'a wiadomość o skonie Livingstona, poczém na wezwanie

towarzystwa geograficznego w Londynie powrócił zaraz do Europy.

Krainę nad rzékami Ogowe i Gabun'em, w któréj Francuzi mają swe osady, badali wysłani przez rząd: V. de Compiègne i A. Marche. Zwiédził ją jeszcze w latach 1854—64 podróżnik francuski Du Chaillu i opisał mieszkańców z plemienia Fanów, którzy z prowincyj, daléj na wschód położonych, ciągle się posuwają na zachód i obecnie osiadają między Ogowe i Gabun'em. Są oni dobrego wzrostu i pięknéj postaci, a znają się na wielu umiejętnościach: potrafią obrabiać żelazo, wyrabiali sobie dawniéj i oręż, zwłaszcza strzały, które jadem zatruwali, teraz zaś używają broni europejskiéj. Chociaż od czasu, jak się zetknęli z Europejczykami, porzucili ludożerstwo, nauczyli się za to innych niegodziwości. W ogóle murzyni tych okolic słyną jako miłośnicy pieniactwa, przydługich ceremonij, nieskończonych mów i częstych bójek; głównie chodzi w takich razach o kobiéty, które uważają się za bardzo korzystny majątek, gdyż można je zbyć bogatym za dobrą zapłatę, lub miéć niewolnicę. Bieg rzéki Ogowe zbadał Du Chaillu tylko w części dolnéj. Ujście rzéki tworzy deltę; odnogi końcowe leżą od siebie w odległości 120 kilom.; wyżéj ujścia rzéka przerzyna kraj pełen jezior i bagien, a przypływa tam, według relacyi krajowców, z północo-wschodu; ma się tam znajdować wielkie jezioro, nad którego brzegami leżą liczne porty Białych. De Compiègne i Marche postanowili prowadzić daléj badania Du Chaillu i poznali część rz. Ogowe aż do tego miejsca,

gdzie nazwa poprzednia zmienia się na „Okanda“ służąc nieznanéj części rzéki. Posuwając się daléj, przyszli do miejscowości Adanlinau-lango (na początku czerwca 1873), gdzie ich przyjął serdecznie naczelnik N'Kombiho (król słońca). Ponieważ w tym czasie wody rzéki opadły, a żegluga z powodu wodospadów była trudna; podróżnicy postanowili czekać, póki wody nie przybędzie, a równocześnie zawiązywać stosunki z osobnemi naczelnikami, aby im pozwolili kroczyć daléj przez swe terytorya. Oprócz tego użyli czasu wolnego na zbadanie jeziora Onangwe, które leży na południe od Adanlinan-lango, a odpływa do Ogowe trzema rzekami. Zbadali podobnież jez. Azingo na północy; wpada do niego rz. Akaloi, która, powiększywszy swe rozmiary przez liczne dopływy, krętém korytém, przez dwa jeziora, w pięknych brzegach do Azingo dąży. W dalszym ciągu przeszli nasi podróżnicy w r. 1874 przez krainy nad rzéką Ogowe położone, aż za prowincyę Okandę; daléj powstrzymało ich w wyprawie dzikie plemię Oszebów, w pobliżu rz. Iwinda, dopływu Ogowe ze strony wschodniéj. Cel więc wyprawy spełzł na niczém.

Jeszcze mniéj powodzenia miała wyprawa, zorganizowana przez niemieckie towarzystwo do zbadania Afryki, w r. 1873. Kierownictwo jéj powierzono dr. P. Güssfeldt'owi. Wyruszono w końcu maja tegoż roku. W czasie podróży koło brzegów zachodnich Afryki, okręt rozbił się w pobliżu Sierra-Leone, a większa część ładunku Güssfeldt'a została straconą. Tém niemniéj popłynięto daléj do ujścia rzéki Kongo.

Na północ od niego, w faktoryi Czinczoczo, zbudowano warownię obserwacyjną. Stamtąd podążył podróżnik nasz do prowincyi Jange, blisko rzéki nadbrzeżnej Quillo. Powróciwszy jeszcze w tym samym roku do Czinczocza, przygotowywał wespół z innemi podróżnikami większą wzprawę w głąb lądu, którą jednakże spotkało zupełne niepowodzenie z powodu nieprzyjaznych warunków już to przyrodzonych, już politycznych. Już w r. 1875 wrócił Güssfeldt do Europy, nie zbadawszy żadnego nowego kraju; zwiédzono jednakże prowincye nadbrzeżne Kabinda, Cziluango i Loango, jak równiez sąsiednie Majombe i Jangela.

W tymże roku udali się w podróż do Afryki środkowej dwaj podróżnicy niemieccy: v. Homeyer i Dr. Pogge. Z Loandy, gdzie stanęli 3 lutego 1875, wyruszyli ku rzéce Kwansa, która bierze początek pod tym samym równoleżnikiem, co miasto Banguela, płynie równolegle do wybrzeża, a następnie w kierunku zachodnim do morza dąży. Wybrzeże tamto jest piaszczyste i cierpi niezmierne upały; lecz daléj grunt się stopniowo podnosi, tak iż kraj pod względem klimatu, jak również płodów nabiéra innéj cechy. W części północnéj mieszka plemię murzyńskie Kisamów, które trudni się głównie otrzymywaniem i rozwożeniem soli po krajach sąsiednich. W dalszym ciągu dostali się podróżnicy do Pungo Adonga; stamtąd udał się Pogge wzdłuż rzéki Kwansy, przebył pasmo Masambe, dotarł do źródeł rzéki Kassabi, daléj do siedziby Muaty Janwa, gdzie wstrzymano go w dalszéj drodze; wrócił więc na wybrzeże (w kwietniu 1878).

Homeyer już był wtedy powrócił z Pungo Adonga, gdzie się rozchorował, do Loandy, a stamtąd do Europy.

Jak widzimy nie udał się zamiar, żeby od brzegu zachodniego dostać się daleko w głąb lądu; podobnież bez skutku pozostały wszystkie próby, ażeby od ujścia Kongo posuwać się w górę rzeki i zbadać bieg środkowy i górny. Rozstrzygnięcie pytania, gdzie szukać należy źródeł Kongo, i w jakim płynie ona kierunku, przypadło w udziale sławnemu podróżnikowi Stanley'owi. Podamy tu przegląd jego podróży, ile to dotyczy oznaczenia biegu Kongo. Zbadawszy wielkie jeziora środkowo-afrykańskie i wyjaśniwszy wzajemny ich stosunek, postanowił następnie Stanley posuwać się z biegiem rzéki Lualaby, ostatniéj zdobyczy naukowéj Livingstona. W ostatnich dniach października r. 1876 znajdował sie Stanley w Niangwe; było to właśnie po opadnięciu wody. Lualaba miała wtedy 1200 metrów szérokości, kiedy w kwietniu, maju, czerwcu i lipcu miéwa 4000—5000 m. Od zamieszkałych w Niangwe Arabów dowiedział się Stanley, że Lualaba płynie stale na północ; zachwiało to silnie jego przekonaniem, jakoby ta rzeka nie miała łączności z Nilem, lecz była jednoznaczną z Kongo. Powiększywszy liczbę ludzi swego orszaku do 154, udał się 5 listopada na właściwą wyprawę wzdłuż rzéki Lualaby. Rzéka płynęła stale w kierunku północnym, przez rozległą krainę Uregga; obszérne i gęste lasy przedłużały podróż i nużyły podróżników. Szli brzegiem wschodnim. Po półmiesięcznéj drodze, na-

czelnik arabski Tippu-Tib, który prowadził naszego podróżnika, począł tracić siły i odwagę; odzyskał je wszakże nanowo, gdy go sobie Stanley zjednał znacznem wynagrodceniem. Puścili się więc znowu częścią na łodziach, częścią lądem. Po drodze musieli często staczać walki z wojowniczemi krajowcami; grasująca ospa zabrała też z pomiędzy nich wiele ofiar; tak, dnia 16 grudnia pochowano w rzéce 8 trupów; d. 17 i następnych dni zmarło 6 osób, potém jeszcze więcéj. Wtedy cierpliwość Tippu-Tiba wyczerpała się ostatecznie; w końcu więc grudnia (1876) wyruszył Stanley sam daléj, mając z sobą 149 ludzi i 23 łodzie. Rzeka, którą podróżnik nazwał „rzéką Liwingstona“ stawała się coraz większą i miejscami dochodziła do 2700 m. szérokości; brzegi były gęsto wioskami pokryte, których mieszkańcy zachowywali się zupełnie nieprzyjaźnie względem obcych. Potężne dopływy zasilały tu rzékę główną, najwięcéj ze wschodu, mniéj z zachodu; między niemi rz. Lumami miała 500 m. szerokości. Jeszcze na początku tego miesiąca doszedł Stanley do całego szeregu wodospadów, które od tego czasu jego nazwiskiem ochrzcono. Z krajowcami ciągle musiał wojować; prócz tego trzeba było torować sobie drogę przez gęste lasy nadbrzeżne; te dwie okoliczności wyczerpały siły drużyny, cierpiącéj głód, i sprowadziły upadek ducha. Jeszcze między wodospadami przekroczyli równik; równocześnie rzéka główna wzięła kierunek północno zachodni, a szereg wodospadów wkrótce się zamknął. Walki z krajowcami trwały ciągle. Szérokość rzéki stawała się

znaczniejszą i dosięgała miejscami 3600 metrów; wysp przybywało; za to brzegi były płaskie i straciły na powabie. Dnia 1 lutego dotarł Stanley do 1° szer. półn., do ujścia wielkiego dopływu, nazwiskiem Aruvimi; stoczył tam zacięty bój z krajowcami. Zdobyto ich wioskę a w niéj obfitą zdobycz w postaci kości słoniowéj. W podziw wprawiały podróżników rozmaite oręże, ozdoby i sprzęty, z powodu dokładności wyrobu i wybornego materyału. Stanley utrzymuje, że wspomniany wyżéj dopływ jest rzéką Uelle, którą Schweinfurth zaliczył do systemu jeziora Czad; mniemanie to jest może prawdziwe, lecz dowody podane przez Stanley'a nie zdają się jeszcze niezbitemi. Zasilona owym dopływem rzéka główna staje się na 6—10 kilom. széroką; oblewa liczne wyspy; brzegi ma niskie. Płynie w kierunku północno-zachodnim aż do 23° dług. wsch. Gr., gdzie o dwa stopnie jest oddaloną od równika; tu zwraca się prosto na zachód i przybiera z południa dopływ Sankurru (22° dług. wsch.). Plemiona zachodnie zapuszczają się aż tutaj w celach handlowych. Tu po raz piérwszy usłyszał nasz podróżnik nazwisko „Kongo“. Niedaleko stamtąd zwraca się rzeka na południo-zachód i trzyma się stale tego kierunku, odkąd z południa wpada do niéj dopływ Ikelemba, zapewne identyczny z rzéką Kassabi. Kongo, ściśnięta w górzystych brzegach zwęża się tutaj do 2700 m., wkrótce jednakże znowu rozlewa swe fale w wielkie jezioro. Wód, które prowadzi Ikelemba do Kongo, jest olbrzymia masa: przez kilka dni drogi płyną one niezmięszane obok fal Kongo, aż cała rzeka główna nabierze barwy do nich podobnéj.

Tymczasem nowe dopływy z północy pędzą świeże masy wód do głównego koryta; Kongo płynie łożyskiem 10 kilom. szérokiém, a ściśnięta znowu górami znacznie się zwęża i powiększa bystrość prądu; wtedy zasila ją nowy dopływ, Ibari-Nkutu, dążący z południa, a według wszelkich wskazówek równoznaczny z Kuango. W tych okolicach podróżnik nasz walczył także z dzikiemi Batekami; był to już ostatni, mianowicie trzydziesty drugi, bój w ciągu całéj podróży. Batekowie daléj na zachód mieszkający, przyjaźni cudzoziemcom, ułatwili Stanley'oyi przeprawę przez wodospady w dolnéj części Kongo. Podróżnik nazwał je „wodospadami Livingstona“. Czekała tu na podzóźników praca ciężka, niemniejsza od całego szeregu, który już przeszli: musieli przenosić wielkie łodzie pomiędzy niepezpiecznemi skałami; sami brnęli w wodzie. Wiele łodzi się popsuło, należało sporządzić nowe. Niejeden wierny towarzysz rozstał się z życiem, kiedy już niemal przy schyłku drogi się znajdowali; Franc. Pocock, jedyny przewodnik europejczyk, zmarł 3-go czerwca niedaleko od wodospadu Masasy. Dzień za dniem szybko mijał przy uciążliwéj pracy, a przecież mały widać było postęp; każdą piędź ziemi musiano, że tak powiem, wydzierać naturze, która i tak wiele ofiar pochłonęła przez głód i choroby. Nie dziw zatém, że przewodnicy Stanley'a, wycieńczeni, zwątpili o pomyślnym rezultacie, że niejednokrotnie stawiali opór swemu dowódzcy, starali się ocalić ucieczką przed surową karą z jego ręki, lub okradali krajowców, aby głód zaspokoić. Ziemia licha dostarcza-

ła mało środków do życia, a tymczasem, im bardziéj się zbliżała wyprawa do wybrzeża, tém ludność okazywała mniéj ufności, dostarczając żywności jedynie za rum, lub broń: Stanley zaś piérwszego już nie miał, a drugiéj dawać nie chciał. Głód dochodził do najwyższego stopnia, kiedy na szczęście usłyszeli o bliskości faktoryi europejskiéj Bomy. Zebrawszy resztki sił, doszli 4 sierpnia do wioski Nsonda, skąd Stanley wyprawił list do osadników europejskich w Bomie, prosząc o nadesłanie mu żywności. Dnia 9 sierpnia stanęła wyprawa w Bomie, w 276 dni po wyruszeniu z Niangwe. Wkrótce potém znalazł się Stanley w Kabinda przy ujściu Kongo do Atlantyku, podróż jego rozstrzygnęła zadanie; był to czyn najznakomitszy z tych, które wykazać może historya badań geograficznych w Afryce. W prawdzie niepodobna zaprzeczyć, że, zmuszony okolicznościami dążyć co prędzéj naprzód, Stanley jedynie pobieżnie zwiédził wiele obszernych prowincyj; lecz w każdym razie oznaczył bieg rzeki Kongo, otworzył nam głąb Afryki równikowéj i przygotował grunt do dalszych badań.

C. Podróże w poprzek Afryki.

W związku z pamiętną podróżą Livingstona po Afryce południowéj stoją dwie wielkie wyprawy, które w ostatnich czasach uskutecznili w Afryce środkowéj: V. Cameron i znany nam już H. Stanley. Obaj rozpoczynali swe badania we wschodniéj części, chcąc dopełnić badania Livingstona, głównie zaś rozstrzygnąć kwestyą biegu rzéki Lualaby. Piérwszemu nie

udało się wprawdzie posunąć się daleko z biegiem tej rzeki, gdyż nie mógł zebrać potrzebnej liczby łodzi; odbył jednak w kierunku południowo-zachodnim drogę 1300 kilom. długą, przez kraj zupełnie nieznany, i dotarł w końcu do ziem w okolicy jeziora Dilolo, zwiédzonych już przez Livingstona i Magyara, stamtąd zaś dostał się na wybrzeże zachodnie w pobliżu Bengueli. O Stanley'u już wiemy, jak wysłany przez właściciela dziennika „New-York-Herald“ znalazł Livingstona, a dowiedziawszy się potém o śmierci ostatniego, postanowił sobie dokończyć dzieła rozpoczętego. Udał się w nową podróż po Afryce środkowéj na propozycyą wydawcy czasopisma londyńskiego „Daily Telegraph“ i amerykańskiego „New-York-Heralda“. Z początku zwrócił uwagę na jeziora równikowe; opłynął jez. Ukerewe, dostał się do Mwutanu i niedługo tam zabawiwszy zwrócił się do Tanganiki. Opłynął i to jezioro, poczém drogą Cameron'a dotał do m. Niangwe nad rz. Lualabą. O wyprawie jego z biegiem téj rzéki jużeśmy wyżéj mówili.

Podróż Cameron'a. W końcu marca 1873 r. wyruszył Cameron z Bagamojo w podróż w głąb Afryki. Z miejscowości rzeczonéj wychodzą też wszystkie karawany, dążące do Unjamjembe, a stamtąd ku jez. Tangan.ce. Bagamojo jestto miasto portowe, położone w niewielkiéj odległości od wyspy Zanzibaru, w prowincyi bogatéj w lasy, zwierzęta, bujną roślinność, i daleko zdrowszéj od okolic Zanzibaru. Towarzyszyło Cameron'owi 224 ludzi, dość dobrze uzbrojonych; zasługują na uwagę z jego towarzyszów: natu-

ralista irlandzki dr. W. E. Dillon, porucznik artyleryi O. Murphy i synowiec Livingstona Morfat, który, na nieszczęście, w kilka tygodni po wyruszeniu w drogę uległ wyczerpaniu sił. Droga prowadziła z początku w kierunku zachodnim, nie żałowano pośpiechu, chcąc jeszcze przed porą deszczową przebyć błotnistą równinę „Makata“; dotarli do niéj w końcu kwietnia lecz zamiar im się nie powiódł, gdyż w prędce nastały deszcze i zamieniły ową równinę w jedno wielkie bagno. Wśród wielkich trudności posuwała się daléj wyprawa; część jéj pozostała w tyle i dopiéro w miesiąc połączyła się z awangardą. Następnie wkroczyli podróżnicy do górzystéj krainy Usagara; leży ona między 36—37° dług. wsch. Gr.; napełniają ją trzy pasma gór, ciągnące się równolegle do siebie z północy na południe. Ze strony wschodniej przechodzi ona zwolna w nizinę, brzeg zaś zachodni ma spadek przykry a kształt półksiężyca wypukłością zwróconego ku wschodowi. W dolinach zbiérają się obficie wody i skrapiają dostatecznie tę krainę, obdarzoną bujnemi płodami. Główną część ludności stanowią Wasagarowie, którzy w miejscowościach wyżéj leżących odznaczają się wysokim i mocnym składem ciała, u podnóży zaś górskich są krępi. W mowie będąca kraina jest częścią kraju Ugoga, który przeważnie składa się z płaskowzgórza. Z powodu wielkiéj suszy, przeważającéj na niem, rosną tu na żółtym gruncie tylko krzaki, karłowate drzewka i nieco innych roślin. Wagogowie, mieszkańcy tamtejsi, nie są zupełnie brzydkiemi; lecz warok ich okazuje dzikość i złość; oczy

mają mocno zaczerwienione z powodu nadmiernego picia. Odzież staranniejsza, niż zwykle w Afryce zwrotnikowéj, dodaje im lepszego pozoru. Nie są niegościnni, acz niechętnie sprzedają swój dobytek. Uszy przebijają sobie i zawieszają drewienka lub pierścienie mosiężne, wyciągając tym sposobem uszy do potworności. Prócz tego, bardzo starannie utrzymują włosy: jedni je splatają w warkocze, które sztucznie sobie przedłużają za pomocą włókiem z barbabu, a na końcach ozdabiają mosiężnemi kulkami lub różnobarwnemi paciorkami; inni znów zdobią głowę lśniącemi pióniążkami miedzianemi, lub golą większą część głowy, splatając resztę włosów w warkocze nićmi związane. Następnie doszli do Kanjenje, gdzie sułtanowi Magombowi musieli cło zapłacić i stwierdzić przysięgą, że „czarownicy“ nie zostawią po sobie ani chorób, ani posuchy. Na pograniczu Ugoga, droga prowadziła daléj przez Manjeku do Unjamuesi, wpoprzek pustego kraju Mgunda Mkali, który dopiéro w ostatnich czasach zaludnili w części Wakimbowie; wystawili oni sobie wzdłuż drogi karawanowéj, wiele wiosek i zamienili w żyzne pola wiele kawałków pustéj niegdyś ziemi. Drogą tą doszli nasi podróżnicy do kraju Unjamuesi, który na zachodzie sięga aż do rzéki Malagapasi, głównego dopływu jeziora Tanganiki; kraj ten przedstawia falistą wyniosłość z łagodnym spadkiem ku zachodowi, dokąd téż wody swe wysyła; nie posiadając znacznych szczytów, pełen jest stożkowatych pagórków, na których niekiedy znajdują spore bryły syenitu. W czasie upałów grunt wyschły

ma barwę szarą, przerywaną z rzadka kawałkiem zielonéj murawy lub czarnem bagném. Za to, kiedy nastanie pora dészczów, Unjanmesi wygląda jak prześliczny ogród. Mieszkańcy, Wanjamuesowie, hodują bydło, uprawiają rolę i budują sobie obwarowane wioski; prócz tego wyrabiają grube materye bawełniane, plotą koszyki, robią misy drewniane, siodła i broń. Za pokarm służy im „ugali“, polewka z mąki, zielenina, miód i kwaśne mléko; obiad jadają o godzinie trzeciéj, przed nim palą tytuń, lub żują, używają téż do tego gliny, zwłaszcza słodkiéj z mrowisk. Unjamjembe jest główną prowincyą: tu schodzą się ze wszystkich stron karawany i dlatego arabowie założyli sobie w Kase osadę handlową. Jak tylko Cameron stąpił na terytoryum Unjamjembe, wyprawił posłów do Kuźkuru do tamecznego gubernatora arabskiego Said-ibn-Sulim'a, zapowiadając swe przybycie; gubernator przyjął podróżnika uprzejmie i ugościł. Tu spotkał się Cameron ze sługami Liwingstona, niosącemi zwłoki jego do Zanzibaru; wziął je od nich i wyprawił daléj. Dwaj jego towarzysze, porucznik Marphy i dr. Dillon, schorzali, wycieńczeni, mieli razem także wrócić na wybrzeże; pierwszy z nich dostawszy z gorączki obłąkania, zastrzelił się w drodze w połowie listopada. Ponieważ po Liwingstonie pozostał zbiór rzadkich rzeczy, w Udżidżi, Cameron miał zamiar się tam dostać, aby je zabrać i ciągnąć daléj badania zmarłego podróżnika; lecz w ziemi Wagundów zatrzymał go naczelnik tamtejszy. Zmuszony dłużéj tam zabawić, miał sposobność Cameron poznać

lepiéj ziemię i ludzi. Klimat kraju Ugandy jest zwrotnikowy; prawie codziennie zrywa się burza z silnym dészczem nawalnym. Rano, skoro świt, mieszkańcy siadają przy ogniu przed chatą i palą fajki; potém wyruszają wszyscy, oprócz starych niewiast, dzieci, naczelnika i pewnéj liczby starców, w pole do pracy. Na polu zwykle obiadują, a dopiero pod wieczór wracają do domu; wtedy nastają tańce, śpiew, w towarzystwie kubka; mężczyzni nie tańczą nigdz razem z kobiétami. Nadzwyczaj zręcznie wyrabiają oręż i urządzają swe mieszkania. Odzież sporządzają sobie z kory drzew figowych, którą zmiękczają drewnianemi młotami, a potém w długie pasma zeszywają; takie kawałki przewieszają przez ramiona i okrywają dobrze wyprawnemi skórami krów, kóz lub antylop. Ozdobą cechującą plemię, są kresy na czole i skroniach, trójkątna szpara między dwoma zębami przedniemi i trójkątny kawałek zęba hipopotama lub muszla na szyi zawieszona. Pośród wielkich trudności przekroczył nasz podróżnik, na początku lutego 1874 r., rzekę Sindi i dostał się do kraju Uwinsy. W piérwszéj wiosce, Itambarze, naczelnikiem był chłopiec ośmioletni, który bojąc się białych zaczął płakać; tém niemniéj i on żądał od nich podarunków. Szczególny mają Wawinsowie sposób powitania. Jeżeli się zejdą dwaj naczelnicy, młodszy kłania się, klęka i kładzie rękę przy nodze na ziemi, starszy zaś 6—7 razy klaszcze w dłonie; potém młodszy uderza się w lewą i w prawą pachę. Jeżeli się spotka wyższy z niższym, to piérwszy tylko klaszcze, ale nie odpowiada zupełnie na pozdrowienie niższego powtarzając ruch, który uczynił pozdrawiający. Pospolici ludzie przy spotkaniu uderzają się brzuchami, klaszczą i potrząsają sobie ręce. Ostatecznie dotarł Cameron do jez. Tanganiki dnia 18 lutego 1874 r. Jezioro to jest wąskie, lecz ciągnie się przez 6 stopni szerokości geograficznéj i może uchodzić za największe jezioro afrykańskie gdyż powierzchnia jezior równikowych nie jest jeszcze oznaczona. Długość jego, wedle najnowszych pomiarów, wynosi 700 kilom., powierzchnia zaś 3300 kilom kwadr.; tym sposobem jest ono 14 razy mniejsze od morza Kaspijskiego. Najważniejszą osadą nad jeziorem jest Kawele w kraju Udżidżi, na wybrzeżu wschodnim. Mieszkańcy, Wadżidżowie, umieją, jako nadbrzeżni, doskonale obchodzić się z łodziami, pływać i nurkować; grubemi wędkami i sieciami ogromnemi łowią ryby w wielkiéj obfitości. Ryby noszą na targ do Kawele, dokąd ze wszech stron zbiérają się handlujący jakoto: rolnicy i pasterze z Udżidżi ze swemi stadami, handlarze oleju palmowego z Udżidżi i Urundi, handlarze soli z Uwinsy i Uhhy, myśliwi na słonie i kupcy z Zanzibaru. Za wszystko płaci się tu paciorkami, zwanemi „sofi“, a podobnemi do małych kawałeczków potłuczonéj fajki glinianéj. Cameron najął sobie wygodne mieszkanie, przeniósł rzeczy i papiery, które tam pozostały po Liwingstonie i zatrzymał je u siebie, nie mogąc zaraz odesłać na wybrzeże. Nająwszy dwie łodzie, rozpoczął żeglugę d. 13 marca po jeziorze, kierując się na południe. Brzegi były rozkoszne: składała się na to żywa zieloność

drzew, czerwone skały z piaskowca i błękit wód jeziora; liczne gatunki płastwa ożywiały brzegi, w wodzie zaś roiły się obficie hipopotamy, krokodyle i mnóstwo ryb. Dziesiątego dnia Cameron opłynął przylądek Kungwe (6°5' szer. połud.), za którym poczynała się część jeziora mniéj znana dotychczas. Za przylądkiem wznoszą się wyniosłe góry, z których wody w obfitości spływają do jeziora. Żeglując daléj, zatrzymała się łódź Camerona przy wyspie Kabogu, dobrze zaludnionéj, urodzajnéj i starannie uprawnéj; potém płynął mimo ujścia rzeki Musamwiry, około wielkiego przylądka Mpimbwe, aż nareszcie po żegludze, trwającéj więcéj niż miesiąc, zatrzymał się przy wiosce Kasangalowa, najdaléj na południe wysuniętéj (8°40' szer. połud.) Dnia 19 kwietnia opuścił wioskę, chcąc opłynąć południowy kraniec jeziora i posunąć się daléj na północ wzdłuż brzegu zachodniego. Płynąc koło brzegów ziemi Uguhhy, zbliżył się do rzeki „Lukuga," która podług wskazówek przewodników tutaj z jeziora wypływa; że jednak wiadomości podawane przez krajowców są bardzo niepewne, dowiedli i owi przewodnicy, twierdząc wbrew temu, co przedtem powiedzieli, że rzeka nie wypływa, lecz wpada do jeziora, jak się dowiedzieli od mieszkańców tamecznych. Cameron przekonał się, iż woda rzek wpadających do jeziora jest słodka, kiedy tymczasem Lukuga ma wodę słoną, jak samo jezioro; potwierdziło to jego mniemanie, że Luguka wypływa z jeziora. Ponieważ rzeka ta jest bardzo zarosła, nie mógł nasz podróżnik doprowadzić do skutki swego zamiaru, aby po niéj żeglo-

wać. Powróciwszy do Udżidżi na czas krótki, wyruszył potém znowu ku brzegowi zachodniemu; przekroczył strome pasma w prowincyi Ugahha, następnie łańcuch Bambarra i dotarł do kraju Manjuema. Znajdują się tu ogromne lasy dziewicze, w których przebywają liczne stada słoni i gorylów; grunt i powietrze nader wilgotne. W wyciętych kawałkach lasu pobudowali sobie Manjuemowie oddzielne osady, w których mieszkają tak odosobnieni, że nikt się nie ośmieli iść z jednéj wioski do drugiéj, z obawy, aby go nie zabito i nie pożarto. Pozostając w innych rzeczach w tyle za innemi plemionami afrykańskiemi, przewyższają jednak wiele z nich w przemyśle domowym. Z trawy plotą sobie piękne materye na odzież i farbują na czarno, żółto lub czerwono. Kraj nadzwyczaj jest bogaty w kość słoniową; to też handel Arabów zwrócił się w tę stronę. Roślinność jest niezmiernie bujna; przez mocne i wysokie trawy zaledwie słoń może sobie utorować ścieżkę: drzewa są bardzo wysokie, tak iż śrót nie dosięgnie papugi, skaczącéj na wierzchołku, przytem roślinami pnącemi tak połączone, że z trudnością można się między niemi przedzierać. Wioski składają się z czworokątnych chat, które stoją albo długiemi ulicami, albo w kształcie promieni z wielkiego placu się rozchodzą; mają formę wielkich klatek, ściany gliną obrzucone, a strzechę pokrytą gęsto trawą. Jedyny otwór stanowią drzwi, przez które dym wychodzi i światło wpada do izby; na noc zamykają się jak najtroskliwiéj, tak iż cała rodzina z drobiem, kozami, owcami i psami spę-

dza noc przy gorejącém ognisku, w miejscu dobrze obwarowaném. Odzież mężczyzn składa się ze skórzanych zasłon, które u naczelników zastępuje wielka plachta z materyi pstro ufarbowanéj, a przyrządzonéj z trawy. Każdy mężczyzna nosi przy sobie włócznię i nóż, którego używa przy jedzeniu; naczelnicy noszą krótki miecz obosieczny, z końcem szerokim i zagiętym. Włosy zwykle sobie smarują gliną i układają w różne formy, jak: stożków, płaszczyzn i t. p.; miejsca pomiędzy temi figurami starannie strzygą. Kobiéty uchodzą za piękne i bardzo są poszukiwane przez handlarzy arabskich. Bardzo prosta ich odzież składa się jedynie ze sznurka, obwiniętego dokoła ciała, na którym u bogatszych zawieszają paciorki, a często i dwie zasłony z trawy, bogato ozdobione. W dalszéj podróży przybył Cameron do kraju, przez który kiedyś przechodził Liwingston; przez pamięć na imię tego ostatniego naczelnicy przyjęli go bardzo uprzejmie. Droga prowadziła przez rzékę Luamę, ważny dopływ rzeki Lualaby, biorący początek w górach Ugomskich blisko Tanganiki, daléj przez Kasimbik. Dnia 3 sierpnia zbliżył się Cameron do Lualaby pod ważnem miastem handlowem Niangwe, przebywszy równinę stepową, lasy dziewicze, podłużne doliny i lesiste wzgórza; wszędzie spotykał kraj gęsto zaludniony jak na brzegach rzek, tak i na stokach górskich. W Niangwe znalazł gościnność u Habed-ibn-Salima, araba, który mu dom swój wynajął. Chciał podróżnik nasz puścić się w dół rzeki Lualaby, ażeby bieg jéj zbadać; lecz napróżno starał się o łodzie do téj wy-

prawy u krajowców. Trafiło się wtedy, że kupiec Tipo-Tipo przybył do Niangwe ze swego miejsca pobytu, o dziesięć dni drogi daléj na południe leżącego, aby spór jakiś rozsądzić: otóż, dowiedziawszy się o Cameronie i jego zamiarze zbadania jeziora Sankorru, zaprosił podróżnika, aby mu towarzyszył do jego osady. Ztamtąd przez rz. Lomami udał się Cameron prosto ku jezioru. W końcu sierpnia był w siedzibie Russung, naczelnika zaprzyjaźnionego z Tipo Tipo ztamtąd o 3 kilometry znajdował się obóz tego ostatniego, w prowincyi Kasonga, naczelnika. Kasongo zaszczycił naszego podróżnika odwiedzinami. Miejscem spotkania była szopa, która w dzień i w nocy służyła mieszkańcom do zebrań; tego dnia jednak mistrz ceremonii naczelnika rozpędził wszystek lud i opróżnił miejsce przed szopą. Tu się poczęli schodzić naprzód niżsi naczelnicy, następnie odgłos bębnów i krzyki zapowiedziały przybycie właściwego zwierzchnika Na czele postępowało 6 doboszów, za niemi 20—40 mężów z włóczniami i 6 kobiét z tarczami, nakoniec sam Kasongo w towarzystwie krewnych; pochód zamykali kopijnicy, dobosze i muzykanci. Przybyli utworzyli koło, poczém Kasongo, ubrany w surdut i rodzaj fartucha z czerwonéj i żółtéj materyi wełnianéj, rozpoczął z dwiewa córkami taniec, który trwał kwadrans. Potém wszedł do szopy, rozmawiał dość długo z Cameronem i zgodził się dać mu kilku przewodników. Ponieważ naczelnik mieszkający za rzeką Lomami wypędził owych przewodników, wysłanych naprzód, pod pozorem jakoby nigdy cudzoziemcy uzbro-

jeni przez ziemię jego nie podróżowali; wypadało więc Cameronowi obejść tę ziemię i skierować się przez prowincyą Urua. Na podróż ofiarował mu Kasongo jednego ze swych znakomitszych mężów, oraz trzech z Urua. Wyruszono w drogę jeszcze przed połową września. Kilka dni szedł Cameron przez okolice dobrze uprawne i gęsto zaludnione; lud tamtejszy spożywa bardzo dużo białych mrówek, ugotowanych w polewce mącznej. Po dwunastodniowej drodze doszedł do wioski Kifumy, gdzie go naczelnik przyjął nader gościnnie. Kiedy jednemu z karawany ukradziono fuzyę, naczelnik, dowiedziawszy się o tem, prosił pokornie, aby za to nie niszczono jego wioski; nie chciał wierzyć, kiedy go Cameron zapewniał, że nie ma się czego obawiać; a kiedy karawana spokojnie wyruszyła w drogę, posłał przez wdzięczność kilka kóz do najbliższego obozu. Podróżnik przyjął z nich tylko jednę i posłał nowe podarunki; wtedy naczelnik ukląkł i obrzucił się pyłem na znak wdzięczności. Droga prowadziła daléj przez dni kilka wzdłuż rzeki Lomami, aż się podróżnik zatrzymał w osadzie Kilemby, którą tu nad rzeką tegoż nazwiska założył Arab Dżumah Merikani głównie dla handlu kością słoniową, znajdowaną tu w obfitości i bardzo piękną. Tutaj téż zatrzymał się portugalski handlarz niewolnikami Alzez, przez krajowców zwany kendele; ten ofiarował się Cameronowi, że go odprowadzi do Angoli lub Bengueli, lecz dopiero za miesiąc. Kilemba jest zarazem rezydencyą, władzcy Kasonga, który był wówczas w drodze, zbierając podatki od ociągających się;

władzy zastępowała go najpierwsza żona, którą téż podróżnik odwiedził. Zobaczywszy go, dziwiła się wielce jego białości, i nie mogła w żaden sposób zrozumieć, żeby miał być cały taki; dopiero Cameron zdjął obuwie i skarpetki i pokazał gołe nogi. Ponieważ Kasongo chciał również widzieć naszego podróżnika, a tu Alviza jeszcze na miejscu nie było, musiała karawana dłużéj się zatrzymać. Czasu tego użył Cameron na wycieczkę do małego jeziora Mohria, następnie do wielkiego jeziora Kassali, zwanego także Kikondża od imienia naczelnika. Nie puszczono go do niego; słyszał tylko, że mieszkańcy tamtejsi przebywają na wyspach pływających po jeziorze. Wyspy te składają się z wielkich kęp zrośniętych roślin wodnych (Tingi-Tingi), na które kładą pnie drzew i krzaki, pokrywają ziemią i na tém stawiają chaty, hodują banany, trzymają drób i kozy. Wyspy przytrzymują się za pomocą kołów; chcąc zmienić miejsce, mieszkańcy wyciągają koły i kierują wyspę ku miejscu obranemu. Po powrocie do Kilemby dowiedział się Cameron, że ma się zatrzymać aż do przybycia Kasonga. Nareszcie w drugiéj połowie stycznia 1875, zwiastowały jego przybycie bębny i głośne okrzyki mieszkańców. Zaraz tego samego dnia po południu odwiedził Cameron Kasonga i zaniósł mu podarunek, a naczelnik rozkazał swoim muzykantom odprowadzić cudzoziemca do domu. Przybycie Kasonga nie przyspieszyło wszelako wyruszenia karawany, jak sobie obiecywano; rzeczy, które mieli biali, zwracały uwagę naczelnika, pragnął téż mieć to kapelusz, to buty, to

broń i inne rzeczy. Dziwiła wielce naszego podróżnika znaczna liczba kalek między towarzyszami naczelnika w czasie odwiedzin. Najwierniejszy przyjaciel jego nie miał rąk, nosa, uszu i warg; za to był mu oddany z pokorą, do pochlebstwa posuniętą. Kasongo okazywał charakter nadęty i pyszny; uważał się za najpotężniejszego władzcę na ziemi, tylko krewnego swego, Muata Janwo, nazywał sobie równym. Cameronowi powiedział, że zwiedziłby pojechał Anglią gdyby jezioro Tanganika nie leżało na drodze. Kiedy mu na to odrzekł podróżnik, że jego ojczyznę oddzielają od Afryki daleko większe jeziora, niż Tanganika; naczelnik zapowiedział, że nateraz odkłada odwiedziny, lecz żąda, żeby monarcha Cameron'a przysłał mu daninę, broń i łodzie razem z ludźmi znającemi się na rzeczy. Cameron odpowiedział, że jego monarcha jest daleko potężniejszy, że ma łodzie wielkości wysp, na których więcéj niż tysiąc ludzi przez kilka miesięcy żyć może w oddaleniu od lądu. Wtedy nareszcie naczelnik począł utrzymywać, że nasz podróżnik jest duchem, który zstąpił z państwa duchów i dlatego uważa się za silnego mocarza. Nawet potém nie puszczał jeszcze naszego podróżnika, chcąc aby tenże był przytomny zebraniu jego naczelników. Kiedy nadszedł dzień oznaczony, w „mussumba“ t. j. rezydencyi zeszli się naczelnicy w najlepszych strojach. Cztery żony, stojąc za kasongiem, wymieniły tytuły męża, sławiąc jego wielkość; wtedy przystępowali pojedyńczo naczelnicy, dla złożenia hołdu. Każdemu towarzyszył chłopiec, niosąc worek pełen

gliny lub cynobru. W odległości około 20 metrów od władzcy, brał każdy naczelnik worek i rozcierał sobie na piersiach i ramionach to, co było w worku, przestępując równocześnie z nogi na nogę i głośno wymawiając tytuł Kasonga; kiedy już dostatecznie się natarł, wyciągał miecz i rzucał się na Kasonga, lecz zaraz klękał, wbijał miecz w ziemię i tarł o niego ciało. Kasongo przemawiał kilku słowy, a naczelnik wracał do gromady. Gdy się wszyscy przedstawili, mówił do nich Kasongo o sobie i o swéj potędze. Po przemowie jednego z towarzyszów Cameron'a, Kasongo polecił podróżnika Alvezowi na dalszą drogę. Kiedy zaś Alrez jeszcze się nie zabierał do podróży, Cameron przekupił Kasonga, i nareszcie przystąpiono do dalszéj wyprawy. Po przymusowym pobycie w Totele, gdzie Cameron musiał przy pomocy swych ludzi stawiać nowy dom dla Kasonga i znowu kilka tygodni czekać na powrót jednego oddziału karawany Alvez'a, wyruszono na dalszą wyprawę dopiero na początku czerwca 1875. W drodze ludzie Alvez'a niszczyli gorzéj od szarańczy pola zbożowe, łupili mniejsze oddziały krajowców, niosących dla Kasonga ryby suszone i zboże, jako daninę; podróżnika naszego w wysokim stopniu to gorszyło, lecz był bezsilnym. Koło brzegu rzeki Kiluilui (czyli rzeki czarta) prowadziła droga przez okolicę lesistą. Wspomniana rzeka płynie tu łożyskiem, na 13 m. szerokiem, wyżłobionem w piaskowcu, a zacienionem drzewami tak, że promienie słoneczne przez liście się nie przedostają. Za tą okolicą pagórkowatą, szedł Cameron

przez równiny bagniste i doszedł do wioski naczelnika Lunga Mandi, a wkrótce potem do rzeki Lowoi, dopływu jez. Kassali. Przebywszy takową, dostał się do ziemi Walundów, ludu niechlujnego i dzikiego. Mężczyzni odziewają się w skóry, kobiéty w plecionki z łyka; włosy zlepiają gliną i tłustością. Nie znają ozdób, a cena paciorków i sukna, była im zupełnie obcą; wnosi z tego nasz podróżnik, że zrzadka, albo zgoła nie widują karawan. Chaty czysto stawiane są bardzo nizkie, gdyż zaledwie na metr wysokości; w koło nich leżą role, których pilnują fetysze, mianowie suche drzewa, małym płotem otoczone, z gałęźmi opatrzonemi w garnki gliniane lub dynie. Wkrótce potem dotarł Cameron do prowincyi Lowale; odwiedził tam naczelnika Katende, u którego miał już po roku 1850, posłuchanie Livingston; przeprawił się przez rz. Lumedżi, odwiedził Mona Peha w jego wiosce, poczem doszedł do okolic, które zbadał podróżnik węgierski L. Magyar w r. 1849. Ztamtąd wkrótce stanął w Bihe, gdzie znalazł serdeczne przyjęcie i łoże z pościelą w domu kupca Gonęalves'a, niegdyś kapitana od lat wielu osiadłego w Bihe. Odpocząwszy, ruszył do Kambali, stolicy króla Konga, gdzie go powitali niektórzy z radzców Konga, a głównie żona nieobecnego natenczas pierwszego radzcy, która go uczęstowała wielkim garnkiem polówki i suszoną szarańczą. Po południu tegoż dnia przyjął Camerona król, napół niodołężny i opity; mieszka on na najwyższym krańcu góry, aż trzynaście razy obwarowanéj. Będąc już blisko wybrzeża, umyślił z pięcioma wybranemi ludźmi i niewielkiemi pakunkami udać się pospieszniéj ku wybrzeżom; taka forsowna podróż okolicą górzystą, mało przystępną, poprzecinaną wodami, wyczerpała wszystkie siły uczestników wyprawy. Już zwątpił Cameron o powodzeniu swego przedsiewzięcia, kiedy oczom jego pokazała się na widnokręgu jasna pręga, w któréj, po bliższem rozpatrzeniu, poznano morze. Pędem zbiegli nasi podróżnicy ze stoków Katombela i zwolnili swe kroki dopiero na miejscu upragnionem (7 listop. 1875). Na parowcu „Bengo“ popłynął Cameron do Loandy, gdzie wylądował 21 listopada; pierwsze kroki skierował do konsula Hopkins'a, któremu się przedstawił następującemi słowy: „Jestem przychodzień z Zanzibaru, drogą lądową.“ Konsul spojrzał na przybyłego okiem zdziwioném, przypomniał sobie i zawołał: Cameron! jakie szczęście dla mnie, że pierwszy was witam!“ Z Loandy popłynął z powrotem do Europy i przybył tam na początku kwietnia 1876 r.

Podróż Cameron'a należy do najgodniejszych pamięci: przeszedł on kraje, po większéj części przedtem wcale nieznane, w najniebezpieczniejszéj części lądu afrykańskiego, walcząc w drodze, 4500 kilom. długiéj, z chorobami, uporem krajowców i niewiernością przewodników; pracą dwóch miesięcy uskutecznił dokładne pomiary Tanganiki, tak że go nazwano „drugim odkrywcą tego jeziora; przed nim nikt nie objechał całkowicie żadnego z jezior afrykańskich, nawet mniejszych, jak Czad lub Cana. Daléj przeszedł zupełnie nieznaném terytoryum, zrobiwszy 1300 kilm. z

Niangwe do krain zachodnich, które już byli zbadali Livingston i Magyar. Odkrył te kraje i otworzył je nietylko dla nauki, lecz i dla handlu; znalazł pokłady węgla, złota i srebra, miedzi i żelaza, z owoców. orzechy muszkatołowe, kawę, palmę olejną, bawełnę, trzcinę cukrową i wiele innych. Kanałem możnaby połączyć porzecze Kongo i Zambezi, gdyż z powodu równéj ziemi dwa te systemy w porze deszczowéj już i teraz się łączą.

Podróż Stanley'a. W połowie sierpnia 1874 r. opuścił Stanley brzegi Anglii a w listopadzie tegoż roku wyruszył z Zanzibaru w podróż w głąb lądu. Z europejczyków towarzyli mu oracia Pocock, zręczni żeglarze z hrabstwa Kenta, i Fr. Barker, subjekt handlowy. W czasie wyprawy do jez. Mkerewe zmarł Ed. Pocock, a wkrótce potem i Barker, kiedy żeglowano po jeziorze, pozostał więc z białych tylko F. Pocock, który towarzyszył naszemu badaczowi w podróżach do Mwutanu, Tanganiki, Niangwe i w drodze rzeką Kongo, aż znalazł śmierć gwałtowną w wodospadzie. Skoro tylko rozniosła się wieść w Zanzibarze o przybyciu Stanley'a, zgłosiło się wielu, chcąc towarzyszyć podróżnikowi w wyprawach; przyjęto wszakże tylko pewnych uczestników, znanych z dawniejszych wypraw Livingstona i Stanley'a, przeważnie Wangwanów i Wanjanmusów. Dnia 47 listopada 1874 wyruszono w drogę z Bagamoja. Na czele postępowało 4 ludzi, za nimi 12 przewodników w czerwonych surdutach, następnie długi szereg z 270 ludzi, niosących pakunki i rozebraną na części łódź „Lady

Alice," daléj szli europejczykowie z ludźmi orężnemi; zamykała pochód aryergarda z 16 ludzi złożona; cały orszak liczył półczwarta sta osób. Nowy rok 1875, powitali nasi podróżni w Mukonduku; tam opuścili zwykłą drogę, wiodącą do Unjamjembe i skierowali się na północ, a w połowie stycznia stanęli w okolicach jeziora Ukerewe. Stanley znalazł się tu w krytycznem położeniu: mieszkańcy tamtejsi, Warimowie, zachowywali się względem niego nieprzyjaźnie, a między uczestnikami wyprawy wybuchły choroby, których piérwszą ofiarą padł E. Pocock (w Cziwynie d. 17 stycznia). Z wyżyny zstąpiła karawana na szeroką równinę, która, jako obfitująca w zwierzynę i bardzo urodzajna, dostarczyła towarzyszom Stanley'a szczodrze żywności i pożądanego spoczynku. Pod koniec lutego dotarli do kraju Usukumy, gdzie pokrzepili swe siły w wiosce Kagehü nad jeziorem Ukerewe i przystąpili zaraz do składania łodzi. Na początku marca rozpoczął Stanley z cząstką karawany żeglugę naokoło jeziora i popłynął wzdłuż brzegu wschodniego, mając zamiar zwiedzić państwo Uganda, położone na północ od jeziora, a którego władca Mtesa znany nam jest jeszcze z podróży Speke'a. Chciał Stanley rozwiązać pytanie, czy Ukerewe jest jedném wielkiem jeziorem, jak twierdził Speke i Grant, czy téż dzieli się na mniejsze oddziały, jak świadczył Burton i Livingston, idąc za opowiadaniami krajowców. Stanley zbadał wszystkie zatoki, zagłębienia, wyspy i przylądki brzegu wschodniego; wpłynął na Kuruma-Nil i do-

tarł do wodospadów Ripon'a; sprawdził potém, że niéma drugiego wypływu Luadżeru, i że rzéka Murchison'a jest tylko zatoką jeziora. W końcu marca wylądował na wybrzeżu posiadłości Mtesa, zapowiedział naprzód swe przybycie przez umyślnych posłów i został powitany w bliskości wioski Usawary przez umyślnych także posłów Mtesa, którzy go podejmowali i dopiéro wtedy zaprowadzili do króla. Charakter tego ostatniego inaczéj przedstawia Speke, inaczej Stanley; prawda i to, że czas, a z nim ludzie się zmieniają. Według relacyj Stanley'a, jest to władca potężny, używający wielkiéj powagi w krajach sąsiednich, rozumny i dowcipny, który pod kierownictwem szlachetnych mężów więcejby mógł się przyczynić do polepszenia stanu krajów środkowoafrykańskich, niż pięćdziesięcioletnie opowiadanie ewangelii bez pomocy takiego autorytetu. Podróżnik zauważył z podziwem porządek i poszanowanie prawa w jego państwie; jest to zasługą muzułmanina Muley ben Salima. A jak sam Mtesa odznacza się charakterem i postępowaniem przed innemi naczelnikami afrykańskimi, tak jego poddani przewyższają swych sąsiadów lepszą odzieżą i łagodniejszemi obyczajami. Stanley zwiedził téż miasto stołeczne Mtesa, na stokach góry Rubagi, i tam spotkał się z Europejczykiem, pułkownikiem Linant de Belllefonds, członkiem ekspedycyi Gordona-baszy. Stamtąd udał się dla zbadania brzegu północnego i zachodniego jeziora Ukerewe. W tym czasie musiał stoczyć piérwszy krwawy bój z mieszkańcami wyspy Bumbirch. Na uprzejme ich wezwanie przybił do wy-

spy; lecz jak tylko to uczynił, mieszkańcy rzucili się na wioślarzy, odebrali im wiosła i wyciągnęli łódź na ląd. Widząc, że opór byłby daremny, wpadł Stanley na myśl uwolnić się od nich ofiarą części swych zapasów. Podczas kiedy krajowcy podziwiali owe skarby, zepchnięto łódź do wody, poodrywano siedzenia i deski i użyto zamiast wioseł. W skutek braku żywności, doświadczyli nasi podróżnicy głodu, znosili téż pragnienie w dalszéj żegludze, aż nareszcie w piérwszéj połowie maja powrócili do Kagehü. Zbadanie jeziora Ukerewe potwierdziło zdanie Speke'a, że jézioro to jest pojedyńcze, choć liczne wyspy w bliskości brzegów dzielą je jakby na części. W Kagehü uległ chorobie Fr. Barker, niektórzy z najpożyteczniejszych towarzyszów przenieśli się do wieczności, sam Stanley dostał silnéj febry; lecz pomimo to wszystko trwał w zamiarze udania się do jez. Mwutanu. W tym celu skierował się ze swą drużyną do ziemi Uganda, gdzie miał zapewnioną opiekę ze strony Mtesa. Zamierzał on dotrzeć tam drogą lądową, lecz wkrótce zrzekł się téj myśli z powodu przeszkód ze strony plemion tamtejszych i udał się przez jezioro gdzie znów musiał zdobywać siłą oręża wolne przejście około wyspy Bumbirch. W piérwszéj połowie sierpnia r. 1875 przybyła karawana do Ugandy. Ponieważ król Mtesa walczył natenczas z Mawumami, nie mógł zatem podać Stanley'owi pomocy w dalszéj wyprawie; prócz tego, zwyczaj w Ugandzie nie pozwala cudzoziemcom podróżować daléj w czasie wojny. Zatrzymał się więc Stanley i wziął udział w walce

Kiedy walka już długo się ciągnęła, uciekł się nasz podróżnik do podstępu wojennego: z trzech największych łodzi urządził pływającą forteczkę, w któréj umieścił 60 wioślarzy i 150 strzelców; wszystko zakryte było niebieskiemi, czerwonemi i białemi oponami, tak iż się zdawało, że łódź sama się posuwa. Kolos ten podpłynął ku brzegowi, na którym stało wojsko nieprzyjacielskie; kiedy już był blizko, ozwał się z jego wnętrza głos, wzywając do pokoju i poddania się i żądając rychłego namysłu. Rzeczywiście po krótkiéj naradzie Wawumowie poddali się i wysłali dwoje dziewcząt oraz kość słoniową na znak poddaństwa. Po ukończeniu wojny Mtesa zezwolił na podróż Stanley'a ku jezioru i dodał mu do obrony kilku naczelników z tysiącem ludzi swéj straży przybocznéj, pod wodzą Sambusego. Z Duma wyruszono 1 stycznia 1876 w drogę lądem, nową zaś zbudowaną łódź „Livingston" niesiono w pięciu częściach. Już 11 stycznia stanęła karawana na skraju wyniosłości, od któréj o 340 m. głębiéj leży jezioro Mwutan, Stanley chciał opłynąć całe jezioro, lecz musiał się zrzec tego zamiaru z przyczyny nienawiści mieszkańców okolicznych, témbardziéj że Wagandowie, którzy mu towarzyszyli, nie chcieli walczyć, a i jego właśni ludzie pełni byli strachu. Po dwóch dniach karawana rozpoczęła odwrót, a idąc pośpiesznie, w sześć dni stanęła na granicy państwa Ugandy. Owocem całéj wyprawy było to, że nasz podróżnik poznał osobliwe plemię Gambaragarów, które się różni od sąsiadów jasną płcią, regularnemi rysami twarzy i prawie wy-

łącznie używa pokarmów mlecznych; u Wagandów nie cieszą się poważaniem dla tchórzostwa. Dnia 18 stycznia rozłączył się Stanley z ludźmi Mtesa w wiosce Kawanga i udał się do króla Rumanika w Karagwe; król ten znany jest z podróży Speke'a i Grant'a. W mieście stołecznem osiedli już Arabowie, którzy tu handel prowadzą. Niedaleko ztamtąd znajdują się szczyty, z których widać daleko na zachodzie wysokie góry Ufumbiro, na południe ziemię Ruanda, a u stóp rzékę Kagerę, odpływ zachodni jez. Ukerewe. Jeszcze teraz miał nadzieję nasz podróżnik, że mu się uda przedrzéć znów do Mwutanu; lecz wkrótce zrzekł się zamiaru tego, a zwrócił uwagę na rz. Kogerę i doszedł do przekonania, że jest-to główny dopływ jeziora Ukerewe. Pod koniec marca 1876 r. opuścił Stanley króla Rumonika i ruszył przez krainę Unjamuesi, która z powodu mnóstwa drobnych naczelników wielce jest niebezpieczną dla podróżników. Największéj powagi używa tam król Mirambo, który przez swe wojny ukryte i jawne stał się postrachem całéj okolicy. Obawa wzrosła między towarzyszami Stanley'a, kiedy nadeszła wiadomość, że ów groźny mąż się zbliża. Mirambo stanął przed Stanley'em, lecz wydał mu się wcale innym, niż go sobie przedstawił; zamiast nieprzyjaźni, zawiązała się między nimi przyjaźń. Po wzajemnem złożeniu sobie podarunków, rozeszli się 23 kwietnia. W końcu maja stanął nasz podróżnik nad brzegami Tanganiki w Udżidżi.

W przeciągu kilku dni złożono łódź żaglową „Lady Alice", a 11 czerwca zaraz wyruszył Stanley

w drogę naokoło jeziora; płynął z Udżidżi wzdłuż brzegów wschodnich na południe, następnie daléj koło brzegu zachodniego aż do krańców północnych, tak iż w ciągu 51 dni opłynął całe jezioro. Za pomocą chronometru i obserwacyi słonecznych utworzył sobie nasz badacz dokładny obraz zarysu brzegów ze wszystkiemi zatokami, małemi wysepkami przybrzeżnemi i dopływami. Jezioro w mowie będące ma, według Stanley'a, 530 kilom. długości, a 16—20 szerokości, głębokość — znaczną. Dość ważnym wynikiem pracy Stanley'a było to, że badając rz. Lukugę obalił zdanie Cameron'a, jakoby ta rzéka była jedynym odpływem jeziora. Stanley dostał się na lekkiéj łódce do ujścia Lukugi i płynął po niéj 5 kilometrów, dopóki nie natrafił na nieprzebyty las trzciny. W ciągu cztérech dni zwiedził rzékę i przekonał się, że Lukuga nie wypływa z Tanganiki: za owemi bowiem pięcioma kilometrami wolnych wód (które przepłynął Stanley) ciągnie się łożysko, trzy kilometry długie, zagrodzone bagnami, były one do niedawna suche w górnéj swéj części (przed końcem 1875 r.), dopiero późniéj zarosło trzciną i paprociami i napełniło się wodą; prądu żadnego tu niema, lecz w górnéj części bagien ciągle zbiérają się wody daléj na zachodzie i dają początek rzéce Luindi, która odpływa do rzéki Lualaby. Jeżeli zważamy, że Cameron, a po nim Stanley spostrzegli znaczny przyrost wody w jeziorze, tak, że drzewa, niegdyś na suchéj ziemi stojące, obecnie głęboko w wodzie są zanurzone, a całe półwyspy w skutek zalania przesmyków zamieniły się na wyspy;

to doczekamy się, że przy stałym podnoszeniu się poziomu jeziora, Lukuga stanie się odpływem jeziora, który będzie odprowadzał wody Tanganiki przez Luindi do Lualaby, przez tę ostatnią zaś do Atlantyku. Ukończywszy żeglugę po jeziorze, rozpoczął Stanley dalszą wyprawę, a to dzięki swéj energii i stanowczości. Kiedy bowiem wrócił do Udżidżi, zastał swą karawanę w najwyższym rozstroju: wybuchła w niéj była ospa, która wielu do grobu wtrąciła, wieln kazała szukać ocalenia w ucieczce. Podróżnik nasz zabrał się energicznie do rzeczy: tych, co byli podéjrzani, kazał okuć w żelaza, pewnym tylko zostawił broń i pociągnął w końcu sierpnia ku Niangwe drogą którą szedł był Cameron, aż do Bambarre; ztamtąd zboczył brzegiem rzéki Luamy aż do jéj ujścia i znów brzegiem Lualaby dotarł do Niangwe. Na początku października wkroczyła karawana do kraju Manyemy, który znacznie się różni od prowincyj daléj na wschód położonych: rozległe i bujne równiny ciągną się naprzemian obok miejsc pagórkowatych, gęsto porosłych; mieszkają tam plemiona murzyńskie. Zamiast kóz na wysokich nogach spotykamy tam niezgrabne kozy karłowate; papugi są szare, małpy z nogami podobnemi do ludzkich. Chaty mają kształt nie stożkowaty, lecz kwadratowy, ustawione są w długie równe ulice. W piérwszej połowie października doszedł już Stanley do rz. Lualaby i szedł przez kraj Uzuzu, gdzie się zapoznał ze znanym naczelnikiem arabskim Tipo-Tipo, który zgodził się towarzyszyć mu w dalszej wyprawie. Tymczasem sam udał się daléj i przy-

był w końcu października do Niangwe. Tutaj zachwiał się w swém domniemaniu, jakoby Lualaba nie miała związku z porzeczem Nilu, a to dlatego, że według opowiadań osiadłych tam Arabów Lualaba, dokąd tylko ją zbadano, płynie stale na północ. Gdy Tipo-Tipo w pierwszych dniach listopada połączył się wraz ze swymi ludźmi z karawaną Stanley'a, wyruszono d. 5 listopada r. 1876 w dalszą drogę zbiegiem rzéki Lualaby. Przebieg téj wyprawy już znamy; tutaj pozostaje nam podać nieco wiadomości o krajach i mieszkańcach w sąsiedztwie téj rzéki. W Ikondu (2° 55' szer. połud.) chaty mieszkańców podobne były do podwójnych klatek; zręcznie z trawy zrobione, mają do 2½ m. długości, 1½ szerokości a 2 wysokości. Obie takie części pokryte są wspólnym dachem, a wewnątrz oddzielone pokojem, wspólnym dla obydwóch: w nim schodzą się rodziny, odbywają prace domowe i zapraszają się przyjaciele na gawędę. Chociaż ludność miejscowa uciekła przed obcemi, ci ostatni znaleźli dość żywności: naczynia z winem wisiały na palmach, bananów i melonów znaleziono obficie. Zastali téż tam dziwnego wojownika z plemienia karłów „Watwa": miał wysokości 1.38 m., a uzbrojony był w mały łuk i bardzo drobne strzały. W Winia-Ndżarze (940 kilom. na północ od Niangwe) napadli na Stanley'a krajowcy; po odparciu pierwszego ataku, karawana obwarowała się w obozie, a nazajutrz podróżnik nasz zdobył szturmem Winia-Ndżarę. Na to cała okolica wzięła się do broni, lecz po dłuższych walkach została pokonaną. W dalszéj podróży przy-

szło do wielkiéj bitwy przy ujściu rz. Aruwinii. Flota Stanley'a wpłynęła była właśnie na Aruwimi, kiedy flota nieprzyjacielska w sile 54 łodzi poczęła ją ścigać groźnie; Stanley kazał swym statkom zarzucić kotwicę i skupić się blisko siebie. Flota nieprzyjacielska, otoczywszy prawie ze wszech stron Stanley'a, wyrzuciła z groźnym krzykiem cały las włóczni na jego ludzi; lecz broń palna zrządziła takie straszne spustoszenie między krajowcami, że w krótce rzucili się do ucieczki, tak iż daleko jeszcze na lądzie ich ścigano. Zabrano tam mnóstwo kości słoniowéj, bo aż 133 kawałki w cenie około 40,000 złr. Po pięciodniowéj żegludze stanął nasz podróżnik w ziemi Nganse, gdzie od spokojnych mieszkańców dostał żywności za różne podarki. Krajowcy tatuują się obficie od głowy do kolan; na piersi zdobią się kwadratami, kółkami, falistemi kreskami, różyczkami i innemi deseniami, tak że pierś wygląda jak karta pergaminowa z hieroglifami; czoło zdobi sześć pręg od skroni do skroni, tyleż pręg mają policzki, od oczu zaś do nosa idą krésy faliste; na brodzie widać różyczki; szyja znów z wielkiemi guzami wygląda jakby wole. W ten sposób szpecą się straszliwie; prócz tego zawieszają naszyjniki zrobione z zębów ludzkich, gorylowych i krokodylich, tak że pod niemi nie widać saméj szyi. Bardzo pospolitym jest tu zwyczaj zawierania braterstwa; czynią to bądź dla zaspokojenia ochoty na krew, bądź dla podarunków, które się za to otrzymuje. Tacy bracia robią sobie nacięcia na obu ramionach i schyliwszy głowy poddają się dalszéj operacyi, która zależy

na tém, że wzajemnie wysysają sobie krew z największym apetytem. Na zapytanie, jak się nazywa rzéka tam płynąca, mieszkańcy Nganse odrzekli: „Ikutu-Ja-Kongo“. Po dniu drogi ztamtąd dostał się Stanley do ziemi Urangi. Znalazł tam miasto 15 kilom. długie, którego mieszkańcy prowadzili z nim ożywiony handel; lecz kiedy na drugi dzień Stanley popłynął daléj, napadli nań ci z mieszkańców, z któremi był handlował, na ten raz uzbrojeni i rozoocżęli walkę. Po dwugodzinnym boju udało mu się uniknąć niebezpieczeństwo. W krótce potém napadło nań sąsiednie plemię Mpakiwanów, a nazajutrz znów (14 lutego) potężny szczep Bangalów, z któremi bitwa trwała aż do zmroku. Dopiéro w dalszéj podróży napotkał spokojnych mieszkańców w prowincyi Ikengu. Ostatni bój stoczył o 15 kilom. wyżéj ujścia rzéki Nkutu. Zaledwie przemógł owe niebezpieczeństwa, spotkał nowe trudności: musiał przebyć cały szereg (57) wodospadów i raf na rzece. Przeprawa ta trwała pięć miesięcy, a każdy dzień połączony był z wielu niebezpieczeństwami, ranami, nędzą, rozpaczą, często nawet śmiercią. Wązkie brzegi, utworzone z nagich skał, stromo spadały ku falom, zwężając łożysko, grożąc głazami. Rzéka dążyła daléj krętą drogą, to pokryta długiemi szeregami siwych bałwanów, to czarna jak chmura w czasie burzy, to z przepaści w przepaść spadając, to kłębiąc się olbrzymiemi falami, tak że głowy wioślarzy nawet tonęły w pianie i tumanach mgły. Tylko fałszywemi wskazówkami mapy Tuckey'a oszukany odważył się Stanley puścić w tę niebezpieczną drogę, gdyż, podług Tuckey'a, wyżéj wodospadów Jellala rzéka płynie jakoby zupełnie spokojnie kiedy tymczasem podróżnik nasz napotkał w tych miejscach 30 strasznych porohów i wodospadów. Za takie prawie nadludzkie wysiłki wynagrodził Stanley'a świetny rezultat, że sprawdził tożsamość Kongo Tuckey'a z wielką rzeką Livingstona. Zarazem pokazało się, że większa część téj rzéki nie jest żeglowną z powodu licznych porohów i wodospadów.

Możemy tu dodać, że podróżnikowi francuzkiemu, hr. Savorgnan de Brazza, udało się rozwiązać zadanie jakby można tę część Kongo zrobić przystępną dla handlu. Wiadomo naszym czytelnikom, jakie zasługi położyli Francuzi przez zbadanie krain nad rzéką Ogowe. Dokładne rozwiązanie pytania, jak płynie owa rzéka i gdzie ma źródła, zawdzięczamy Savorgnan de Brazza, który podróżował tam między 1875—1878 r. Zyskawszy znaczne poparcie ze strony władz francuzkich, wyruszył Brazza w podróż w sierpniu r. 1875; dnia 10 lutego 1876 był już w Lope nad środkowém Ogowe. Porozumiawszy się z dzikiemi Fanami, którzy w r. 1874 zagrodzili byli dalszą drogę Compiegne'owi i Marche'owi, doprowadził przy ich pomocy wyprawę do ziemi Adumów; ztamtąd dostał się do Awumbów, a koło wodospadu Pubary odkrył, iż Ogowe tworzy się tu ze zlania dwóch rzek: Babandżi (czyli Ogowe) i Passy; o kilka godzin drogi od połączenia leżą źródła obydwóch. Jakkolwiek ten wypadek badań w niwecz obrócił nadzieje wszystkie Francuzów co do wielkiéj drogi wodnéj, prowadzącéj

do wnętrza Afryki; jednakże stratę tę wynagrodziło znalezienie innéj drogi, prowadzącéj ztamtąd ku Kongo. Kiedy bowiem Brazza zapuścił się daléj na wschód, dotarł do wielkiéj rzéki Alimy, która wedle opowiadań krajowców wpada do drugiéj wielkiéj rzéki. Chciał on zająć się zbadaniem biegu odkrytego strumienia, lecz przeszkodzili mu nieprzyjaźni Apfurowie, tak że zmuszony został opuścić tę ziemię. Posunąć się daléj na wschód nie pozwoliło mu téż plemię drapieżnych Angieh; zwrócił się więc na północ i przebył wielką rzekę Likonę, poczém dotarł aż do rzéki Lebaj Okue ($^1/_5{}^0$ szer. półn.) dnia 11 sierpnia 1878. Był to najdalszy punkt krańcowy w jego podróży. Powróciwszy do Europy i dowiedziawszy się o podróży Stanley'a, nabrał jasnego pojęcia o krajach, w których podróżował: przekonał się mianowicie, iż cały szereg strumieni, które przebył, należy do porzecza rzéki Kongo. Będąc nad Alimą, o pięć tylko dni drogi był oddalony od Kongo. Odkrycie więc téj rzéki jest bardzo ważne. Ponieważ zaczyna ona być spławną o 100 kilom. od tego miejsca, gdzie nią być przestaje Ogowe; możnaby łatwo przewozić tu towary przez przestrzeń stosunkowo niewielką. Mniejsze parowce mogłyby chodzić po Alimie aż do miejsca, gdzie dotarła wyprawa Brazzy; z Alimy dostawałyby się na Kongo już poza wodospadami o co właśnie idzie w tym razie. Jakkolwiek przeto rzeka Ogowe nie okazała się prostą drogą od brzegu zachodniego w głąb lądu, może wszakże posłużyć za użyteczne ogniwo łączące.

* * *

Widzieliśmy, jak z postępem czasu w bieżącém stuleciu coraz bardziéj rozszerzały się wiadomości geograficzne o Afryce, tak że obecnie oprócz małego paska w części zachodniéj Afryki zwrotnikowéj zbadany mamy cały ląd afrykański. Dużo w prawdzie jeszcze brakuje do tego, aby powierzchowna znajomość wielu okolic ustąpiła dokładnemu ich zbadaniu; w każdym jednak razie zadanie rozwiązano. Jak zaranie wieków nowożytnych nazwano „wiekiem odkryć“ wogóle, tak znów wiek XIX zasługuje na miano „wieku, w którym odkryto cały ląd afrykański.“

KONIEC.

10929
MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu
3967
Wojewódzka Biblioteka Publiczna
FILIA
Nr 17
w Radomiu
2049
CZYTELNIA
bezpłatna
dla
i mniej zamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

CZYTELNIA
bezpłatna
i niezamożnych
mieszkańców
m. Radomia.

CZYTE
bezpła
i niezamożn
mieszkań
m. Radom